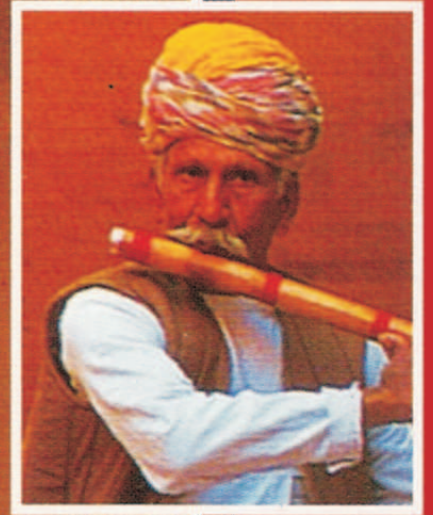


Kiran
DESAI



Zadyma
w dzikim
sadzie



Prószyński i S-ka

**Kiran
Desai**

**Zadyma
w dzikim sadzie**

**Przełożyła
Małgorzata Dobrowolska**



**Prószyński i S-ka
Warszawa 1999**

*Mojej rodzinie
z miłością*

I

Tego lata żar spowił Szahkot mętym, żółtym oparem. Stłoczone dachy i sznury do suszenia bielizny, które zwykle ciągnęły się aż po widniejące na horyzoncie wzgórza, rozmywały się i zlewały z zakurzoną niebem.

– „Problem tkwi w nadmiernym przegrzaniu cumulusów – odczytał z gazety pan Chawla. – Spowodował je wyrzut popiołów podczas niedawnego uaktywnienia się wulkanu Tierra del Fuego”. – Po chwili poinformował wszystkich, którzy chcieli słuchać: – „Przyczyną są prądy opływające zachodnie wybrzeże Afryki oraz niewyjaśniony ruch cząsteczek w okolicy polarnych czap lodowych”. – Oraz: – „Irak podejmuje próbę ściągnięcia monsunu poprzez celowe wywołanie podciśnienia nad pustynią i zmianę kierunku wiatrów wiejących od strony Indii”. – A nawet: – „Węgierski muzyk podejmuje się ściągnąć chmury deszczowe z Europy do Indii za pomocą gry na flecie”. – Dlaczego nikt nie pomyśli o poważnych propozycjach? – zapytał pan Chawla. – Jest zbyt gorąco, żeby bredzić o węgierskich muzykantach.

Szahkot chlubiło się jedną z najwyższych temperatur w kraju i pojawiały się tu dziesiątki propozycji wywołania monsunu. Pan Chawla złożył w zarządzie gospodarki leśnej projekt powycinania roślinności w wyszukany wzór, wojsko zaproponowało rozproszenie i naprowadzenie chmur przez samoloty, lecące w specjalnym, geometrycznym układzie, policja chciała, aby kapłani ze świątyni odprawili „żabie wesele”. Verma z uniwersytetu wynalazł gigantyczny wentylator, który, jak miał nadzieję, powinien przyciągnąć z południa monsunowe chmury, tworząc tunel powietrzny skierowany na północ, w stronę Himalajów, i zwrócił się do rady energetyki o przydział mocy, aby go wypróbować. Naukowcy amatorzy, od pana Branali z Tailor Gully po pannę Rainę z okolic Sainik Farms odwiedzali jarmarki, na których demonstrowali urządzenia, emitujące promienie magnetyczne i wydające głośnie, buczące dźwięki. Rtęć w termometrach na posterunku policji przekroczyła progi, ustalone przez firmę Kapoor & Sons Happy Weather, przeskakując granice ludzkiej pamięci i wyobraźni, idąc dalej nawet niż przepowiednie matki pana Chawli, Ammadzi, która uważała, że wie dokładnie, co przyszłość przyniesie.

Lato owo wysłało w niebo puls gorączki tak zawrotnej, że nawet prawa i zasady, które zazwyczaj trwały statecznie i niewzruszenie, oklapły i zwiędły niczym rośliny, wystawione na popołudniowe słońce. Żar rozmiękczył jezdnie, aż rozlały się w lepkie kałuże smoły, i rozpuścił brylantynę na wąsach brygadiera, aż obwisły i utraciły fason, psując jego dziarską prezencję. Skóra córki państwa Malhotra ściemniała o wiele za bardzo, aby można było myśleć o przyzwoitym ożenku, a woda, jeżeli w ogóle się pojawiała, tryskała z kranów niemal w postaci wrzątku. Pszczoły latały opite nektarem, który zmienił się w alkohol, policjanci spali przez cały dzień w zagajniku bananowym, miejscowy sędzia przekupił oficera imigracyjnego i wyjechał do swojego brata do Kopenhagi. Cudzoziemcy w turystycznych autokarach zawrócili i odjechali do domu, mieszkańcy Szahkot zaś klócili się o miejsca położone dokładnie pod sufitowymi wentylatorami, wychodząc z domu jedynie na kilka minut w razie absolutnej konieczności i pędem wracając. Na targu ludzie przeczesywali sklepy w poszukiwaniu wachlarzy z liści palmowych i kupowali szare bloki lodu, dymiące niczym małe ogniska. Opierali czoła o chłodne melony, zanim je rozcięli, przykładali szklanki do czoł i policzków, zanim pociągnęli z nich łyk, wachlowali się przy kuchniach pękami liści szpinaku, nim pozbyli się ich z ociąganiem dla dobra wieczornego posiłku.

Tygodnie mijały, a monsun nie nadciągał. I kiedy w końcu nastał wrzesień, ludzie stracili nadzieję.

To właśnie w tym roku przyszedł na świat Sampath. Jego matka Kulfi miała wówczas dwadzieścia jeden lat, była świeżo poślubioną mężatką i była brzemienna. Z końcem września połączenie upału i braku opadów zaowocowało straszliwą suszą. Kulfi robiła się coraz większa, w miarę jak warunki się pogarszały. Wreszcie doszło do tego, że Czerwony Krzyż zaczął zakładać na wschód od Szahkot obozy dla ofiar klęski głodu. Samoloty z pomocą humanitarną przelatywały nad bazarem i mieszkańcami Szahkot, którzy zadzierali głowy, zdumieni, że nie zatrzymują się u nich, gdyż z pewnością cierpieli dosyć, aby zasłużyć na troskę tak gorliwie okazywaną komu innemu. Punkt dystrybucji wydzielał coraz mniejsze racje ryżu i soczewicy. Owoców nie można był dostać nigdzie, z warzywami było niewiele lepiej. Ceny podskoczyły tak bardzo, że nikt nie kupował wychudzonych kurczaków, wystawionych w klatkach przed sklepem mięsnym. W końcu nieszczęsny rzeźnik musiał zjeść je sam, jednego po drugim, a kiedy zjadł ostatniego, przeszedł na wegetarianizm, tak jak cała reszta miasta.

Kulfi była w tych miesiącach tak nieprawdopodobnie wielka, że wydawało się, iż zagarnia dla siebie całą energię ziemi, wypijając z niej wszystkie soki, pozostawiając ją wysuszoną, zwiędłą i pożółkłą. Gdy szła ulicą, ludzie przystawali zdumieni. Jakaż była ogromna! Zapominali o sprawunkach, które mieli załatwić na niemal pustym targowisku. Rowerzyści oglądali się za siebie, aż ich zarzucało, aby spojrzeć jeszcze raz na ten brzuch, napęczniały niewiarygodnie, niczym potężna narośl na smukłym drzewie. Jednak w jej oczach koloru sadzy był taki mrok i pasja, że oglądający się gapie szybko odwracali głowy z powrotem, czując się z jakiegoś powodu niepewnie i nieswojo. Kulfi mijała ich, nie zauważając, jakby w ogóle ich tam nie było. W wyrazie jej ust i w ustawieniu podbródka była jakaś dziwna determinacja, ale zarazem oderwanie od rzeczywistości, jak gdyby jej myśli skoncentrowane były w punkcie niewidocznym dla nikogo oprócz niej samej. I wędrowała tak przez Szahkot, dziwna i nieobecna.

– A czego byście chcieli? – tłumaczyła ją Ammadzi, jej teściowa, gdy ciekawi sąsiedzi pytali o stan ducha Kulfi. – Czego można się spodziewać po kobiecie, która nosi w brzuchu dziecko niczym maleńką rybkę?

Ale Kulfi nie myślała o dziecku jako o małej rybce w swoim brzuchu. Myślała o prawdziwych rybach. O rybach najróżniejszych kształtów. O rybach dość dużych i smacznych, by zaspokoić głód, który ogarnął ją, niczym fala, w ciągu ostatnich miesięcy. Myślała o rybie w sosie curry i o rybnych szaszłykach. O morskich jaskółkach, barramundach i barrakudach. O ławicach wąsatych krewetek. O mięsistych małżach. Myślała o jadle w obfitości, w jego rozlicznych postaciach. O kozieradce i wielbłądzim mleku, o słodkich kartoflach i kukurydzy. O flaszowcach, owocach mango i orzechach kokosowych. O grzybach, wytryskających niczym parasole w sezonie grzybowym. O pomarszczonych orzechach z brązową skórką i mlecznym mięszem, spoczywających w swoich skorupkach.

Dom był zbyt mały dla jej pragnień. Przechodziła z maleńkiej, niebieskiej sypialni do kuchni, przesiąkniętej zapachem nafty, okrażała krzesła, wchodziła na balkon, schodziła po schodach, mijając pokoje sąsiadów, którzy kręcili nad nią głowami, chodziła wokół dżamunu, rosnącego na środku podwórza.

– Mój Boże, co będzie z tą kobietą? – mówiła pani Lakszmi, państwo Raipur, nauczyciel bengalskiego i wszyscy pozostali lokatorzy, wyglądając przez okna, plotkując w ulicznej herbaciarni lub jedząc razem orzeszki ziemne w domu któregoś z sąsiadów. – Zawsze coś z nią było nie tak –

mówili. – Było to widoczne od pierwszej chwili, kiedy się pojawiła w Szahkot.

Kolejne posiłki z ryżu i soczewicy nie były w stanie zaspokoić głodu, który rósł we wnętrzu Kulfi. Przekupywała sprzedawców warzyw i owoców oraz rzeźnika kuponami jedwabiu, haftem, satynową halką, kolczykiem oprawnym w złoto, srebrnym dziadkiem do orzechów, resztkami swojego posagu, które nie zostały jeszcze zastawione. Przekupywała ich, aż w końcu nie mieli już nic, co mogliby jej dać. Do tego czasu jej głód stał się naprawdę okrutny, niczym wielkie zwierzę, krążące w pobliżu. W jej myślach bakłażany rosły wielkie, fioletowe i kruche, a potem, na patelni, rozpływały się w delikatną masę. Paluszki biszkoptowe były przyprawione tamaryndą i kolendra. Kurczęta dusiły się z goździkami i kardamonem. Myślała o siekaniu i bulgotaniu, o smażeniu, szatkowaniu, mieszaniu, ucieraniu.

– Co ona u licha wyrabia? – krzyczał pan Chawla, kiedy jego żona znów wyruszała na targowisko; badał zawartość pustoszejących kredensów i stwierdzał brak kolejnych przedmiotów oraz puste miejsca na półkach. – Z kim ty mnie ożeniłaś, Amma? – wyrzucał matce, która też robiła wrażenie zafrasowanej. Jednak, ponieważ to ona była odpowiedzialna za ten ożenek, odsuwała od siebie zmartwienie jak najdalej, cmokała językiem i mówiła uspokajająco:

– Jest w bardzo delikatnym stanie. Poczekaj trochę, może jej przejdzie.

– Przejdzie jej! – parskał. – Nie zanosz się na to. A jeżeli dziecko też wda się w nią, dopiero będzie kłopot. – Dziwactwa, podobnie jak bóle i łamanie w kościach, napady płaczu i letarg, zawsze wywoływały w nim niepokój. Lękał się tych niekontrolowanych, mętnych, po człowieczemu lepkich kałuż życia. Zamierzał ograniczać swój udział w takich sprawach do minimum, zdecydowanie opowiadając się za postępowaniem, ładem i czystością. Odwiedzał bibliotekę publiczną w poszukiwaniu książek o niemowlętach i czekał w kolejce przed szkołą misyjną, aby zawczasu zapisać tam dziecko, gdyż wiedział, jak długie są listy oczekujących. Gromadził witaminy i toniki z państwowej kliniki.

– Pamiętaj, żeby gotować wodę do picia przez dwadzieścia minut. – Chodził za Kulfi po domu, czytając na głos z wypożyczonych książek, całkowicie przez nią ignorowany, z uniesionym w górę palcem. Pomimo młodego wieku i drobnej budowy miał bardzo silne poczucie autorytetu. – Po każdym ćwiczeniu powinnaś usiąść i odpocząć – radził. Oraz: – Musisz się gimnastykować pilnie i regularnie. A także: – Skończ z jedzeniem

surowych owoców. – I: – Nie śpiewaj i nie przemęczaj się. Nie pij herbaty na pusty żołądek. Zachowuj idealną czystość osobistą. Myj głowę, korzystaj z drzemki, rób „rowerek” z nogami uniesionymi w górę. – Ocierał chusteczką pot z czoła i mówił dalej, podążając za swoją żoną, chociaż było oczywiste, że jego słowa zupełnie jej nie interesują.

Ammadzi miała własne koncepcje na temat postępowania z kobietą w ciąży. Nosiła się z poduszkami i ziołami, ze szczotkami do włosów i wonnymi olejkami do masażu.

– Śpiewaj piosenki, żeby wprawić dziecko w dobry nastrój. Chodź do świątyni. Odmawiaj właściwe modlitwy. Upewnij się, czy dziecko jest zdrowe. Sprawdź, czy układ planet jest korzystny. Skontroluj, czy nie masz wszy. Pamiętaj, żeby ładnie pachnieć i żeby dziecko też ładnie pachniało.

Wszędzie panowała atmosfera wstrzymywania oddechu, jak gdyby nie można było wypuścić powietrza, dopóki dziecko się nie urodzi. Wtedy będzie można odetchnąć – z radosną ulgą, jeżeli dziecko okaże się chłopcem, z goryczą i rozczarowaniem – jeżeli będzie inaczej.

Z początku Sampath zachowywał się w brzuchu Kulfi zupełnie cicho, jak gdyby w ogóle go tam nie było. Potem, jakby czymś pobudzony, stawał się coraz żywszy i śmielszy, aż wreszcie zaczął kopać, fikać, a nawet podskakiwać. Kulfi chodziła tam i z powrotem, wciąż tam i z powrotem, z rękami założonymi na brzuchu, myśląc, że chyba zacznie krzyczeć i, czy tego chce czy nie chce, być może będzie tak krzyczeć aż do porodu, albo nawet i potem. Jej brzuch stawał się coraz większy, jej sny o jedzeniu coraz bardziej ekstrawaganckie. Dom zdawał się kurczyć. Wokół niej rozciągało się w nieskończoność rozgrzane do białości lato. Wreszcie, w rozpaczliwym pragnieniu innej scenerii, Kulfi odnalazła na dnie szafy pudełko starych kredek i, na pograniczu hysterii, zaczęła rysować na brudnych, poplamionych ścianach mieszkania. Rysowała wokół podobizny dzieci, które wyobrażała sobie Ammadzi. Dzieci jedzące owsiankę, pozujące z lalkami i puchatymi żółtymi kurczakami, próbujące fiknąć koziołka. Pulchne i białe dzieci płci męskiej, co, jak miała nadzieję Ammadzi, przez jakąś tajemniczą osmozę wpłynąć miało na ukształtowanie jej wnuczęcia. Potem wokół tych obrazków, a czasami na nich, Kulfi narysowała staw, ciemny, ale kotłujący się od barwnych ryb. Pole jaskrawych ananasów i blade, ocieźałe gurdliny. Wielkie, rozkołysane chlebowce na chlebowym drzewie i stadko grzebiących kurcząt. Gdy jej mąż i teściowa wycofywali się w popłochu, bojąc się rozdrażnić ją lub dziecko, wciąż znajdujące się w jej wnętrzu, Kulfi rysowała procesję

kucharzy, ścinających kozie głowy. Jedni biegli na targ, zavalony towarami, o które można się było targować, inni pochylali się z chochlami nad dymiącymi garnkami, jeszcze inni ucierali przyprawy w moździerzach. Rysowała winorośl, wspinającą się do okien i pokrywającą ściany dzikim gąszczem liści. Zaczęła rysować owoce, których nie знаła, przyprawy, które miały dopiero zostać odnalezione w ukrytych strąkach lub utajone w sercu nieznanych kwiatów. Rysowała potrawy, których nigdy nie jadła: czarnego kozła zawieszzonego nad ogniem, z całym wachlarzem przypraw, które miały przeistoczyć go w rewelację, pawia, baraszkującego pośród ząbków czosnku, dzika, zaplątanego w gąszczu papaj owych drzew. Główki czosnku rosły do olbrzymich rozmiarów pod jej stopami, pnącza wybuchały z desek podłogi, ryby przepływały pod drzwiami.

W sąsiednim pokoju słyhać było, jak pan Chawla chodzi tam i z powrotem.

– W co myśmy się wpakowali?

Głos Ammadzi, szepczącej:

– Po prostu poczekaj trochę, mówię ci, poczekaj trochę i zobaczysz...

Na dworze, na nagim niebie, słyhać było dudnienie samolotów Czerwonego Krzyża.

Kiedy nie było już prawie w ogóle miejsca do rysowania, kiedy ściany, podłoga i sufit były zapełnione, zapchane tak ciasno, że niemal pękały, urodził się Sampath. A urodził się w tak znamienych okolicznościach, że mieszkańcy Szahkot zapamiętali je na zawsze.

Któregoś dnia, gdy Kulfi tkwiła w oknie sypialni, wyglądając na ulicę, gotowa siedzieć tak przez kolejny, zdawałoby się, nieskończony szmat czasu, dopóki Ammadzi nie ugotuje wreszcie i nie poda jej obiadu, niespodziewanie na słońce padł cień i – niczym pod wpływem czarów – tak prędko jak zimowy dzień osuwa się w zmrok wieczoru, a później nocy, rozpalone do białości południe oblekło się w barwę starego pergaminu, a niebo pociemniało. Wszystkie okna wezbrały bielą wzdętych firanek. Strzępy gazet i stare plastikowe torby kręciły młynka na ulicach barwy indygo. Powietrze się rozrzedziło i zawiroowało powiewem, od którego ramiona Kulfi pokryły się gęsią skórka.

– Patrzcie! – zawołała. – Nadchodzi deszcz!

Z bazaru dochodziły radosne odgłosy. Kulfi widziała, jak dzieci na ulicach skaczą niczym żaby, nie mogąc ustać na miejscu z podniecenia. „Robi się zimno – krzyczały i udawały, że dygoczą. – Idzie deszcz!” Mocowały się, rozochoczone, gdy tymczasem dorośli biegali w tym zmieniającym się, ciemniejącym świetle, chcąc zdążyć na targ i z powrotem, zebrać suszącą się bieliznę, wnieść do domu plecione łóżka. Witając się nawzajem unosili ręce i wołali: „Nareszcie! Monsun!” Kto wie, czy sprawił to gigantyczny wentylator, „żabie wesele”, dudziarz-szczurołap, czy niepojęta moc magicznych sztuczek? I w końcu, jakie to miało znaczenie? Do Szahkot zawitał deszcz. Monsun był w mieście. Kulfi śledziła w pełnym niedowierzania uniesieniu, jak zapach nadchodzącego deszczu nakłuwa powietrze niczym woń kwiatu, jak chmury nasuwają się ze wschodu, docierają do granicznych drzew i ruszają nad miasto.

W domu państwa Chawła gospodarz krzątał się z plastikowymi płachtami, Ammadzi zaś wystawiała na zewnątrz wiadra, aby nałapać deszczówki, i gromadziła świece oraz lampy naftowe, szykując się na nieuniknioną awarię elektryczności. Przystawali jednak od czasu do czasu, aby zbadać rosnącą siłę wiatru na swoich policzkach, spoglądali w górę, śledząc postęp nadciągających chmur. Wreszcie, przygotowani na ulewę, stanęli w oknach, tak jak Kulfi i cała reszta mieszkańców Szahkot, wychylających się z balkonów, werand, spod osłon motorowych riks; całe miasto trwało z oczyma niecierpliwie uniesionymi w górę, aż wreszcie szczególnie silny poryw wiatru pochwycił liście niczym ptaki, zrywające się na dźwięk strzału z dubeltówki, i przyniósł pierwsze krople wody, które głośno uderzyły o spieczoną ziemię.

Kulfi patrzyła na deszcz. Padał szybko, coraz szybciej. Wypełnił każdy skrawek nieba. Jego szum był jak żaden inny dźwięk na ziemi i nie przypominał niczego, co mogłoby zapowiadać mizerne ciurkanie kranów w Szahkot. Padał, najpierw czarny od pyłu unoszącego się w powietrzu i kurzu pokrywającego drzewa, potem przejrzysty. Ale z każdą chwilą coraz głośniejszy i głośniejszy. Wyciągnęła ręce, aby poczuć ciężar kropeł ma swoich rozpostartych dłoniach, a potem wystawiła również twarz, świetlistą i bladą, pośrodku tego miasta, zamkniętego w ciemnym sercu monsunu.

Wtedy poczuła kopanie Sampatha we wnętrzu brzucha. Serce podskoczyło jej do taktu. Kopał coraz mocniej i mocniej. Dżamun rosnący na podwórzu miotał się i walczył z wiatrem. Deszcz lał się strumieniem na głowę Kulfi i obmywał jej twarz.

– Nie stój w otwartym oknie! – krzyknął mąż. Nie zareagowała. Owinał ją folią, ale strząsnęła ją z siebie. Deszcz spadał w dół wielkimi, zagarniającymi wszystko płachtami.

Sąsiedzi cofnęli się szybkim, gwałtownym ruchem, zatrzasnęli okna, zamknęli drzwi na zasuwę, ale Kulfi wychylała się coraz dalej, dalej i dalej, aż deszcz wypełnił całe wnętrze jej głowy. Pochwycił jej mózg, masując go i wciągając ją w świat wodnych dźwięków, i wreszcie poczuła, że sama mogłaby zamienić się w burzę i zniknąć w tych podmuchach, tym ryku, tych błyskawicach trzepoczących szybko niczym skrzydła ćmy. Gdyby tylko puściła metalową ramę okienną, mogłaby zebrać wszystkie te nudne letnie dni i cisnąć je o ziemię, przemieniając je w wodę, wiatr i grzmot.

Kiedy echo grzmotu rozległo się w pobliżu, czuła, jak jej mięśnie się napinają. Znów zaryczał grzmot. Kulfi, przemoknięta, otworzyła usta i wydała z siebie ryk w odpowiedzi. W dole ziemia zniknęła. Formowały się małe sadzawki, te łączyły się, tworząc jeziorka i spływały w dół ulic jako rzeki. Rzeki zastąpiły ulice.

Zaledwie w dwie godziny później, gdy pan Chawla i Ammadzi biegali tam i z powrotem z prześcieradłami i gorącą wodą, burza wciąż ryczała, deszcz lał się do środka przez okna, które nie chciały pozostać zamknięte i przelewał się szparą pod drzwiami, urodził się Sampath. Kiedy jego buzia, brązowa, z ciemnym znamieniem na policzku, ukazała się, budząc aplauz rodziny, nad ich głowami rozległ się ryk, od którego niemal popękały im bębni, a następnie na ulicy dał się słyszeć potężny trzask.

– Co to było? – zapytał nerwowo pan Chawla, gdy ziemia zadygotała. Czy to możliwe, żeby narodziny jego syna zbiegły się w czasie z końcem świata? Zostawiając Kulfi i nowo narodzone dziecko pobiegli z Ammadzi do okna, aby sprawdzić, co się stało, i przekonali się, że nie ma to nic wspólnego z końcem wszechrzeczy, że przypomina raczej ich początek.

W gałęziach starego dżamunu zaklinowała się skrzynia z pomocą humanitarną Czerwonego Krzyża, upuszczona przez skołowany burzą szwedzki samolot, którego manewr musiał być z pewnością zaplanowany przez bogów. Odlatujący samolot wzniósł się wysoko w niebo i zniknął pośród kłębiących się chmur, najwyraźniej nie poruszony widokiem mieszkańców miasta, którzy skakali w dole i wymachiwali rękami, biegnąc, pomimo ulewy, aby powitać ten nieoczekiwany dar. W girlandach liści zdewastowanego dżamunu znaleźli pojemniki pełne cukru i herbaty, mieszanek rozpuszczalnych, mleka w proszku i razowych herbatników. Były tam niezidentyfikowane proszki w pudełkach, ozdobionych wizerunkami uśmiechniętych, cudzoziemskich kobiet. Było w bród

orzechów, rodzynek i puszek z żywnością dla niemowląt. Wszyscy biegali tam i z powrotem, z rękami pełnymi łupów.

Ulicznicy wspięli się wysoko na drzewo i stracali to, co utkwilo w połamanych gałęziach.

Chawla biegał w kółko, niczym ogłupiała kura, napełniając torbę na zakupy produktami, podczas gdy Ammadzi donosiła sąsiadom o narodzinach Sampatha, ogłaszając nowinę z okna, przy którym stało łóżko Kulfi. Wkrótce dom napełnił się życzliwymi osobami, przybyłymi, by złożyć życzenia. Rozprawiali z ożywieniem, nie wiedząc, czy mówić o dziecku, o deszczu, czy o żywności. „Wspaniale – nie przestawali wykrzykiwać, a woda, ściekająca z ich ubrań tworzyła kałuże u na podłodze. – Jakie piękne dziecko... i monsun – wyobrażacie sobie? Ach, i to jedzenie!... Co za dziecko!”

Tylko Kulfi pozostała cicha. Patrzyła na maleńką istotkę w swoich ramionach, istotkę, która wyglądała, jakby przybyła z zupełnie innej planety albo została odnaleziona w lesie, niczym coś dziwnego i nieznanego. Oczy dziecka były zamknięte, a paluszki mocno zaciśnięte. Twarzyczkę miało czerwona, główkę spiczasta. Kulfi patrzyła na tę niezwykłość i czuła, jak zstępuje na nią uczucie spokoju i ukojenia. Niedługo burza się skończy, świat się uciszy i rozkwitnie woniami, powietrze stanie się miękkie i zwietrzałe, niczym senna godzina. Wkrótce w powietrzu zaczną fruwać skrzydlate mrówki, a jaszczurki utuczają się na niezliczonych owadach. Drzwi się spaczają i nie będzie można ich zamknąć, kiedy raz się je otworzy, ani otworzyć, jeśli będą zamknięte. Pleśń zazieleni się kusząco i armie grzybów zaczną się gromadzić w szafce pod zlewem.

Starając się w swoim rozradowaniu uwzględnić Kulfi, sąsiedzi zapewniali ją, że jej syn został przeznaczony do wielkości, że zauważył go świat, wielki i tajemniczy poza granicami Szahkot. „Patrzcie! Nawet ludzie w Szwecji pamiętali, żeby przysłać prezent urodzinowy. Nazwijmy go Sampath, mówili. Sampath – szczęśliwy los”. Bo chociaż nie był może zbyt pulchny ani zbyt biały, jego płęć była triumfalnie i bezdyskusyjnie męska.

W wyśmienitych humorach, pojadając żywność z darów, świętowali przy świetle świec, bo elektryczność oczywiście wysiadła.

II

Dwadzieścia lat później, dokładnie w tym samym domu i w tym samym pokoju, Sampath Chawla o pajęczych nogach i rękach, chudy i znękany, leżał bezsennie pod wentylatorem. Ten chwiał się i miotał nad nim, czyniąc tyle hałasu, co wichura, chociaż Sampath czuł jedynie słabiutkie drżenie powietrza, igrającego z palcami jego stóp.

Wokół niego spała i chrapała jego rodzina: ojciec, matka, babka i młodsza siostra Pinky, zakutana w zwoje kwiecistej organzyny. Rrrrr. Rrrrr. Furrrr. Hrrrr. Rrrrr. Co za zgiełk! Sampath wsłuchiwał się w każdy gwałtowny wdech. Nawet podczas snu – myślał zde gustowany – jego rodzina jest niezdolna do kulturalnego liczenia się z uczuciami innych osób. Folgując sobie jak zawsze, przedzierali się hałaśliwie przez swoje sny, podczas gdy Sampath leżał, rzucając się bezsennie na łóżku. Nawet matka, którą kochał najbardziej ze wszystkich, zapomniała o nim w swoim śnie.

Wierzgnął niecierpliwie nogą w powietrzu. „Szszzsz” – powiedział na głos, ale był to mizerny, smutny dźwięk, na który nikt nie zwrócił uwagi. „Hrrrr. Rrrrr. Rrrrrr”. Wielka szkoda, że nie są dość zamożni, aby każdy mógł mieć własny pokój i własny wentylator. Mimo wszystko Sampath zdecydował, dla własnego dobra, że najlepiej będzie pohamować rozdrażnienie. Jego rodzina może nie być w stanie uszanować świętej ciszy, jaką powinien być przepojony sen, ale on nie pozwoli, by to wyprowadziło go z równowagi.

Czyniąc jeszcze jeden wysiłek i raz jeszcze zaczynając od nowa, zmienił położenie ciała, tak że głowa znajdowała się teraz w miejscu, gdzie wcześniej były nogi. Mizerny podmuch pochwycił kosmyk jego włosów i omiółł nim twarz, łaskocząc niczym mucha. Sampath odgarnął kosmyk, podrapał się po twarzy i znów się opanował.

Wentylator zaskrzypiał. Sampath pomyślał, że może spaść, rozplaszczając jego twarz niczym dziecięcy rysunek. Ta myśl stała się coraz bardziej uporczywa. W końcu dopiero co czyścił go elektryk, a Bunty Chopra był znany w całym Szahkot ze swoich skłonności do fuszerki.

Sampath wstał spod tego niebezpiecznego urządzenia i położył się na podłodze, rozrzucając ramiona, nogi i palce tak daleko od siebie, jak tylko

się dało, tak, aby żadna część jego spoconego, cierpiącego niewygodę ciała nie dotykała innej. Leżał w ten sposób, płasko, otworzywszy szeroko usta, aby maksymalnie ułatwić oddychanie i, jak miał nadzieję, przyspieszyć nadejście snu. Jednak ledwie się w ten sposób ułożył, prąd wysiadł i wentylator zwolnił, zatrzymując się w martwym punkcie. Zamiast ulecieć w jakąś błogą, spowitą chmurami dziedzinę, uwaga Sampatha wyostrzyła się jak nóż w tych wszystkich miejscach, gdzie jego kości uciskała twarda podłoga. Raz jeszcze, mimo woli, uświadomił sobie chrapanie swojej rodziny, która piętrzyła się nad nim zatrważająco, gdy tak leżał na podłodze, a ich biodra wznosiły się niczym góry, o wiele za wysokie do wspinaczki.

Jak niby miał odpoczywać, kiedy ryczeli i dygotali niczym giganci? Kiedy odgłosy ich chrapania, docierające aż pod sufit, kursowały tam i z powrotem, kumulując się, coraz bardziej denerwujące, ciężące na nim niczym młyński kamień? Pokój był gorący i duszny. Jego ciało ciężkie i otępiałe. W nagłym przebłysku pojawił się, że być może już nigdy nie będzie w stanie się poruszyć. Tonął; za chwilę miał się pogrążyć jak głaz w miejscu głębokim i ciemnym, na samym dnie morza. Czyniąc heroiczny wysiłek, napędzany uczuciem straszliwej paniki, Sampath zebrał całą siłę woli. W imponującym, acz nie obserwowanym przez nikogo akcie determinacji zerwał się, wbiegł do salonu i wyprysnął przez drzwi prowadzące na dach.

Było tam jednak równie gorąco jak w pokoju na dole. Księżyc, blady i jakby pokryty pleśnią, stanowił zaledwie martwą smugę na tle nocy. Ani jedna z ulicznych latarni nie działała i wszyscy wiedzieli, że tak będzie aż do następnych wyborów lokalnych. Wtedy nastąpi ożywienie, posypią się pięcio- i dziesięciopunktowe plany usprawnienia dostaw elektryczności i – jak zawsze – obietnice wprowadzenia nowoczesnej technologii w ilości wystarczającej, aby wysłać Szahkot i jego mieszkańców w podskokach w dwudziesty pierwszy wiek. Sampath chodził tam i z powrotem, jarząca się blado plama jego piżamy była jedynym ruchomym szczegółem pośród tej zastygłej nocy, która wydawała się opinać jego ciało tak szczelnie, że był pewien, iż nie będzie w stanie jej z siebie strząsnąć. Pozostanie tak, przywarta do niego, choćby skakał i walił kijem naokoło siebie.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Chodził, aby się uspokoić, jak chodzi się z płaczącym dzieckiem, które nie może usnąć. W górze nie było gwiazd, od czasu do czasu pojawiały się jedynie światła samolotów, przelatujących tędy w drodze, kto wie dokąd? Do Kalkuty? Madrasu? Madurai? Do Anglii lub Ameryki? To było okropne – czuwać tak, gdy jedni

ludzie lecieli, unosząc ze sobą świat, ponad jego głową, a inni spali, wydzierając go spod jego stóp. Jednak z ulgą wyczuwał pod stopami szorstkie, zapiaszczone cegły, ich nierówną powierzchnię i szachownicę ostrych kantów, gładki chłód spadającego od czasu do czasu liścia. Podnosił je jeden po drugim i przykładał do ust, naśladując monotonne „prrrrrr” świerszcza, zwijał, pocierając o policzek i o swoje lepkie, gorące dłonie, aż one również stawały się ciepłe i wilgotne. Skosztował nieco imbirowej zaprawy ze słoików, które wystawiono na dach, aby dojrzały, wraz z całym rzędem słoików mango, limony i dyni. W miarę jak noc posuwała się naprzód, próbował po trochu z każdego słoika, aby zdecydować, który rodzaj – jeśli w ogóle któryś – smakuje mu najbardziej. I tak, mimochodem, pomiędzy jedną a drugą porcją, którą napełniał usta, sam nie wiedząc kiedy zaczął śpiewać:

– Prędzej, czy później – nucił miękko – nadejdzie czarodziejska godzina, kiedy spotkam księżniczkę z królestwa Cooch Behar.

Przejeżdżający samochód posłał oślepiające światło swoich reflektorów, płynne i szalone, na ściany budynków i pomiędzy drzewa, odsłaniając nie barwy, nie dzienną materialność przedmiotów, ale świat ciemnych dziur, wyciętych w pustej powłoce światła.

– Kiedy usta otworzę – co rzec, nie będę wiedział wcale, a ta pani, taka subtelna i piękna, minie mnie i swoją drogą pójdzie dalej. Żegnaj, księżniczko z Cooch Behar, może kiedyś spotkamy się znów.

Dźwięk własnego słabego głosu, śpiewającego tak odważnie, podniósł go nieco na duchu.

Kiedy minął go stróż nocny, wracający do siebie z bogatego domu w sąsiedztwie, gdzie pracował, Sampath chwiał się na nogach z niewyspania. Piiip... piiiip... piiip – zagwizdał stróż na swoim gwizdku, jak gdyby miał niesympatyczny zamiar obudzenia wszystkich, którzy być może jeszcze śpią.

Sampath patrzył, jak cienie znikają, jak miasto Szahkot znów ukazuje mu się, całe i nietknięte, z labiryntem ulic i przepelnionymi wysypiskami śmieci. Ujrzał, jak po trochu wyłania się płatanina drutów na szczycie słupa wysokiego napięcia, jak rosną wokół niego brudne, pokryte plamami ściany domów, z galimatiasem dachów i balkonów, z natłokiem anten telewizyjnych, sznurów od bielizny, z podwórkami pełnymi rowerów, oskubanych roślin i wszelkiego rodzaju dobytku, należącego do hałaśliwych i licznych rodzin. Ruszyły miejskie wodociągi. Z

każdej kuchni i łazienki w Szahkot rozlegał się dźwięk pomp, cienkie strumyczki wody zaczęły ciurkać do pierwszego w długim rzędzie wiader, garnków i rondli, czekających, aż zostaną napełnione. Na dole pojawił się ojciec Sampatha ze swoją matką do jogi. Z domów jęły wyłaniać się kobiety, spieszące do straganu matki Mleczarki, a kapłani w świątyni zaintonowali pieśń. Ich głosy były głębsze i silniejsze niż głos Sampatha, hymny wznosiły się falując, szybowały ponad dachami domów.

Sampath zastanawiał się, czy tuman spowijający jego mózg rozwiałby się pod wpływem mocnej porannej herbaty z dodatkiem solidnego mycia zębów i czy pustka w jego brzuchu da się kiedykolwiek zapełnić. Schodząc po schodach do domu spotkał Ammadzi, wychodzącą z wiaderkiem po mleko, omotaną byle jak w swoje białe sari. Wyglądała niczym wyblakłe morskie żyjątko, wyrzucone na brzeg przez fale, naznaczone przyplływami i odpływami, zmięte i pomarszczone.

Ammadzi popatrzyła w zmęczone oczy swojego wnuka.

– Nie spałeś? – zapytała. – Jak przetrwasz dzień? – Uszczypnęła go w policzek z łagodnym wyrzutem.

III

W podwórzu na dole pan Chawła przystąpił do swoich porannych ćwiczeń. Zdecydowany rozpocząć dzień w sposób celowy, zgodnie z planem i obyczajem, wypluł resztki snu w idealnie wymierzonym, tęczowym łuku rozpylonej śliny. Stał na słonecznej plamie, tam, gdzie cień drzewa nie mógł go dosięgnąć. W miejscu, gdzie w noc narodzin jego syna wylądował kontener Czerwonego Krzyża, wciąż widoczna była wielka wyrwa, która szpeciła elegancką poza tym sylwetkę drzewa. Pan Chawła schylił się, dotykając palców u nóg, po czym wygiął się do tyłu, tworząc idealny łuk, tak napięty i zwarty, że mężczyzna mógłby się z jego pomocą katapultować w niebo.

– Ommmmm. – Jego głos szybował triumfalnie ponad dachami. – Ommmmm – grzmiał, błyskając zębami w świetle poranka. – Ommmmm – informował świat, że pan R.K. Chawła (mgr, dst.), szef personelu Banku Rezerw w Szahkot, gotów jest rozpocząć nowy dzień. Powietrze wibrowało jak przeszywane strzałami. Pan Chawła miał czterdzieści lat, był krzepki i zdrowy. I jeżeli odrobinę łysiał i miał niewielki brzusek... cóż, lubił ten wygląd, dodawał on wagi jego słowom i budził respekt. Wychodził z domu zdecydowanym krokiem, pewny siebie, zawstydzając pożałowania godnych młodych ludzi, którzy snuli się po mieście i zaniedbywali swoje obowiązki. Wymachiwał rękami, uderzał się z rozmachem po bokach i biegał truchcikiem tam i z powrotem po podwórku.

Później, nacierając się olejkiem kokosowym w niewielkiej łazience, wołał spoza zamkniętych drzwi:

– Proszek do zębów jest na wykończeniu. Można go dostać w Diana Stores. – Albo: – Może byście poszli i dowiedzieli się, jak tam gorączka pani Lakshmidzi. – Albo: – Trzeba przetkać odpływ. Nie miejcie do mnie pretensji, jeśli zagnieździ się tu największa na świecie kolonia karaluchów.

Miał nadzieję natchnąć swoją rodzinę pragnieniem przeżycia równie aktywnego i obiecującego dnia. Podczas kąpieli trzaskał głośno wiadrami i energicznie chlustał na siebie wodą z kubka, zalewając całą łazienkę, aż miniaturowe fale przelewały się przez szczelinę pod drzwiami. Gdy się pojawił, wyświeżony, o gładkich policzkach, pachnący mydełkiem lifebuoy, w domu zapanował taki rejwach, że, zdaniem rodziny, cała reszta dnia będzie im potrzebna, by doszli do siebie.

Należało przeprosować jego koszulę. Okazało się, że jego buty są zakurzone, brudne i nie wyglansowane. Skarpetki go denerwowały, bo się fałdowały, opadając do kostek, zamiast – z miłym pstryknięciem, jakie wydaje dobra gumka – zatrzymywać się na pożądanej wysokości w połowie łydki. Ammadzi i Pinky biegały tam i z powrotem, usiłując zaspokoić jego życzenia.

Próbując skoordynować różnorodne działania, niezbędne do rozwiązania jego problemów, pan Chawla, jak to miał w zwyczaju, czytał równocześnie na głos wyjątki z gazety.

– A co, nie mówiłem? Następny skorumpowany polityk. Zanim na dobre się uporamy z jednym międzynarodowym skandalem, już mamy następny. Nasi politycy stają się zbyt nieostrożni. Otwierają w szwajcarskich bankach więcej rachunków niż mają czapeczek a la Gandhi dla odwrócenia naszej uwagi. Ani jednego prawdomównego polityka w całym kraju. Tak, nasz parlament składa się ze złodziei, z których każdy odpowiada przed premierem, a ten jest największym złodziejem z nich wszystkich. Patrzcie, jak mu się powodzi. Na każdym kolejnym zdjęciu jest tłustszy niż poprzednio.

Jednak Kulfi to nie interesowało. Siedziała w oknie, myśląc o głęboko ukrytym, przepojonym mocnymi woniami świecie owoców pieprzu i kory cynamonowej, o paczkach goździków i kasji, o szafranowych znamionach krokusa. Za nią na ścianach widniały ślady rysunków, które zrobiła przed tyloma laty, wciąż przebijające spod cienkiej warstwy farby. Dziś już wszyscy byli zgodni, że jest, delikatnie mówiąc, odrobinę ekscentryczna. Jej głód podczas pierwszej ciąży, a potem podczas następnej, przybrał postać trwałej obsesji na punkcie jedzenia. Z biegiem lat dziwaczała coraz bardziej. Całkowicie ignorując harmider wywołany przez męża, nadal wyglądała przez okno, gdy tymczasem jej córka przystanąła w drodze do łazienki, krytykując dobór odczytywanych na głos informacji prasowych.

– Uff! – powiedziała Pinky zirytowana, wymachując ręcznikiem.

– Czym się tu podniecać? Ciagle ta sama stara historia. Co roku ten sam skandal. Dlaczego nie przeczytasz o czymś, co nas dotyczy? Na przykład o kinowej małpie?

– O jakiej małpie? – zapytał ojciec, zdezorientowany.

– Widzisz, zupełnie się nie orientujesz, co się u nas dzieje! Przez cały ostatni miesiąc robiła straszne zamieszanie pod kinem, napastując kobiety; ciągnęła je za sari, dopóki nie upuściły tutki z fistaszkami. A chłopcy z uniwersytetu przychodzą teraz specjalnie do kina, wcale nie na

film, tylko popatrzeć na dziewczyny, którym ściąga się ubranie! Ha ha! Jestem zbyt przerażona, żeby się tam wybrać.

Ojciec sarknął.

– Mogłabyś zabrać ze sobą Sampatha – powiedziała Ammadzi, próbując znaleźć dla pana Chawli odpowiednią parę skarpetek i równocześnie popijając herbatę ze spodeczka. – On by cię obronił.

– Sampath – powiedziała Pinky. – Co by mi to dało! Małpa obrałaby mnie prawdopodobnie za najlepszy cel, gdyby Sampath był ze mną.

– Racja – zgodziła się Ammadzi i pociągnęła następny łyk herbaty. – Nie jest zbyt groźny. Biedny Sampath – powiedziała. – Spójrzcie na niego. Siedzi sobie, biedak, siedzi, jak zwykle, bez podwyżki czy perspektywy awansu.

Pan Chawla spojrział w stronę, gdzie jego syn siedział zgarbiony nad stołem, wśród rosnącego bałaganu okruchów, jaki tworzyło wokół talerza jego śniadanie. Naprzeciw niego mucha, wibrując niczym helikopter, zataczała coraz niższe kręgi nad salaterką owoców, po długim zastanowieniu wybranych przez Kulfi na straganie. Precyzyjna niczym pilot, wylądowała na najdojrzalszej gruszce na półmisku. Można sobie wyobrazić jej zachwyty, że znalazła coś takiego w mieszkaniu. Biegała tam i z powrotem, aby ocenić rozmiary swojego znaleziska, zatrzymując się jedynie od czasu do czasu, aby zatrzeć swoje cienkie, czarne łapki gestem chciwego biznesmena. Sampath podniósł rumianą kulę owocu, aby lepiej się przyjrzeć pyszczkowi o długiej trąbce, kiedy coś śmignęło mu tuż przed nosem. To pan Chawla, bezlitosny dla muchy, widząc rozpaczliwy brak inicjatywy swojego syna, opuścił zwiniętą gazetę. Bach! – i z muchy pozostały jedynie wątle nóżki, powiewające nad kupką brudnej mazi, i rozmazane, opalizujące skrzydełko.

– Czy ty masz rozum? Bóg jeden wie, z jakich śmietników i kup gnoju te muchy pochodzą. Dalej! Jedz swoje śniadanie. – Usiadł przy stole naprzeciw syna i odłożył gazetę. – Co tam słyszać w pracy?

– W porządku – wymamrotał Sampath.

Ta odpowiedź zirytowała pana Chawłę.

– W porządku! – wykrzyknął, unosząc brwi. – W porządku? – Nie wydajesz się o tym zbyt przekonany. Gdyby wszystko było w porządku, nie zarabiałbyś tyle samo, co w zeszłym roku i dwa lata temu, prawda?

Jeden po drugim, wszyscy koledzy z klasy Sampatha znaleźli w końcu zatrudnienie. Nawet ci, których świadectwa wyglądały dokładnie tak samo jak jego. Świadectwa z taką ilością czerwonych jedynek, że cyfra ta wydawała się mnożyć w nadmiarze, rozpanoszona dziko z braku konkurencji ze strony innych cyfr. Tylko Sampath pozostał bezczynny, spędzając długie, błogie godziny na drzemce w ulicznych herbaciarniach, nucąc sobie pod nosem w miejskich ogrodach, dopóki pan Chawla nie znalazł dlań odpowiedniego zajęcia.

– Co to za praca? – dopytywali się ciekawscy i wścibscy mieszkańcy Szahkot.

– Jest urzędnikiem państwowym – odpowiadał pan Chawla.

Urząd państwowy! Ludzie myśleli o popołudniowych sjestach. O chłopcach, biegających przez cały dzień tam i z powrotem z dymiącymi szklankami herbaty z mlekiem. Myśleli o darmowych lekach w punktach rozdawnictwa i o emeryturach. O talonach i telefonach. O podłączeniu gazu, które można było załatwić bez trudu. Myśleli o tym, jak wiele uroczystości i wolnych dni jest w tym kraju i o tym, że państwowe biura są w każdy z takich dni zamknięte. Wyobrażali sobie pracę, gdzie, nawet gdy twój szef jest dla ciebie niemiły, zawsze znajdzie się mnóstwo ludzi, na których ty możesz krzyczeć, i to głośniejsze, niż twój szef nakrzyczał na ciebie. Na przykład zamiatacz albo goniec. Można powiedzieć: „Gdzie podziałeś swój rozum? Czyżbyś zgubił go w drodze do pracy?” Albo: „Uważaj, bo dostaniesz takiego kopniaka, że wylecisz z Szahkot i zatrzymasz się aż w zatoce Bengalskiej”. Jak miło mieć pracę tego rodzaju! To naprawdę świetna sprawa mieć syna w służbie państwowej. Ludzie myśleli o ministerstwie finansów. O przemyśle. O leśnictwie i departamencie spraw kobiecych. O rybołówstwie. O kulturze i sztuce. O transporcie.

Jednak Sampath, pracujący na zapleczu urzędu pocztowego w Szahkot, nie uważał się wcale za takiego strasznego szczęściarza.

Pan Chawla połknął cały ząbek oczyszczającego krew czosnku, popijając go hałaśliwie wodą. Syn strasznie go irytował. Pamiętał, jak sam był młodym człowiekiem, obiecującym i pełnym energii. Bystry, obrotny i szybki – przeciwieństwo syna, który teraz, gdy mucha została zabita, siedział, kontemplując z pustym, beznadziejnym wyrazem twarzy rozplywające się w herbacie mleczne plamy.

– Praca – powiedział pan Chawla, inaugurując jeden ze swoich wykładów, których czuł się w obowiązku udzielać Sampathowi od czasu do czasu – praca ma dwie zasadnicze strony. I nie ma znaczenia, czy jesteś premierem, czy zamiataczem, są to te same dwa punkty. Po pierwsze, praca jako taka. Zawsze dawaj z siebie jak najwięcej. Nawet jeśli wymaga to od ciebie nieco dodatkowych starań, na przykład dokonania rezerwacji kolejowej dla twojego szefa, nie narzekaj. To w końcu drobiazg.

Ammadzi wyszła z kuchni, gdzie przygotowywała drugie śniadania. Kulfi gotowała tylko wtedy, kiedy ogarnęło ją natchnienie, pozostawiając prozaiczne kucharzenie Ammadzi. – Czy chcecie na drugie śniadanie zwykle parathas, czy z rzodkiewką?

– Ja chciałabym pawie z owocami granatu – powiedziała Kulfi tak miękko, że nikt jej nie dosłyszał.

Pan Chawla machnął niecierpliwie ręką w stronę matki, odpowiadając za siebie i za Sampatha.

– Z rzodkiewką – powiedział i odprawił Ammadzi machnięciem ręki. – Kiedy twój szef mówi do ciebie, zawsze wstawaj – okazywanie szacunku nie przynosi ujmy – i mów: „Zajmę się tym natychmiast, proszę pana”. W ten sposób dochodzimy do drugiego zasadniczego punktu.

Matka znów weszła do pokoju.

– Mogę zrobić wam alu badži – powiedziała – jeżeli parathas nie wystarczą.

– Bażanty, pawie, granaty – wymamrotała Kulfi.

Ale znów nikt jej nie dosłyszał, a pan Chawla zwrócił się do Ammadzi:

– Mamy ważną rozmowę, a ty się wtrącasz ze swoimi pakunkami z drugim śniadaniem. Czy chcecie alu badži, czy chcecie rzodkiewki... a my tu usiłujemy porozmawiać o perspektywach kariery Sampatha.

– A o czym ja mówię? – zaprotestowała. – Ja też mówię o perspektywach kariery Sampatha. Jeżeli nie będzie się solidnie odżywiał, nie dotrze nawet do biura. Przewróci się z głodu i wpadnie do rynsztoka. W końcu, jak można siedzieć i dodawać liczby przez cały dzień, kiedy ma się zero jedzenia w żołądku? – zapytała triumfalnie.

– Włóż co chcesz do tych pakunków – krzyknął pan Chawla, tracąc cierpliwość. – Jakie to ma znaczenie? Może byś raz pomyślała o czymś innym niż jedzenie? Nic by cię nie obeszło, gdyby niebo zawaliło się na

głowę twojego wnuka, byleby tylko miał usta pełne gulab dżamunu. Nic dziwnego, że chłopak skończył w ten sposób, spędzając życie na najniższym szczeblu drabiny.

Sampath siedział pomiędzy nimi i wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić.

– On już taki jest – mruknęła Pinky: malowała paznokcie w porannym słońcu, które wlewało się przez okno, i przyglądała się z satysfakcją swoim dłoniom. – Taką ma naturę. Ale powinien kupić sobie nowe buty u Baty. Do niczego nie dojdzie, jeśli będzie wyglądać tak, jak wygląda.

– Och, dajcie mu spokój – powiedziała Ammadzi. – Jego gwiazdy są szczęśliwe. To jest po prostu przejściowa faza. Porządny masaż głowy każdego dnia i przeszkody w jego rozwoju znikną.

– Phi! – prychnął pan Chawla. – Rozwój! Od kiedy się urodził, ten chłopiec rozwijał się stale w niewłaściwym kierunku. Zamiast starać się dążyć coraz wyżej, wyruszył na wspinaczkę w dół i w tej chwili jest niemal tak blisko dna jak nigdy dotąd.

– Ale ziemia jest okrągła – powiedziała Ammadzi, pełna uznania dla własnego sprytu. – Poczekajcie, a zobaczycie! Nawet jeśli się wydaje, że zdaża w dół, pojawi się w górze po drugiej stronie. Tak, na wierzchołku świata. Po prostu wybrał dłuższą drogę.

– On nie wybrał żadnej drogi, powtarzam ci. Kompletnie zgubił drogę. Po prostu siedzi na poboczu, bawiąc się z muchami. – Pan Chawla zwrócił się znowu do Sampatha, który zamknął oczy, wyobrażając sobie długi, spokojny sen w chłodnym, ciemnym miejscu. – Rusz się – przynaglił go. – Szykuj się do pracy. Już dziewiąta. Czemu jeszcze tutaj tkwisz niczym kartofel? – Skrzywił się ze zniecierpliwieniem. – Co jest z tą rodziną? Jestem tu jedyną osobą z jakimś poczuciem odpowiedzialności, jakimś pojęciem o tym, jak ten świat funkcjonuje. Gdyby nie ja, Sampath siedziałby w specjalnym muzeum dla ludzi, którzy stanowią krzyżówkę pomiędzy ziemniakiem a istotą ludzką. – Tonem przewodnika wycieczek zaintonował: – Spójrzcie, jak to osobliwe warzywo spędza dzień. – I aby pokazać, co myśli o sposobie spędzania dnia przez to osobliwe warzywo, wziął swoje zawiniątko z drugim śniadaniem i wymaszerował do pracy, głośno i zdecydowanie akcentując na schodach każdy krok.

– Bażanty, pawie, owoce granatu, ziemniaki... biedny Sampath – mamrotała Kulfi do siebie.

IV

Urząd pocztowy, jak tyle innych gmachów publicznych, był pomalowany na żółto. Z biegiem lat barwa wypłowiała, harmonizując teraz idealnie z obłokiem kurzu, który unosił się zawsze wokół Sampatha, gdy jechał rowerem do pracy. Jechał na skróty główną drogą wiodącą na bazar, potem przez teren szpitala i wreszcie pod ogrodzeniem z drutu kolczastego, które zostało wzniesione wokół urzędu pocztowego, aby podkreślić jego charakter jako domeny oficjalnego porządku i ładu. Ogrodzenie, rzecz jasna, nie pozostało nietknięte, gdyż mieszkańcy Szahkot, którzy nigdy nie respektowali takich niemądrych inicjatyw, zabrali się do roboty najszybciej jak się dało, aby zdemontować tę niefortunną przeszkodę. W swoich domach, ogrodach i na podwórkach, wszędzie odkryli nagle zapotrzebowanie na drut, i przez cały dzień, gdy, dajmy na to, wydłubywali irytujący okruch betelu spomiędzy zębów lub układali stopy na przyjacielskich kolanach dla masażu, doznawali natchnienia w kwestii drutu. Zawsze pragnęli wydrapać swoje imię na korze pewnego drzewa lub na kopule pewnego chronionego pomnika. Zasłona potrzebowała haczyków. Furtka – jakiegoś zamknięcia. Była roślina, która nie chciała trzymać się prosto. Koza, która chciała zjeść roślinę. Pies, który chciał ugryźć kozę. Pojawiła się pilna potrzeba postawienia płotu w pobliżu domu. Wkrótce dziury pojawiły się wszędzie wokół, a tam, gdzie ich nie było, ten czy ów podciągał drut na słupku w górę lub przydeptywał go do ziemi, aby umożliwić swobodne poruszanie się po mieście.

I tak urząd pocztowy stał pośród tumultu i zgiełku Szahkot. Dzieci szkolne, żebracy, garncarze i malarze szyldów. Krowy, świnie i bawoły domowe. Instruktorzy kursów ikebany z politechniki. Wykładowcy matematyki. Urzędnicy z instytutu astmatologii i kucharze. Lekarki i dyrektor ośrodka dla chorych umysłowo. Księgowi. Pończosznicy. Naprawiacze parasoli. Piekarze i sprzedawcy jajek. Handlarka ryb. Muchy. Prac, ledwie widoczny spod prześcieradeł i ręczników. Sadhu w pomarańczowej tunice, uśmiechający się i kłaniający mimo upału. (Naprawdę Indie są krainą cudów). Skutery i riksze, ciężarówki i samochody. Matka, ojciec, szwagierka i kuzyn czwartego i piątego stopnia, w drugim i trzecim pokoleniu. I Sampath w drodze do pracy z Pinky na tylnym siodełku, kreślący zygzakowatą linię poprzez to wszystko w

poszukiwaniu obiecującego cienia pod murami, drzewami i markizami, gdyż poranne słońce przypiekało już mocno. Przeskakując z jednej błękitnej sadzawki cienia w drugą, podążał kapryśnym szlakiem poprzez tłum, który reagował fukaniem i krzykiem, potężnym trąbieniem klaksonów i kompletnym chaosem.

– Stój! – Pinky grzotnęła brata w plecy. – O mało nie spadłam! Czy nawet pedałowac nie potrafisz prosto? – Jechali jeszcze przez chwilę. – Puść mnie! – Zabębniła znowu. – Mam tego dosyć. Wolę skorzystać z komunikacji miejskiej. Przez ciebie robi mi się niedobrze.

Sampath zatrzymał się i Pinky – łypiąc na niego – poprawiła swój fantastyczny strój z poliestru w barwach zachodzącego słońca, po czym pomaszerowała w kierunku przystanku autobusowego. Patrzył za nią, przystanawszy na chwilę, by wypić szklanke lodowato zimnej wody z wozu rozwoziciela.

Gdy za zakretem pojawił się autobus, jak zwykle pękający w szwach, Pinky wyciągnęła z włosów szpilke, aby mieć broń przeciw mężczyznom, którzy zachowywaliby się nieodpowiednio, widząc taką ładną dziewczynę tak blisko siebie. Rzuciła się na przepelnione stopnie i zawisając na nich ze stopami dyndającymi po wariacku w powietrzu, dźgnęła szpilką mężczyznę, który nie tylko zajmował jej zdaniem zbyt dużo miejsca, ale popełnił bład, mrugając do niej, nieświadomy, z kim ma do czynienia. Sampath słyszał, jak ten krzyczy przerażony. Jego głos niósł się z okna autobusu w dół ulicy.

Wszyscy pozostali pasażerowie również krzyczeli. Jedni, usiłując przywrócić spokój: „Czemu zaraz robić tyle szumu o taki drobiazg jak mrugnięcie?” Inni, solidarnie: „Świetnie. Dobrze mu tak. Daj mu nauczkę”. Jeszcze inni dobitnie i z dezaprobatą: „Niektóre panie powinny mieć nakaz chodzenia do pracy piechotą”. Autobus zniknął w kłębach spalin.

Sampath wykaszał się i ruszył w dalszą drogę, pedałowując na skróty przez teren szpitala. Gdy zbliżał się do poczty, jak zwykle zapomniał pochylić się dość nisko, aby uniknąć pewnego sterczącego kawałka drutu, który oczywiście pochwycił i wyrwał mu z głowy sporą kępkę włosów. Być może później przejmą ją wrony jako doskonały materiał do budowy gniazd. Sampath zastanawiał się, czy jest szczególnie hojnym sponsorem rozwijającej się wroniej społeczności Szahkot. Czy grozi mu z tego powodu przedwczesne wyłysienie? Czy może jego włosy, zdopingowane przez puste placki, wystrzelą ponownie, gęstsze i bardziej prężne niż kiedykolwiek?

Swoje pytanie skierował do przechodzącej krowy. Ona spojrzała na niego smutnymi oczyma, w których, jak mu się zdawało, wzbierały wielkie, wilgotne łzy. „Kto wie?” – odpowiedział za nią pospiesznie, aby nie narażać się na jej milczenie. Po czym, opierając rower o słupek, rozłożył ręce gestem: „Kto wie?” i wbiegł pędem do działu korespondencji.

Wnętrze urzędu pocztowego było ciemne i ponure. Z niewyjaśnionych przyczyn jedynym oknem było maleńkie okienko, w którym sprzedawano znaczki pocztowe, niemal zawsze zamknięte na głucho. Spinacze, formularze i skoroszyty wały się wszędzie dookoła na szarej, brudnej podłodze, a chwiejne, czarne od kurzu sterty wiekowych ksiąg i listów piętrzyły się, by zniknąć gdzieś w górze, w bezbarwnym, cętkowanym mroku.

Sampath zatrzymał się w drzwiach z zaciśniętymi powiekami, aby dać oczom czas na przejście ze słońca do cienia. W końcu tej nocy nie spał i powinien być szczególnie ostrożny. Wolno uniósł powieki, pozwalając źrenicom odkryć mrok, dostrzec powietrze, które przypominało cienie mętnej wody w stawie. Było lato: krajobraz miał do zaoferowania jedynie kilka wytartych kolorów, zmysły były w większości obezwładnione gwałtownie skonstrastowanym światłem i cieniem.

– O, Sampath – wykrzyknęły dwa głosy, gdy wszedł, z wyraźną ulgą, że to on, a nie kierownik urzędu pocztowego, po czym podjęły rozmowę, toczoną najwyraźniej od dłuższego czasu. Po chwili Sampath zdołał rozróżnić dwoje kolegów, siedzących w mroku, z nogami opartymi nawzajem na swoich krzesłach i rozprawiających na temat tej samej małpy, na którą Pinky uskarżała się tego ranka.

– To było strasznie żenujące – powiedziała panna Jyotsna. – Zanim się zorientowałam, ta małpa rozdarła mi sal war i uciekła z moją tutką fistaszków. Teraz muszę sprawić sobie nowy salwar i może pan sobie wyobrazić, jakie mam problemy z krawcem. Mówię do niego: „Albo pan nie wie, jak się posługiwać miarą, albo w ciągu jednej nocy skurczyłam się o połowę. Jak mam chodzić w tym wielkim namiocie? Jak ja będę wyglądać?” A on na to: „Dobrze będzie pani wyglądać, cioteczko, bo salwar leży doskonale”. „Proszę nie nazywać mnie cioteczka”, mówię do niego. „Co pan sobie myśli, czy jestem taka stara, że może pan nazywać mnie cioteczka?” I proszę zobaczyć, jak sknocił mi halkę... – Spod sari ukazała się przymarszczona falbanka, która miała być tak po partacku uszyta.

Sampatha zamurowało. Panna Jyotsna machnęła stopą w powietrzu. (Jakie czerwone paznokcie! Jak klejnoty, jak żuczki, piękne, czerwone paznokietki!) Czuł się, jak gdyby jego uszy zostały powleczone cienką warstwą papryki.

Pan Gupta, który w najmniejszym stopniu nie podzielał zdolności Sampatha do cichej obserwacji, gwałtownie się ożywił.

– O nie! – pogroził palcem. – Pod żadnym pozorem nie powinna pani nosić tego odcienia zieleni. Proszę spojrzeć, jak to się gryzie z pani karnacją.

– No, no, panie Gupta, co też pan mówi? – zawołała panna Jyotsna z udanym przerażeniem, co go rozbawiło. (Zęby, które odsłonił w uśmiechu, były lśniaco białe, tym rodzajem bieli, który w zakurzonej i żółtej kraju występuje tylko w pewnych zastrzeżonych miejscach, takich jak usta).

– Czy nigdy nie patrzy pani w lustro? – przekomarzał się z nią. – Proszę spojrzeć i sama się pani przekonaj, że mam rację. – Mrugnął.

– Czy będzie pan moim weselnym konsultantem w sprawie mody? – Ona też się roześmiała. – Najwyraźniej orientuje się pan znacznie lepiej niż ja. Prawda, Sampath? – Zalotnie szturchnęła pana Gupta linijką, a ten zachichotał jeszcze głośniej. – Co pan na to? Powie mi pan, jak się ubrać na wesele?

Wesele córki kierownika urzędu pocztowego miało się odbyć w Ogrodach Badszah, sąsiadujących z jego domem, na początku ślubnego sezonu. W tej chwili powinny ich pochłaniać przygotowania, zamawianie kapeli, szaszłyków i rikszarzy oraz setki innych ważnych zadań, które muszą być wykonane przy tego rodzaju okazji. Bo, rzecz jasna, kiedy w grę wchodzi ślub, cała oficjalna praca musi ustać. Gdy w rodzinie szefa odbywa się wesele, personel biurowy obowiązkowo uczestniczy w przygotowaniach. Taka jest zwyczajowa biurowa etykieta. Wszystkim zostały już przydzielone konkretne zadania do wykonania.

Kiedy szef – Dyrektor Poczty i Telegrafu w Szahkot – stanął w drzwiach, zerwali się w popłochu na równe nogi.

– Dzień dobry panu. – Panna Jyotsna szybko przyglądała swoje sari.

– Zechciejcie państwo podjąć swoje obowiązki – powiedział. – Poczta ma być zamknięta. Trzeba zamówić girlandy. Skontaktować się z dostawcą owoców kandyzowanych i kucharzami do biryani. Bądźcie uprzejmi zorganizować ludzi do ustawienia namiotu. Zająć się krzesłami.

Załatwić rezerwacje na kolei. Pokwitowania proszę położyć na moim biurku. Zechciejcie z łaski swojej zająć się tym wszystkim.

Można by sądzić, że swoje pierwsze słowa i wszystkie, które po nich nastąpiły, zaczerpnął z jakiejś instruktażowej broszury.

– Bądźcie tak dobrzy zakasać rękawy i zabrać się do pracy – warknął.

Myśli Sampatha zataczały się, pełne halek, paznokci u nóg i małą. Ogarniała go fala senności. Ale przypominając sobie nagle rady, których mu wcześniej udzielono, imitując ton głosu swojego ojca, zaćwierkał:

– Tak, proszę pana. Zajmę się tym natychmiast, proszę pana. – Jednak ledwie zaczął mówić, druga część zdania – „natychmiast, proszę pana” – zdumiona i zaszokowana poprzednimi słowami, zbladła, rozchwiała się i zamarła gdzieś wysoko pod sufitem, gdzie wentylator obracał się, łopocząc nierówno jak nieregularnie bijące serce i chwytając w swoje skrzydła pajęczyny. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli zdumieni na Sampatha. Nigdy nie słyszano, żeby próbował powiedzieć coś takiego. Było to zupełnie do niego niepodobne. Uświadamiając sobie, jak dziwacznie to zabrzmiało, z płonąca twarzą, Sampath odwrócił się i oddalił truchcikiem do swojego biurka na pograżonych w mroku tyłach urzędu pocztowego.

– Mam na ciebie oko – zawołał za nim szef. – Tylko bez żadnych numerów, z łaski swojej.

Przez jakiś czas Sampath próbował, bez entuzjazmu, podsumować kosztą wesela w księdze rachunkowej. Usadowiony na starej książce telefonicznej, aby nie wypaść przez dziurawe siedzenie krzesła, zaczął nanosić tam liczby z rachunków i kwitów. Ale rachunków i kwitów było tak wiele, a wszystkie tak podobne do siebie! Pogubił się i musiał zacząć od nowa, a potem jeszcze raz, składając je na kupkę i rozkładając, układając w odwrotnej kolejności, gubiąc. Próbował podążać za kolumnami cyfr aż do umieszczonego na dole kwadraciku oznaczonego „Suma”, ale bez względu na to, jak bardzo się starał, jak usilnie próbował wyostrzyć swoją uwagę do pojedynczego, ostrego niczym igła punktu – szpilki, na którą nadziałyby liczbę za liczbą – w głowie kręciło mu się coraz bardziej i zmuszony był zaczynać od nowa, aż wreszcie, pod gigantyczną prasą wciskającego się wszędzie popołudnia, gdy ziewnięcia zakwitały niczym bufory pomiędzy nim a zakurzonymi stronicami, zrezygnował i zamiast tego zajął się codzienną pocztą.

Dyrektor ulotnił się po sprawunki do jubilera. Panna Jyotsna i pan Gupta znów się przekomarzali. Sampath przeglądał kartki pocztowe i listy, które dopiero co przyjechały autobusem z Delhi, a które on powinien

posortować według kolejności, w jakiej miały być dostarczone. Obracał je, wahał, przyglądał się znaczkom, studiował nazwy, dziwnie opierzone słowa: Bombalapetty, Pudukkottai, Aurangabad, Tonk, Coimbatore, Koovappally, Piploo, Thimpu, Campala, Cairo, Albuquerque. Podnosił je do światła – koperty pełne obietnic, zapowiedź innych światów. Otwierał je nad kubkami parującej herbaty, albo zwyczajnie rozklejał, gdyż w tym wilgotnym powietrzu klej niemal wcale nie trzymał, i przez resztę dnia leniwie przeglądał ich zawartość. Od kiedy rozpoczął pracę na poczcie, spędzał w ten sposób większość czasu. Czytał o waśniach rodowych i romansach, o aranżowaniu małżeństw, o narodzinach dzieci, o umierających ludziach i powracających duchach, o pożegnaniach i powrotach do domu. Czytał o kataklizmach, powodziach i trzęsieniach ziemi, i o drobnych, trywialnych sprawach, takich jak brak szamponu. O wielkich miastach i wioskach znacznie mniejszych niż Szahkot. W niektórych krajach ludzie brali kąpiel tylko raz w tygodniu, a kobiety nosiły krótkie sukienki nawet w starszym wieku. Wyłapywał wszelkiego rodzaju ciekawostki. Raz na jakiś czas trafiały się kartki przychodzące z zagranicy na adresy eleganckich dzielnic Szahkot i Sampath siedział godzinami, kontemplując, dajmy na to, widok palmy nad morzem tak błękitnym, jakby zostało pomalowane farbą, lub zdjęcie wiejskiej piękności ze Szwajcarii w ciasno zasznurowanym gorsecie, z dwoma grubymi, żółtymi warkoczami, które przypominały coś dobrego do jedzenia. Szwajcaria była zimnym krajem bez odrobiny brudu. Tu, w popołudniowym skwarze Szahkot, Sampath wyobrażał sobie ten chłód i czystość tak żywo, że każdy włoszek jego skóry stawał dęba.

Wieczorem, kiedy stwierdzono, że nie doprowadził do końca żadnej pracy, którą powinien był wykonać, został wysłany do domu z ostrzeżeniem o czekających go zgubnych konsekwencjach. Następnego dnia miał przyjść do pracy przed innymi i dokończyć robotę. Jak oni się nad nim znęcali! Spędzał czas tak przyjemnie, pozostawiony samemu sobie. I w jaki sposób niby miał się skoncentrować? Nie był w stanie zasnąć ostatniej nocy, a także poprzedniej, i niewątpliwie spędzi bezsennie również tę noc, która ma nadejść.

Zastanawiające, że myśl o niewyspaniu nachodziła go, kiedy musiał pracować, ale jakimś cudem zapominał o tym, kiedy natrafił na coś, co go zainteresowało. W drodze do domu przypominał sobie jedną z oglądanych widokówek, przedstawiającą małpę z bardzo dużym, niepokojąco czerwonym zadkiem.

V

W kilka miesięcy później, gdy w Szahkot rozpoczynała się zima, noce były chłodne, a miasto pełne kwiatów, nadszedł dzień ślubu córki Dyrektora Poczty i Telegrafu. Zaraz po wschodzie słońca, zgodnie z poleceniem szefa, cały personel urzędu pocztowego stawiał się do dyspozycji, aby podjąć tak pilne zadania, jak przybranie drzwi nagietkami i papryczkami chili, zdobycie dekoracyjnych lampek do rozwieszenia na drzewach czy sprowadzenie młodych i delikatnych kóz na biryani. Panna Jyotsna i pan Gupta stanęli na wysokości zadania, z ogromnym entuzjazmem besztając członków kapeli i stawiaczy namiotu za lenistwo, kosztując, czy szaszłyki są dość kruche, odbierając krewniaków ze stacji, biegając ochoczo do krawców i wracając z wypchanymi torbami. Nie był to czas, aby sprawiać komukolwiek zawód.

Sampathowi przydzielono zadanie napełniania szklanek oranżadą, mycia ich, gdy zostaną opróżnione przez gości, i ponownego napełniania. Zgodnie uznano, że nawet Sampath może podołać tak prostemu zadaniu. Ale to jednak strasznie nudne tak siedzieć i napełniać setki szklanek, zwłaszcza kiedy się opróżniło swoją własną. Sampath zaczął rzucać co lepsze kąski psom, które zgromadziły się na tyłach weselnego namiotu w nadziei, że coś im się uda ściągnąć z biesiady. Kiedy w końcu kucharze zagrozili mu: „Przestań, bo posiekamy cię z razem cebulką”, postanowił rozejrzeć się nieco i zorientować się w rozkładzie domu. Otwierał drzwi i zaglądał do kredensów. Przeglądał zawartość szuflad. Ale były tam na ogół rzeczy stare i zakurzone. Wydawało się, że w rezydencji pana dyrektora nie ma nic tak znów bardzo interesującego, aż do momentu, gdy wreszcie odkrył na końcu korytarza pokój, zavalony po sufit weselnymi fatałaszkami, którymi kuzynki przystrajały się nawzajem, zanim w pośpiechu opuściły dom, pozostawiając swój dobytek porozrzucany w nieładzie po pokoju. Nie znalazł tu, rzecz jasna, posagu panny młodej, który znajdował się pod kluczem, ani cennych klejnotów, które także schowano, ale było to mimo wszystko bardzo podniecające. Na podłodze, łóżkach i krzesłach porozkładano garderobę na kilkudniową uroczystość.

Sampath widział jedwabne żaboty w pawich kolorach, drobniutkie pliski z różowego atlasu, całe metry tkanin i sari we wszystkich wyobraźalnych kolorach. Materie przetykane złotą nitką, upstrzone cekinami i szkiełkami, haftowane w papugi i ozdobione srebrnymi

kwiatami lotosu. Były tam motywy owoców mango na nasyconym śliwkowym tle i odcienie świetlistego bursztynu. Były ciemne aksamity i blade, mleczne pastele, jedynie z najdelikatniejszą domieszką barwy różanej lub pistacjowej. Sterty nietkniętych, świeżych białych halek piętrzyły się u jego stóp. Otworzył buteleczkę wody różanej i jej zapach uleciał, mieszając się z zawieszistą wonią baraniny, unoszącą się z ustawionych na zewnątrz kotłów, w których gotowano biryani. Sampath, którego zmysł powonienia był szczególnie wyostrzony przez lata poświęcania szczególnej uwagi wonnym osobliwościom świata zapachów, rozróżniał poza tym woń piżma, kulek na mole, nagietków i zasyпки dla dzieci. I olejku sandałowego. O, pachnący świecie! Czuł, że jego serce staje się lekkie. Przytulał materię do policzka, pozwalając, by ich śliski ciężar przelewał się z jednej ręki do drugiej i osuwał wzdłuż ramion. Omotywał wokół siebie zwoje różu, zieleni i szafranowej żółci, aż wyglądał niczym bombonierka udekorowana na święta Divali. W kasetce, pełnej biżuterii kuzynek, studiował mieniające się barwami dziwa: perły nawleczone na srebrne szypułki, kamień, rozświetlony blaskiem oka, kruchość muszli. Wyobrażał sobie słońce, ukryte głęboko w sercu kwiatu. Włożył niebieski kamień do ust, po czym wyjął go i toczył, chłodny i okrągły, tam i z powrotem po ramieniu. Do nosa przypiął sobie klips, przyozdobiony szklanymi kropelkami niczym żyrandol. Zastanawiał się, czy mógłby zostać uznany za pięknego.

W pokoju było zupełnie ciemno, gdyż Sampath zamknął okno i drzwi, aby móc bez przeszkód prowadzić swoje badania. Chcąc ocenić, jak wygląda tak wystrojony, zapalił świecę przed lustrem i obserwował swoją przemianę w cudownego ptaka, w niezwyklego owada. Lustro było pokryte plamami, nieco zmętniałe, piegowate ze starości. Czuł, że jest daleko stąd, przeniesiony w jakiś inny wymiar. Oprawiony w tę ramę, mógłby być fotografią lub obrazem, postacią z powieści. Będąc myślami gdzie indziej, owiany tajemnicą, rozgrzany tą romantyczną sceną, poczuł nagle, gwałtowne pragnienie, tęsknotę za światem wyobraźni, za czymś, czego nigdy nie widział, ale co czuł głęboko w swoim wnętrzu. Świeca przyciągała jego palec niczym ćmę i przesuwiał go tam i z powrotem przez żółtobłękitny płomień.

Pamiętał, że nie tak dawno temu, gdy reszta rodziny spała, spędzał nocne godziny nad książkami, bo zawsze był jakiś egzamin, do którego trzeba było się przygotować, jakiś test albo obszerne pytanie, na które należało odpowiedzieć. Owijał sobie głowę moką ścierką w nadziei na chłód, ale pot ciurkał mu po plecach niczym szybkonogie żuczki, wieczne pióro zasypiało mu w dłoni, atrament rozmazywał się po kartce w

monstrualne, czarne i niebieskie szlaki. Pamiętał, że już wtedy, ze świecą przy łokciu, łapał się na tym, że palce uciekają od tekstu, który miał zamiar śledzić aż do wbicia go sobie w pamięć, i niczym ćmy, które gromadziły się wokół, też trafiają czasem w płomień świecy.

Nazajutrz – wiedział o tym – pozostawi puste miejsca zamiast odpowiedzi na pytania, wypisane kredą na tablicy. Dziesięć najważniejszych reform politycznych króla Asioki, wady i zalety systemu kastowego. Umykały przed nim, rozplywając się w migotliwym powietrzu, razem z informacjami o tym, jaki rodzaj gleby i wysokość nad poziomem morza gwarantują uzyskanie dobrych plonów pszenicy, stadiami rozmnażania pantofelka i dowodem, że suma kątów w trójkącie wynosi 180° .

Patrzył, jak skrawek papieru zajmuje się ogniem w ciemnościach nocy, jak zwija się i marszczy. Z wosku, który skapywał ze świecy, miękkiej i gładkiej, lepił kulki różnej wielkości, po czym rozkrawał je za pomocą zawartości przybornika do geometrii. Przyglądał się chwiejnej kuli światła, przeświecającego przez brzuch pustej szklanki. Wodził palcami po wypaczonym drewnie stołu. Z zapisanych stron, na które patrzył, wychwytywał tylko jedno czy drugie dziwaczne słowo. Urywki zdań. Pamięć ciemnej rzeki, przecinającej na wskroś jasną krainę. Chłodne „o” w słowie Kolorado, po którym język przesuwiał się gładko niczym woda. Obwodził kontury map, przedstawiających obszary trawiastej sawanny na świecie, przesuwiał palcem po kręgosłupach widniejących w atlasie gór, po żyłach błękitnych rzek. Zapominał o pilnej nocnej pracy, którą powinien skończyć, o ważnym egzaminie, czekającym go następnego dnia.

Trzymał świecę na tyle daleko, aby utraciła swój żar, ale dość blisko, aby pozostać w kręgu jej światła. Przypomniawszy sobie, jak niósł ją do lustra, jak płomień, owiewając mu twarz swoim gorącym, natarczym oddechem, oświetlał dziwacznie jego podbródek, policzek, rękę, nos, czy usta. Patrzył, jak jego wargi układają się w słowa – jakie bądź słowa, choćby zwyczajne „halo”, czy nawet „mmm”. Ich pamięć wisiała w powietrzu przez chwilę, po czym rozwiewała się w ciszy pokoju, rozchodząc się coraz dalej, aż po bezruch, niczym kręgi po rzuceniu kamyczka na wodę. Czasami wcale nie wydawał głosu, tylko poruszał wargami jak ryba w tym mocno przyćmionym świetle, biorąc powietrze w usta niczym wodę.

Obwiodł palcem kontur swojej twarzy, obrysował również swój fantastyczny kostium. Uśmiechnął się i skłonił przed swoim odbiciem, jak gdyby był honorowym gościem. Jaszczurki na ścianie przyglądały mu się z

naganą w oczach. Pokazał im język i poczuł się nagle absurdalnie szczęśliwy. Być może został stworzony do życia, spływającego brokatem, ułożonego w misterny wzór z drogich kamieni. Być może jego przeznaczeniem było nosić jedwabne pantofle i skinieniem przywoływać uwagę całego świata. Przybierając czarodziejską, wyniosłą pozę, unosząc rękę dla u dramatyzowania efektu, zaczął śpiewać, podkładając własne słowa pod znaną melodię: „Garnitur mam japoński, tra-la-la i jadłem chiński lunch, tra-la-la, lecz choć się włóczyć mogę, tra-la-la, nie martwcie się, mamó i tato, bo serce moje zawsze do domu znajdzie drogę. O, do domu znajdzie drogę”. Wirował, zataczając biodrami idealne koła.

Odważył się wyjść z pokoju i ruszył w kierunku, gdzie właśnie rozpoczynało się przyjęcie. Ośmielony zapachem biryani i szaszłyków, zachęcony blaskiem eleganckich strojów i biżuterii, podzwaniem talerzy i czarek z wodą do mycia, śmiechami gości, wchodzących do namiotu, i mnóstwem słodczy, które smażyono w klarowanym maśle tuż za namiotem. Czerwony chodnik ciągnął się od wejścia do namiotu aż po umieszczoną na środku fontannę. Sampath przemierzył go tam i z powrotem, baraszkując, trącąc wisiołek w nosie, fikając nogami w powietrzu. Dyrektor i jego żona, zajęci wlewaniem drinków i wpychaniem przekąsek w rodzinę swojego przyszłego zięcia, powitali jego występ osłupiałym milczeniem. Sampath czuł się, jakby jego stopy unosiły się wysoko ponad podłogą, jak gdyby płynął w jakimś bezcielesnym stanie, jak gdyby jego głowa, żołądek i wszystkie wnętrzości utraciły ciężar. „Jutro będzie za późno” – zanucił, a kropelki szklanego żyrandola w jego nosie zadrżały. Przedostał się do fontanny i wskoczył w wodny pył, ochlapując wytworne damy, które uciekły z piskiem. „Spotkajmy się pod drzewem figowym – świergotał – i o bolącym sercu nie będzie więcej mowy”.

I powoli, z lubością, czując że robi rzecz słuszną, zaczął się rozbierać. Wśród obecnych podniosły się piski przerażenia, ale Sampath w ekstazie wziął je za okrzyki podziwu. W swoim własnym, niepowtarzalnym stylu zrzucił, jedno po drugim, spowijające go sari i dupattas. Rozmotał ostatnie pasmo migotliwej materii, ale wciąż czuł, że jego występ nie osiągnął jeszcze olśniewającej kulminacji – szczytu, do którego uporczywie zmierzał, a którego zapowiedzią było całe jego jestestwo. Nie mógł zawieść samego siebie; zaczął rozpinać koszulę. Cisnął ją w powietrze gestem bohatera, odrzucającego szmatę, którą wytarł oręż, mający uśmiercić wroga. Przy wtórze coraz gwałtowniejszych pisków sięgnął w kierunku spodni. „Zatrzymajcie go!” – krzyknął dyrektor i kilka osób rzuciło się naprzód. Ale Sampath wspiał się zręcznie na najwyższą kondygnację

fontanny i jednym szybkim ruchem ściągnął równocześnie spodnie i slipy. Odwrócony tyłem do zgromadzonych, wypiął swoje brązowe siedzenie i zaczął nim kręcić jak szalony, w ekstatycznym zachwycie nad widowiskiem, którego dostarczył tego wieczoru.

– O retyyyy! – wykrzyknęła rodzina, gdy Sampath wrócił do domu, bez pracy, trzeźwy i przemoknięty do nitki. „Proszę się łaskawie oddalić – powiedział dyrektor, tak zimno, że mróz przeszył serce Sampatha. – I nie stawiać się więcej do pracy”. Ale on nienawidził swojej pracy tak czy inaczej. Nie chciał jej, nie był w stanie jej wykonywać i nie chciał innej. Do innej również nie byłby zdolny.

– Coś takiego! Straciłeś pracę!

– Ajaj, ten chłopiec to jeden wielki kłopot i nieszczęście.

– Jesteś kompletnie pozbawiony zdrowego rozsądku.

– Czy woda naląła ci się do nosa?

– Czy naprawdę ściągnąłeś slipy?

– Zafarbowałeś się na niebiesko od tych mokrych ubrań. Szybko, wyszoruj się do czysta.

– Najlepiej zaraz od jutra zacznij szukać nowej pracy.

– Od mokrych włosów można przeziębic głowę. Masaż olejkami sezamowymi utrzymuje mózg w cieple.

– Rano idź do Biura Komunikacji Miejskiej i złóż podanie o pracę.

– Czy miałeś otwarte usta pod tą fontanną? Cała ta woda jest odzyskiwana ze ścieków. Mogłeś połknąć bakterie.

– Pomyśl o strategii przed rozmową kwalifikacyjną.

– Jeśli wchodzi się boso do brudnej wody, wszelkiego rodzaju zarazki dostają się do twojego ciała przez palce u nóg. Włóż skarpetki i buty.

– Jesteś kompletnie niewydarzony. Idź jutro po południu do urzędu statystycznego i zobacz, czy mają wolne miejsca. Idź do szpitala, do klasztoru, do centrum rolniczego, do biura energetyki... Na farmę Anu Dairy, do fabryki wyborowego masła „Utterly Butterly”.

Pan Gupta i panna Jyotsna zjawili się, żeby złożyć wyrazy ubolewania.

- Rety, Sampathdzi, jak mogłeś zrobić coś takiego?
- Teraz to masz dopiero pasztet!
- Będziesz miał wakacje do końca życia.

I tak dalej, i tak dalej. Ależ oni wszyscy gadali, ależ wykrzykiwali bez końca!

Sampath czuł, że wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu, krzycząc i wrzeszcząc jeden przez drugiego, chcąc omotać go siecią, schwytać i unieruchomić na zawsze. Ich pytania go zżerały. Głowa go bolała, serce również. Okropnie mu było żal samego siebie.

- Co takiego zrobiłem? - krzyknął. - Nic nie zrobiłem! Przestańcie na mnie wrzeszczeć! Przestańcie gadać. Bądźcie cicho. Bądźcie cicho. Bądźcie cicho. - Wyszedł na balkon i zatrzaskał za sobą drzwi. Ale oni rozprawiali dalej. Nawet teraz słyszał ich głosy. Wyszedł na dach.

Jakże nienawidził swojego życia! Było jednym wielkim pasmem niedoli. Było więzieniem, w którym został zrodzony. A kiedy jeden jedyny raz trochę się zabawił, spotkała go kara. Urodził się pechowcem, taka była prawda. Sąsiednie domy zdawały się wznosić wokół niego niczym pułapka, labirynt klatek schodowych i ścian, których okna otwierały się tylko po to, aby zaglądać jedno w drugie.

W sercu czuł gorycz. Tak, myślał, to otoczenie z pewnością miało zgubny wpływ na jego zdrowie psychiczne. Niebo było ciągiem kwadratów i prostokątów, oddzielonych sznurami bielizny, antenami telewizyjnymi, balkonami, doniczkami i zbiornikami na wodę. Wyglądało to jak puzzle.

„W jaki sposób podejdziesz do tego problemu?”

Dziwne, ale z jakiejś niepojętej przyczyny jego pamięć przywołała skądś z bardzo daleka kpiący głos ojca Mateusza Matematyka, stojącego przy tablicy w szkole misyjnej.

„Aby otrzymać maksymalną ilość punktów, należy przedstawić wszystkie posunięcia, prowadzące do końcowego rezultatu”.

W głowie Sampatha wszystko wirowało: dni, praca, własne życie, nawet myśli. Te same dni. To samo miejsce. Jedna droga...

Na końcu drogi urząd pocztowy niczym kropka na końcu zdania.

Nie chciał innej pracy.

Chciał otwartej przestrzeni.

I pragnął jej w obfitych haustach, pragnął dni pustych, niczym nie wypełnionych, aby mógł wpisać w nie tak mało, jak tylko zapragnie. Tutaj ludzkie odczucie ciszy i przestrzeni było stłamszone i wypaczone, przybierało utajone formy, zmuszone kryć się, tak że Sampath odkrywał je tylko w nielicznych miejscach. Podczas własnych drobnych chwil nieuwagi w pracy, pomiędzy okiem a tekstem gazety, trzymanej przez kogoś, kto nie przewracał stron, we wzroku kobiety, patrzącej w przestrzeń poprzez rozmytą plamę migających w jej palcach drutów, w mamrotanych modlitwach i raz na długi czas w czyichś oczach, które potrafiły patrzeć na wskroś wszystkiego, dostrzegając otwartą przestrzeń. Ale nie, spokój w ogóle nie miał być mu dany. Każde ustronie, które znajdował, było demaskowane, a on przywoływany do porządku.

– Aj, aj, co będzie z tego chłopaka?

– A trwało cały rok, zanim znalazł tę pracę na poczcie.

Wokół niego wielkie rodziny gołębi gruchały i kokosiły się w donicach z kwiatami, jak gdyby chciały umościć sobie własny, miękki, przytulny świat. Sampath, nagle rozzłoszczony, tupnął, aby je przepłoszyć. Uniosły się w powietrze, tylko po to, aby opaść z powrotem. „Gruchu, gruchu, szuru, buru. Gruchu, gruchu, szuru, buru”.

Z okna na dole wychyliła się głowa jego matki. Ona też najwyraźniej potrzebowała chwili spokoju po całym tym harmidrze w domu. Widział, jak zagląda, wyciągając szyję, do torby jakiejś osoby wracającej z bazaru. Usłyszał, jak mówi do siebie, podekscytowana:

– Chlebowiec. – I po chwili, przekręcając z przejęcia słowa: – Glebowiec. Ależ od tego cała rodzina dostanie palpacji serca!

Widział starego nauczyciela bengalskiego, siedzącego przed drzwiami na swoim plecionym łóżku, przy maszynie do pisania. Stukał na niej hałaśliwie, a kiedy przy końcu każdej linii odzywał się dzwoneczek, przerywał i odczytywał ją na głos.

Państwo Raipur, mieszkający w małym pokoiku na końcu wielkiego, murszejącego rodzinnego domostwa, pojawili się, aby wyprowadzić na spacer swoje dziecko. Spacerowali tam i z powrotem po ogrodzie, pomiędzy kwitnącymi kannami.

– Jakie śliczne maleństwo – powiedział pan Raipur. – Ach, jakie śliczne. Ta buzia jest zupełnie jak moja.

– Ani trochę – powiedziała pani Raipur. I zanuciła: – Mały nosek, ładny nosek, jak fasolka szparagowa, maleńka królowa.

Gdzieś w oddali zawarczał generator.

„Jeżeli $xy = 0$ i x jest różne od 0, to $y = 0$. Jeżeli mamy x i y i wynik jest równy zeru, a x nie jest zerem, to y jest zerem”.

Sampath pamiętał, że nigdy nie był w stanie rozwiązać problemu, postawionego przez ojca Mateusza Matematyka, nigdy nie zdołał wypielić i zagrabić tego gąszczu pokrywających tablicę liter i liczb w schludne rządki, postępujące sprawnie, zgodnie z kierunkiem strzałek, w kierunku rozwiązania, odpowiadającego jednej z pozycji wymienionych na końcu podręcznika.

„Owoc drzewa chlebowego zjedzony latem wywołuje niepokój, a u niektórych osób napady złego humoru”.

– Gwiazdeczka, kwiatek – nuciła pani Raipur – mały aniołek. Jaśmin, różyczka i fiołek.

– I kalafiorek – powiedział pan Raipur.

– Rzodkiewki. To są rzodkiewki? Nie, ziemniaki. Ziemniaki? Nie, rzodkiewki.

Gdzieś zasyczał szybkowar.

Kulfi Chawla weszła na górę po schodach, prowadzących z balkonu na dach, z owocem guawy w ręku. Pełna współczucia dla syna, cicho podeszła do niego z tyłu.

– Chcesz guawę? – zapytała. Nie mogła się powstrzymać od tego zakupu, chociaż był to pierwszy owoc w tym sezonie i jeszcze nieco twardawy. Czule pociągnęła syna za ucho.

Sampath pomyślał o urzędzie pocztowym.

„Nie – chciał krzyknąć. – Nie, nie chcę żadnej guawy”. Ale w brzuchu mu zaburczało i wziął owoc do ręki. Był zły i rozdrażniony. Świeży owoc wyglądał kojąco.

Urząd pocztowy. Urząd pocztowy. Urząd pocztowy. Zbierało mu się na wymioty. Postanowił więcej o tym nie myśleć.

„Owoce guawy są smaczne i orzeźwiające i należy je jeść jak najczęściej”.

Popatrzył na owoc, myśląc, że chciałby wchłonąć w siebie jego chłód, jego ciszę i spokój.

– Och, co mam robić? – zapytał raptem na głos. – Co, co, co? – Popatrzył na owoc natarczywie, gniewnym, rozgorączkowanym spojrzeniem, po czym nim potrząsał. Poczul, jak w odpowiedzi owoc rozrasta mu się w palcach. – Co mam robić? – powtórzył, raz jeszcze potrząsając rozpaczliwie owocem. – Nie chcę innej pracy. Nie chcę żyć w taki sposób – zakwilił... I nagle, przed jego zdumionymi oczyma, powłoka owocu urosła jeszcze bardziej... i eksplodowała z wielkim „bum!”. Kremowy miąższ wyleciał w powietrze, deszcz kropelek trysnął pod niebo, nasionka rozprysnęły się, trafiając ludzi na balkonach, dachach i w dole na ulicy.

– Ej! – krzyknęła Lakszmidzi, która została ugodzona w oko. – Co się tam dzieje? W tym domu zawsze się wyprawiają jakieś cuda niewidy.

Ale nie otrzymała odpowiedzi. Wysoko na dachu Sampath czuł, jak jego ciało wypełnia zielony chłód, a serce wzbiera tajemniczą, dziką słodyczą. Czuł, jak przepływa przez niego rzeźwy, czysty sok, coś zupełnie innego niż ludzka krew. Jak takie rzeczy się dzieją? Mógłby przysiąc, że wstąpiła w niego jakaś dziwna siła, że coś nowego zaczęło krążyć w jego ciele. Zadygotał dziwnie, a potem się uśmiechnął.

– Ojej – powiedziała Kulfi. – Zareklamuję to u sprzedawcy owoców, słowo daję. Czy zamiast tego chciałbyś jajko?

Chłód podłogi przenikał bosc stopy Sampatha. Wietrzyk unosił mu włosy nad czołem. Gęsia skórka pokrywała ramiona. Pomyślał o komunikacji miejskiej, o urzędzie statystycznym, o masażach głowy, o skarpetkach i butach, o strategii rozmowy kwalifikacyjnej, o tym, że nigdy nie zostawiano go w spokoju, o bezsenności i o swoim ojcu, rozprawiającym i wygłaszającym nauki w pokoju na dole.

– Nie – odpowiedział. W piersi czuł wielkie serce. – Nie chcę jajka. Chcę wolności.

VI

Następnego popołudnia rodzina wyruszyła, aby wziąć udział w kolejnym weselu (bo, jak pamiętacie, był to sezon weselny), ale Sampatha zostawili w domu, aby mieć pewność, że nie spuści spodni podczas kolejnej ważnej imprezy. Jak tylko zniknęli za rogiem alei, przy której mieszkali, Sampath wyszedł z domu. Uskrzydłony niezwykłą lekkością ducha, ruszył w kierunku bazaru, gdzie złapał pierwszy autobus, jaki napotkał.

Autobus thukł się drogą wiodącą poza Szahkot, powietrze wypełniał warkot jego brudnego silnika. Sampath myślał o węzach, pozostawiających za sobą obumarły strzęp starej skóry i znikających w trawie, tak że nawet poruszenie listowia nie zdradza ich obecności; o owadach, rozłupujących strąki i gliniane skorupki, przeciskających się przez ślepe ciepło jedwabiu, by wzbić się na błoniastych skrzydełkach i zginąć w bezkresnym niebie. Myślał o tym, że opuszcza świat – świat, który prowadził swoje niekończące się rewolucje, wiodące donikąd. Teraz nie miało to już znaczenia. Jego serce zostało schwyte w potrzask radości i lęku. Gdzieś, jakimś sposobem, udało mu się znaleźć szczelinę. Za oknem migwały plamy ludzkich postaci i mijanych przystanków autobusowych.

Wsiadł do autobusu, pełnego wracających do domu mleczarzy, którzy przywieźli mleko na sprzedaż do miasta. Wprasowany pomiędzy tuziny pustych, chłodnych baniek, dotarł do granic miasta, gdzie zabudowania stały się rzadsze i zaczęły się pojawiać kępy krzewów i oskubanych drzew. Jechał dalej, aż budynki w ogóle przestały się w pojawiać i autobus zaczął się wspinać na nierówności wzgórz. Sampath poczuł, jak powietrze wokół niego się rozrzedza i w jego zmęczonym ciele rozkwita świeżość zieleni. Wspinali się coraz wyżej i wyżej.

Usiadła obok niego jakaś starowina. Miała tak wiele baniek, że zmuszony był wychylić się przez okno, trzymając się kurczowo w trosce o swą cenną skórę. Co gorsza, była to jedna z tych kobiet, które mają w pogardzie ciszę. Szczególnie poirytowana wyrazem twarzy Sampatha, jakby spowitej zagadkowym kokonem, posłużyła się głosem niczym igłą, aby dosięgać i dźgać.

– Skąd jesteś i jak się nazywasz? Co robi twój ojciec i ile zarabia twój wujek? Ilu krewnych jest w waszym domu i ile kredensów? A krzepkie

zdrowie zapewni ci litr bawolego mleka, wypity z samego rana, zanim słońce wzejdzie.

Sampath czuł, jak cudowne uczucie, jakie go ogarnęło, zaczyna opadać. Autobus jęczał, wdrapując się na pochyłość. Na krótką chwilę silnik czknał i autobus stanął. W tym momencie, zanim kierowca zmienił bieg i podjął wspinaczkę, Sampath wyskoczył z okna, popędzany rozdrażnieniem, w jakie wprowadził go głos starej babiny. Ci pasażerowie, którzy akurat wyglądali przez okna, gdy autobus ruszał w dalszą drogę, ujrzeli zdumieni, jak Sampath gna przez pustkowie w stronę starego sadu, widniejącego wysoko na wzgórzu. Biegł, jakby go ktoś gonił. Przez krzaki, przez zarośla. Przed sobą spostrzegł drzewo – wiekowe drzewo, w którego gałęziach cisza trwała niczym modlitwa. Sampath podbiegł do niego i gorączkowo zaczął się wspinać. Drapał się z gałęzi na gałąź. Podciągając się w górę, strącał uschłe liście, ciała martwych owadów i wszelkiego rodzaju wysuszone śmiecie, jakie gromadzi się na drzewie. Ta drobnica osypywała się na niego przez cały czas, gdy gramolił się na wierzchołek. Kiedy usadowił się wśród liści – dokładnie w tym momencie – uniesienie ducha, które zaprowadziło go tak daleko i tak wysoko, rozwiało się jak powiew wiatru, co przychodzi znikąd, zaszeleści pośród drzew i rozplywa się w nicość niczym duch.

Pasażerowie, którym zdarzyło się akurat wyglądać przez okno, mogliby przysiąc, że widzieli człowieka-małpę, który sadził poprzez sad, aż liście trzęsły się i podrygiwały. Ale byli zmęczeni sprzedawaniem mleka przez cały ranek, więc przetarli oczy nim spojrzeli ponownie, aby nie ulec złudzeniu. Przez ten czas autobus zostawił drzewo Sampatha daleko w tyle i wszystko znów wróciło do swojej zwykłej postaci...

Drzewo, na które wdrapał się Sampath, była to guawa. Największa i najwspanialsza, jaką kiedykolwiek widział. Sad należał dawniej do sędziego okręgowego Szahkot, zanim władze włączyły ten teren w obszar parku narodowego.

Ukryty w gałęziach drzewa Sampath czuł, jak jego oddech staje się coraz wolniejszy, jak ogarnia go fala spokoju i zadowolenia. Sad wokół mienił się słońcem październikowego popołudnia, przetykany cieniem ruchliwego listowia, wypełniony zawilą mozaiką płynnego blasku i mroku. Ciepło muskało mu policzek niczym pysk zwierzęcia i – gdy stukot jego serca się uciszył – usłyszał wokół delikatne trzaski i szmery roślin, wydzielających pod wpływem ciepła swoje różnorodne wonie. Jak pięknie tu było – dokładnie tak, jak być powinno. Ten sad odpowiadał czemuś, co

sobie wyobrażał przez całe swoje życie: miriady cudownych, słodkawo-gorzkich, okrytych zieloną skórką kul, porastających wzgórze, gdzie było pod dostatkiem drzew, aby nasycić wzrok i pod dostatkiem owoców, aby napęlić powietrze zapachem. Liście drzew były o jeden ton ciemniejsze niż owoce, a jasny brąz kory odsłaniał, łuszcząc się, mleczną bladość, tak gładką i delikatną, że deszcz przenikał palce przy dotknięciu. Drzewa nie były ani tak wielkie, ani tak gęsto porośnięte liśćmi, ani na tyle stłoczone, aby przesłonić niebo, które przeświecało, czyste, poprzez gałęzie. Przed jego oczyma baraszkowało, polatując, stadko papug, jaskrawozielonych niczym klejnoty, skrzeczących i popiskujących, w szampańskich humorach. Ten widok wypełnił cały jego umysł i Sampath zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał go dosyć. To jest życie bogaczy, myślał, królewskie życie – i pragnął aż do bólu połknąć to wszystko jednym wspaniałym haustem, aby stało się jego częścią na zawsze. Ach, gdyby mógł zamienić swoje życie na ten luksus bezruchu, móc zostać tutaj, z twarzą zwróconą w popołudniową stronę niczym słonecznik, i poznać wszystko, co było do poznania w tym sadzie: każdego małego owada, pełzającego nieopodal, drganie liści, zapach ziemi, obfitej pod warstwą trawy... przemykając lekko wśród listowia, obracając językiem każdą nazwę. A potem, gdy popołudnia staną się krótkie i mgliste, a owoce złotozielone i dojrzałe, zerwie guawę... Przytuli ją do policzka, będzie obracał w dłoniach, aby poczuć jej chropowatą powierzchnię z gwiazdką u podstawy – jej blizny, szorstkie i zbrązowiałe od wiatru, deszczu i ostrego dzioba jakiegoś zuchwałego ptaka. A kiedy wreszcie jej skosztuje, owoc nie sprawi mu zawodu – będzie to najwspanialszy, najsmaczniejszy owoc guawyjaki kiedykolwiek jadł...

Tak, wreszcie był na właściwym miejscu. Zmęczenie przetoczyło się po nim jak fala; ulokowany w rozwidleniu gałęzi drzewa, zamknął oczy i zapadł w głęboki sen.

VII

W dniu, w którym ich syn przeprowadził się na drzewo, rodzina, stroskana i zdesperowana, zaciągnęła wartę przed miejscowym posterunkiem policji. Siedzieli na ławce pod żółtą pnącą różą – chluba posterunku – i czekali na wieści o miejscu pobytu Sampatha. To znaczy, trójka kobiet siedziała na ławce, podczas gdy pan Chawla krążył nieustannie wokół budynku, przyprawiając policjantów o zawrót głowy, gdy krzyczał w każde okno, mijane podczas kolejnych rund. Gdyby on był komendantem policji – mówił – Sampath, dokładnie w tej chwili, siedziałby z powrotem pomiędzy nimi, w stanie swojego zwykłego roślinnego otępienia.

Miasto wykorzystało dramat do maksimum. Sąsiedzi wstępowali regularnie po nowiny i wszyscy głośno wyrażali współczucie po drodze na targ i z powrotem. Istnieją miejsca, gdzie żyją ludzie małomówni, cichego usposobienia, ale w Szahkot należeli oni do niezwykle rzadkich wyjątków. Ludzie odwiedzali się tu często nawzajem, a bawiąc z wizytą mówili przez cały czas, i tym sposobem ogromna ilość informacji była przekazywana we wszystkich kierunkach, nawet z najodleglejszych i najbardziej odosobnionych miejsc.

Więc chociaż przez jeden okropny dzień wyglądało na to, że Sampath zniknął na zawsze, nazajutrz po południu stróż z lasu, w którym uniwersytet prowadził swoje badania, przyjechał na rowerze do miasta, aby przywieźć swojej zameężnej siostrze nieco twarogu. Wraz z twarogiem przywiózł wiadomość, że w starym sadzie za Szahkot ktoś wdrapał się na drzewo i do tej pory z niego nie zszedł. Nikt nie wie, dlaczego. Ten mężczyzna, mówił stróż, nie odpowiada na żadne pytania.

– Jeżeli ktoś w tym kraju jest na tyle szalony, aby wleźć się na drzewo, można być pewnym, że to Sampath – powiedział pan Chawla. – Nie ma co do tego wątpliwości. – Dzięki Bogu teren nie należy już do tego sędziego, bo wsadziłby Sampatha za kratki za zakłócanie spokoju jego drzewom. Musimy po prostu ściągnąć go na dół najszybciej jak się da.

Trzymając się za ręce rodzina pobiegła razem na przystanek autobusowy, klapiąc o pięty gumowymi podeszwami. Złapali ten sam autobus, który wybrał Sampath, wyjeżdżając z Szahkot, i wysiedli z niego w pobliżu miejsca, gdzie wyskoczył przez okno, aby wbiec na wzgórze.

Tutaj, poza granicami miasta, podążyli tropem krzyżujących się ścieżek, które zaprowadziły ich do starego sadu, rodzącego niegdyś tyle owoców, że wysyłano je na sprzedaż do New Delhi. Ale zostało to zarzucone wiele lat temu, owoce nabrały posmaku dzikości, gałęzie splątały się i dzisiaj sad służył jedynie przygodnym pastuchom, wypasającym swoje stadka kóz. Drzewa ciągnęły się wysoko w górę zbocza, granicząc z leśną szkółką doświadczalną, należącą do uniwersytetu.

Państwo Chawla czynili wokoło rejwach, z determinacją nawołując potomka. Wreszcie, w zapadłym kącie najdalej położonego zagajnika, tuż obok rozsypującego się muru, na skraju lasu, znaleźli Sampatha, który siedział na drzewie dyndając nogami i jadł owoc guawy, śledząc ich wysiłki z pewnym zaniepokojeniem.

Co miał u licha powiedzieć? Wyobrażał sobie, jak oświadcza: „Tutaj jest mi dobrze”. Lub pyta ze zdumieniem: „Czemu zawdzięczam waszą wizytę?” Mógł odpowiedzieć na ich oskarżenia buntowniczym: „Dla niektórych osób siedzenie na drzewie jest rzeczą normalną”. Lub, ze spokojem płynącym ze świeżo odkrytej godności, mógł oświadczyć: „Obieram prosty styl życia. Od dzisiaj nie mam krewnych”. Ale nie chciał zranić niczyich uczuć. Więc może opuścić ostatnie zdanie i zamiast tego dodać, że wszyscy są jego krewnymi? Mógł uczeplić się kurczowo gałęzi i krzyknąć: „Możecie mnie ciągnąć, ile chcecie, ale prędzej połamięcie mi ręce, niż puszczę gałąź”. Mógł wrzeszczeć: „Spróbujcie poruszyć górę, zanim mnie stąd ruszycie”.

Koniec końców nie powiedział nic.

– Co ty tam robisz na górze? – zawołał pan Chawla. – Złaż w tej chwili!

Sampath wpatrywał się usilnie w roztaczający się wokół liściasty świat, próbując uśmierzyć dziki łopot serca. Koncentrował się na tym, jak wietrzyk przebiega po listowiu, niczym ręka, przesuwająca się po ciemnym futerku zwierzęcia, aby odsłonić jego srebrne podszycie.

Pinky poczuła się nagle zażenowana postawą brata.

– Zejdź z tego drzewa. Przynosisz wstyd całej rodzinie – powiedziała z goryczą.

– Och, zejdź, Sampath, proszę – wykrzyknęła babka. – Rozchorujesz się tam na górze. Popatrz, jaką masz żółtą, wychudzoną twarz. Najlepiej zabierzemy cię prosto do lekarza.

On jednak milczał nadal.

Patrząc na swojego syna Kulfi poczuła, jak przeszłość szturmuje ją znowu, jak opadają ją wspomnienia z czasów młodości, gdy jej umysł był pełen ciemnych zakamarków, gdy jej myśli stawały się głębokie i tajemne i nie było łatwo wypowiedzieć je na głos. Pamiętała błysk dalekiej gwiazdy w swoich oczach, coś nierozpoznawalnego w spojrzeniu, które czyniło z niej osobę obcą sobie samej, gdy wpatrywała się w lustro. Pamiętała rozpacz, którą czasami czuła, która rosła wokół niej, otaczając ją i zamykając niby potężny mur. Spojrzała na siedzącego na drzewie syna i coś w niej drgnęło, niczym gigantyczne poruszenie sfer.

– Zostawcie go w spokoju – odezwała się.

– Zostawić go! – powiedział pan Chawla. – Czy rodzina ma pozwolić swojemu synowi wleźć na drzewo? Jesteś bez wątpienia najdziwniejszą matką na świecie. Twój syn porzuca dom i wchodzi na drzewo, a ty mówisz: „Zostawcie go w spokoju”. Trudno się dziwić, że tu wylądował, mając taką matkę. Jak mam zaprowadzić w tej rodzinie normalne porządki? Zajmuje mi to dwadzieścia cztery godziny na dobę i mimo to okazuje się niemożliwe. Musimy opracować jakiś plan. Tylko małpy łażą po drzewach.

Sampath chwycił się kurczowo gałęzi, na której siedział, i ścisnął ją mocno.

Małpy łażą po drzewach. Żuki żyją na drzewach. Mrówki suną po nich tam i z powrotem. Siadają na nich ptaki. Ludzie czerpią z nich owoce i opał i pod drzewami zawierają znajomość w ciągu kilku miesięcy pomiędzy zawarciem małżeństwa a przyjściem na świat dzieci. Ale fakt, że ktoś odbył długą drogę tylko po to, żeby wejść na drzewo, jest niedorzeczny. Fakt, że ta osoba siedzi tam nadal w kilka dni później, jest jeszcze bardziej niedorzeczny.

Zdesperowana rodzina zwróciła się do doktora Banerjee, mającego swój gabinet na bazarze, i ów energiczny człowiek przybył najszybciej jak mógł, aby obejrzyć pacjenta. Miał wąsy, okulary i dyplom uczelni medycznej w Ranchi.

– Zejdź na dół – zawołał wesoło. – Jak mam cię zbadać, kiedy siedzisz na drzewie?

Ale nie, Sampath nie zamierzał ryzykować. Nie był głupcem. Nie zejdzie na dół, aby dać się schwytać i – kto wie? – może wsadzić do klatki i odstawić do domu wariatów przy ulicy Aipur, jak ów szaleniec z uniwersytetu, który wtargnął na zajęcia z gospodarstwa domowego dla pań i został zwabiony zwykłym cukierkiem i schwytyany. Tak więc, molestowany przez rodzinę, doktor Banerjee, który chlubił się swoją dobrą

kondycja, sam wywindował się na drzewo ze słuchawką i aparatem do mierzenia ciśnienia zawieszonym na szyi. Dotarł aż do Sampatha, zajrzał mu w oczy i w uszy, obejrzał język, osłuchał serce, zmierzył ciśnienie i uderzył go w kolano idealnie wymierzonym ciosem karateki. Po czym zsunął się na dół i wsiadł na motorową riksę, na której przyjechał.

– Ten człowiek jest szalony – powiedział. – Nikt prócz Boga nie może tu nic zrobić. – I oddalił się z powrotem do miasta.

Rodzina udała się następnie do doktora medycyny tybetańskiej, poleconego im przez sąsiadkę, panią Lakszmidzi.

– Można przepisać najróżniejsze specyfiki – powiedział. – Na przykład leki przyrządzone ze skorpiona, z morskiego skorpiona, z morskiego smoka i morskiej myszy.

– Jakiej znów morskiej myszy? – zawołał pan Chawla. – Nie ma czegoś takiego jak morska mysz. – I wyciągnął rodzinę z małego ciemnego gabinetu, pomimo ich zainteresowania morską myszą. Potem poszli do homeopaty i doktora medycyny ajurwedyjskiej, a także do naturopaty, który mieszkał aż w Kajuwala.

Dieta złożona z prosa i kielków nie skłoni Sampatha do zejścia z drzewa, chyba że osłabnie z głodu – powiedziała Kulfi zdecydowanie i postanowili nie stosować się do zaleceń naturopaty. W końcu nie chcieli Sampatha zagłodzić. Jednak sumiennie ubijali ziarno na proszek, warzyli herbatę i jeden, dwa, a czasami dziesięć razy dziennie odliczali homeopatyczne pigułki, które wyglądały i pachniały obiecująco, ale nie spowodowały żadnej cudownej przemiany, o której ich zapewniano. W końcu złożyli wizytę świętemu mężowi, rezydującemu przed uliczną herbaciarnią koło rezerwatu jeleni.

– Przepraszamy, że niepokoimy. Nasz syn jest cierpiący.

– Na czym polega jego dolegliwość?

– Jest niespełna rozumu.

– Na co cierpi? Czy krzyczy?

– Nie.

– Ma ataki?

– Nie.

– Wrywa sobie włosy?

– Nie.

– Czy rzuca się z zębami na sąsiadów? Gryzie samego siebie? Lunatykuje? Czy wystawia język i przewraca oczami? Czy jest niegrzeczny dla obcych?

– Nie. Je, śpi i dba o włosy. Nie krzyczy i nie gryzie samego siebie. Nigdy nie był niegrzeczny dla obcych.

– W takim razie nie wykazuje żadnych pewnych objawów szaleństwa.

– Ale on siedzi na drzewie!

– Ożeńcie go. Wtedy będziecie mogli odpocząć w pokoju. Nie będziecie mieli więcej żadnych kłopotów.

Każda rodzina mająca syna musi w pewnym momencie postarać się o synową. Dziewczyna, która ma wyjść za potomka rodziny, musi pochodzić z dobrego domu. Musi mieć miłe usposobienie. Ma mieć przyzwoity charakter, nie może być bezwstydną ani zuchwałą. Powinna trzymać oczy spuszczone, a jako osoba skromna i nieśmiała, powinna również pochylać głowę. Nikt nie życzy sobie dziewczyny, która gapi się ludziom prosto w twarz, wytrzeszczając oczy jak żaba. Powinna mieć jasną cerę, ale jeśli jest ciemna, posag musi uwzględniać przynajmniej jedną z następujących pozycji: telewizor, lodówkę, a może nawet i skuter. Dziewczyna powinna być dobrą uczennicą i wykazywać biegłość w wielu różnych dziedzinach. Jej głos, gdy śpiewa, powinien być słodki jak miód i wyciskać słuchaczom łyzy radości. Kiedy tańczy, ludzie powinni wykrzykiwać „Ach!” z pełnym zdumienia zachwytem. Musi być jasno stwierdzone, że nie będzie śpiewać ani tańczyć po zamażpójściu, aby nie przynosić wstydu rodzinie. Dziewczyna ma zdać świetnie wszystkie egzaminy w pierwszym podejściu, ale powinna słuchać z szacunkiem, kiedy jej przyszli teściowie udzielają jej nauk z różnych przedmiotów, które sami oblali w szkole średniej.

Nie może kuleć. Powinna przejść kilka kroków, delikatnie, ukazując małe stopki spod sari. Nie może kroczyć zamasyście ani wierzgać nogami jak koń. Powinna usiąść cichutko, ze złączonymi kolanami. Powinna się odzywać tylko tyle, żeby pokazać, że potrafi mówić, ale nie mówić za dużo. Jedno słowo, no, może dwa, po wielokrotnych namowach i perswazjach: „Chociaż parę zdań. Chociaż jedno zdanie”. Jej matka powinna nalegać: „Zjedzcie coś. Zjedzcie laddoo. Moja córka zrobiła je własnoręcznie”. I nie powinno być widoczne, że te smakołyki pochodzą z cukierni za rogiem. Hafty na poduszkach, na których wspierają się przyszli teściowie, i obrazy

na przeciwległej ścianie także powinny być jej własnej roboty. Barwy powinny być zharmonizowane, a motywy – przedstawiać kwiaty i owoce.

Nie powinna być tęga. Powinna być przyjemnie pulchna, mieć obfite biodra i piersi, ale smukłą talię. Dziewczyna ta, choć szczodra i o miłym usposobieniu, powinna być oszczędna, nie z gatunku osób, które roztrwonią rodzinne dobro. Chociaż cicha, powinna umieć wykrzykiwać głośno ceny warzyw i targować się ze sprzedawcami, spostrzegać i demaskować wszystkie ich brudne sztuczki. Rozmowa o mężu i dzieciach powinna wprawiać ją w takie onieśmienie i zakłopotanie, by ukrywała spłonioną niczym pączek róży twarz w fałdach sari.

Wówczas, jeżeli spełniła wszystkie wymagania odnośnie do zdrowego charakteru i imponujących dokonań, jeżeli jej rodzice zgodzili się wnieść wymagany wkład finansowy, jeżeli wróżki zdecydowały, że gwiazdy są szczęśliwe, a układy planet zgodne, wszyscy mogą roześmiać się z ulgą i biorąc ją za podbródek powiedzieć, że jest dokładnie tym, czego szukali, że będzie ich córką i domownikiem. W końcu są rodziną chłopca. Mają prawo do swojego poczucia dumy.

Ale rodzina zdołała wyszukać tylko jedną potencjalną synową. Była koścista i ciemna.

– Jak wrona – powiedziały z irytacją Kulfi i Ammadzi, kiedy Lakszmidzi, występująca w roli pośrednika matrymonialnego, pokazała im jej fotografię. – Chcecie ożenić biednego Sampatha z wroną.

– Niech się cieszy, że w ogóle ktoś się znalazł – powiedział pan Chawla, który porzucił wszelką nadzieję na skutery i przyjęcia weselne w hotelu Hals Raj.

Dziewczyna przyjechała wraz z rodziną kursowym autobusem. Oprócz nich autobus pełen był rozśpiewanych kobiet i mężczyzn, wracających z pielgrzymki do świątyni Kriszny w pobliskim mieście. Państwo Chawla zobaczyli, jak autobus skręca raptownie z drogi, niczym zwariowany żuk, i rusza w ich stronę w kłębach kurzu.

Kierowca zaproponował uczynnie, że wysadzi rodzinę zaraz przy sadzie Sampatha. Przyszła panna młoda nie może iść pieszo, bo się zakurzy i zrobi niekorzystne wrażenie, powiedział życzliwie. Sam miał córkę na wydaniu.

– Tak, tak, zawieźmy ją prosto do chłopca – rozległ się chór pozostałych pasażerów, którzy przerwali swoje śpiewy, aby podjąć decyzję.

Klaskali w ręce, aby podtrzymać pieśń; ich włosy powiewały, kołysali się w lewo i w prawo, po części dla rytmu, a po części dlatego, że autobus podskakiwał i trząsał się na wybojach i dziurach. Przymykali oczy, a ich głosy niosły się, wibrując, aż do uszu państwa Chawła, czekających pod drzewem Sampatha. „Dziesięć sposobów gotowania ryżu – śpiewali – siedemnaście drzew, kwitnących w lesie, dwudziestu pustelników przy moim stole. Ale ci, którzy cię znają, mówią, że twoja postać przekracza wszelkie liczby. O panie, naucz mnie dróg nieskończonej doskonałości”.

Powietrze wdzierało się przez szczeliny do autobusu, wciskało się pod spodnie i sari, tak że miły wietrzyk owiewał im nogi. Sprawiali wrażenie mocno nadmuchanych – podrygując, jak gdyby jakaś potężna siła w ich wnętrzu próbowała znaleźć sobie ujście.

Pomimo uprzejmości kierowcy i zabiegów z użyciem chusteczki, odrobiny śliny i dużej ilości pudru, dziewczyna wysiadła z autobusu niemożliwie zakurzona. Pielgrzymi, ciekawi, co też się może wydarzyć podczas tego niecodziennego spotkania potencjalnych małżonków, wysypali się również bezładną, nieporządną kupą z autobusu. I tak potrzebowali przerwy na lunch i chwili czasu dla siebie za jakimś krzaczkiem. Wiodąc przyszłą pannę młodą przed sobą niczym prezent, towarzystwo ruszyło w kierunku drzewa. Sampath miał zawsze słabość do kobiety z etykiетки na kokosowym olejku do włosów. Spędził wiele czasu, kontemplując jej tajemniczy uśmiech na łazienkowej półce. Przycupnięty nad zapleśniałym drewnianym podestem, polewając się wodą z wiadra, odbywał z nią szereg wyimaginowanych spotkań, których dopełniały prowadzone w wyobraźni rozmowy, kłótnie i pojednania. Wychodziła mu na spotkanie, owiana wonią olejku, z uśmiechem tak białym, jak lśniące wnętrze orzecha kokosowego. Pasma włosów spływało z czubka głowy kokosowej damy, wędrując w dół po krzywiznach butelki. Sampath spojrzał na stojącą pod drzewem, okrytą welonem kobietę i zrobiło mu się gorąco z przerażenia.

– Zejdź, proszę, na dół. Chcemy cię przedstawić. Siedziałeś na drzewie wystarczająco długo – powiedział pan Chawła.

Sampath pomyślał, że chyba zemdleje.

– Wejdź na drzewo, córeczko – przynaglił dziewczynę jej ojciec. – Dalej, wchodź. No już. Jeden krok. Tylko jeden krok.

Wierni podsadzili sztywną, niechętną postać na drzewo.

– Do góry – zachęcali, i dziewczyna zaczęła się powoli wdrapywać. Była spowita w warstwy lśniącego materiału niczym wielki, kosztowny

cukierek toffi. Materia wzdymała się wokół niej, czyniąc ją absurdalnie tęgą. Jej złote pantofelki ślizgały się przy każdym kroku. Sari miała narzucone na głowę, a jego brzeg trzymała w zębach, aby możliwie jak największa część twarzy była skromnie zakryta. Zdawało się trwać wieki, nim dotarła do Sampatha. Było jasne, że nie jest stworzona do życia na drzewie. Zatrzymała się i spojrzała w dół po dalsze wskazówki. Nikt właściwie nie wiedział, czego należy oczekiwać ani co ma dalej zrobić. Nawet pan Chawla nie miał pojęcia, co powinno teraz nastąpić.

– Dotknij jego stopy – zawołał ktoś wreszcie w przypiływie natchnienia.

– Tak, dotknij jego stopy – wykrzyknęli pozostali pielgrzymi i dziewczyna, wysuwając nieśmiało palec, niby wąż wyślizgujący się ze swojej powłoki, ostrożnie dziobnęła palec u nogi Sampatha. Jej palec był wilgotny i zimny jak lód. Sampath podskoczył przerażony. Równie przestraszona dziewczyna wydała słaby okrzyk. Tracąc równowagę i gubiąc złote pantofelki, stoczyła się nieprzystojnie na dół, czemu towarzyszyły bardziej energiczne okrzyki rodziny i pielgrzymów, którzy rzucili się w jej stronę z wyciągniętymi ramionami. Ale nie udało im się jej schwycić w locie, i dziewczyna gruchnęła o ziemię.

Nie wróżyło to zbyt dobrze planom matrymonialnym. Wierni oparli ją o drzewo i wachlowali liściastą gałęzią.

– Co ja mam robić z tym chłopakiem? – Pan Chawla wyrzucił ręce w powietrze. – Niech mi ktoś powie, co mam robić! Najlepsze wykształcenie. Praca. Żona. Podaje mu się świat na tacy, ale nie, nic nie jest dla niego dość dobre. Szanowny pan musi uciec z domu i wleźć na drzewo. Ani śladu wdzięczności za wszystko, co się dla niego zrobiło.

Dziewczyna zaczęła kichać, wydając cichutkie, mysie piski.

– Przestańcie ją wachlować tą gałęzią – zawołał ktoś. – Cały kurz wchodzi jej do nosa.

– Kurz, nie kurz, ale to jeden z najbardziej niepomysłnych znaków – powiedział inny obserwator.

Pinky czuła straszliwą pogardę dla tej nędznej kobiety, która w tak ważnym momencie reagowała kichaniem i kwileniem. Uszczypnęła ją porządnie z tyłu, w nadziei, że ta podskoczy, ale dziewczyna nadal kichała i siąkała nosem. Ammadzi podbiegła z blaszanką pełną wody i oblała dziewczynę sądząc, że zaszkodziło jej słońce. Puder spłynął po twarzy oblubienicy mleczną rzeką.

– Co robić? – powtórzył pan Chawla. – Co robić z tym chłopakiem? – Ociekał potem, chociaż owiewał go miły wietrzyk, przesycony zapachem ziemi i bujnie pieniającej się roślinności.

Sam był w wieku swojego syna, gdy się ożenił. Kulfi, jeszcze młodsza od niego, tak bardzo niepokoiła rodzinę swoimi dziwactwami, że obawiali się, iż dalsze odkładanie jej zamażpójścia doprowadzi do tego, że zostanie im na głowie już na zawsze, tracąc stopniowo poczucie rzeczywistości, gubiąc zdrowy rozsądek jak rozsypujące się ziarenka maku.

Spędzali jedną bezsenłą noc po drugiej, stłoczeni przy oknie, patrząc, jak snuje się tam i z powrotem po ogrodzie, nabrawszy nagle, po swoich dwudziestych urodzinach, zwyczaj lunatykowania.

Ojciec w piżamie patrzył poblady, ciotki dygotały w swoich halkach. Miesiąc minął i nic nie wskazywało, aby te objawy miały się cofnąć. Księżyc stał się duży, potem cienki jak pasemko włosów, by znów urosnąć do pełni. Kulfi spacerowała cicho pośród skrzypów, bosą, krokiem królowej; spała, ale równocześnie zajadała plastry arbuza, plując pestkami, które sypały się niczym deszcz pomiędzy krzaki. Rankami znajdowali pod jej łóżkiem ogryzki jabłek i skorupki orzechów, lepkie tropy prowadziły od kuchennych garnków prosto do jej pokoju. W jej kieszeniach odkrywali kawałki cynamonu i asafetydy. We włosach – małe gałązki, a często rozgniecione nocnego żuczka. Ale budziła się rześka, wypoczęta, nic nie pamiętając ze swoich nocnych wędrówek, z ucztowania o północy, twierdząc stanowczo, że spała twardo, gdy krewni, szarzy i zataczający się z niewyspania, indagowali ją przy porannej herbacie. W ogrodzie arbuzy rosły gąszczem, przez który na próżno usiłowali się przerąbać.

Było oczywiste, że odchodzi od zmysłów. Tak, to było to – dziwactwa, które od pokoleń nękały jej rodzinę ze strony matki, wypływając na powierzchnię właśnie wtedy, gdy już mieli nadzieję, że geny-winowajcy uspokoiły się i znalazły wreszcie swój kres. Zaskakiwały ich wciąż od nowa, pojawiając się ni stąd, ni zowąd u najbardziej zrównoważonych wujków i u nowo narodzonych dzieci. Był pewien dziadek, który kochał swoje kurczaki tak namiętnie, że upierał się spać nocą w kojcu, była ciotka, która ogłosiła, że jest ostatnim maharadzą Oudh, właśnie gdy zdecydowano, że rodzina jest chyba wreszcie przy zdrowych zmysłach, było dziecko, które mówiło wyłącznie swoim własnym, przeinaczonym językiem.

Kiedy stało się jasne, że Kulfi także jest dziedzicznie obciążona rodzinnym szaleństwem, jej ojciec uznał, że nie ma ani chwili do

stracenia. I zanim wieść o jej dziwactwie dotarła na bazar, zaniesiona przez pracza, sprzedawcę słoików i butelek czy kogokolwiek, kto mógł zobaczyć lub usłyszeć coś podejrzanego, wywiedział się, że wdowa Ammadzi z odległego miasta Szahkot poszukuje partii dla swojego syna. I chociaż rodzina ta wywodziła się ze znacznie niższej klasy, zaoferował im posag, którego nie mogli odrzucić.

Ale pomimo to!

– Ta zwariowana rodzina! – wykrzyknął pan Chawla. – O, nie! W żadnym wypadku! Nie mam zamiaru ożenić się z ich córką. Dzięki serdeczne, trzymam się z daleka od takich historii.

Ale Ammadzi mlasnęła językiem. Z jakiegoś powodu nabrała sentymentu do tej dziewczyny, no i kto, na Boga, wzgardziłby taką sumą pieniędzy jak ta, którą im zaoferowano? Mogliby popłacić długi całego pokolenia i jeszcze kupić lodówkę.

– Nie bądź niemądry – powiedziała. – Robi wrażenie normalnej, nawet jeżeli jest odrobinę nieśmiała.

– W tych sprawach nigdy nic nie wiadomo – powiedział pan Chawla. – Tak naprawdę to właśnie te ciche osoby są podejrzane.

Ale chociaż nie przyznałby się do tego głośno, jego również urzekła jej uroda kwiatu, jej smukła sylwetka, jej niesłychana delikatność, które czyniły Kulfi tak niepodobną do krzepkich dziewczuch z sąsiedztwa z ich śmiechem, okrągłymi biodrami, ukradkowym mruganiem i poszturchiwaniem. I w kilka miesięcy później Kulfi przeprowadziła się ze swojego zimnego domu, który był duży i rozrośnięty, nawet jeżeli dachy przeciekały, a farba podpadała, do maleńkiego mieszkania państwa Chawla pośród rozsypujących się zabudowań Szahkot. Z czasem pan Chawla nabrał czegoś w rodzaju podszytej irytacją czułości dla swojej żony, nawet gdy stało się jasne, że nie jest normalną córką szalonej rodziny, jak przypuszczała Ammadzi, ale szaloną córką szalonej rodziny, jak sam podejrzewał. On prawie zawsze miał rację. Z taką żoną jak ta i dwojgiem dzieci na utrzymaniu i wychowaniu, pan Chawla utwierdzał się coraz mocniej w swojej roli głowy rodziny i odpowiadało to jego własnemu pojęciu o tym, jakie życie powinien wieść. Pomimo całego narzekania dawało mu to skrytą satysfakcję.

Był głową rodziny i lubił to.

Ach! Ale cóż z tego, że jest się głową rodziny, gdy ma się syna, który uciekł z domu i siedzi na drzewie? Który wymknął ci się z rąk i okrył cię wstydem?

– Co robić? – indagował wciąż tłoczących się wokół wiernych, chcąc im pokazać, że to nie z braku troski i starań z jego strony Sampath skończył w tak pożałowania godny sposób. Plasnął się w czoło otwartą dłonią, gdyż dramatyzm sytuacji ma to do siebie, że bierze górę nad zażenowaniem, które w głębi ducha powinno się odczuwać. Panie i panowie z autobusu okazali mu nieco współczucia.

– Tak, tak, co za wstyd – mamrotali. – I z takiej porządnej rodziny, i w ogóle. Chłopiec najwyraźniej się wykoleił.

Ich uwaga skierowała się w stronę Sampatha. Obserwowali, jakie wrażenie zrobi na nim strapienie ojca. Niewątpliwie każdy syn, nawet ten, musi zareagować na tak wzruszającą manifestację uczuć.

Wyczuwając w dole nastroj oczekiwania, Sampath patrzył w uniesione oczy pobożnych pielgrzymów. Myślał o swojej starej szkole i o urzędzie pocztowym, o salach, pełnych ludzi, oczekujących odpowiedzi na pytania, których często nawet nie słyszał. Zastanawiał się, jak to się działo, że nigdy nie czuł się dobrze pomiędzy ludźmi. I oto był samotny, wciągnięty w zagadkowy rytuał, właściwy innemu gatunkowi. „Żyć dalej swoim własnym życiem – chciał zawołać. – Dalej, dalej! Dajcie mi żyć po swojemu”.

Ale, rzecz jasna, nie mógł powiedzieć niczego w tym rodzaju. Rozejrzał się z rozpaczą wokół siebie. W gąszczu twarzy, tam w dole, rozpoznał twarz pana Singha, którego listy czytywał czasem w chwilach bezczynności na poczcie. I, jakby w rozpaczliwym błaganiu o pomoc, zawołał:

– Panie Singhdzi!

Pamiętał jeden szczególny list, który pan Singhdzi napisał do swego ojca.

– Czy pańska biżuteria wciąż jest bezpiecznie zakopana pod tym krzakiem bazylii?

Pan Singh pobladł.

– Skąd pan wie o mojej sytuacji? – zapytał.

Wtedy Sampath spostrzegł panią Choprę.

– Jak się miewa ta kula w pani gardle, która wędruje w górę i w dół tchawicy i szepcząc groźbyomalże nie wyskoczy z pani piersi?

– Ojej – wykrztusiła kobieta. – Kto panu powiedział?

Twarz Sampatha, ośmielonego tym sukcesem, rozjaśniła się nieco. Wymierzył palec w łysego mężczyznę, stojącego pośród tłumu, i powiedział.

– A pan? Co z tym tajemniczym olejkiem, który dostał pan od doktora w Side Gully? Najwyraźniej nie działa. Niech pan spróbuje masażu olejkiem z gorzycy, a pańskie włosy wystrzelą tak gęste i obfite jak trawa w Czerapundzi po deszczu.

Z oczyma rozszerzonymi z wrażenia, w poczuciu ważności nowiny, którą nieśli, wierni wracali z powrotem do Szahkot.

Na drzewie guawy był niezwykle człowiek. Wiedział najróżniejsze rzeczy. Rozbójnicy szantażowali biednego pana Singha. Zły duch usadowił się w brzuchu pani Chopry. Ratan Singha bezskutecznie stosował specjalny olejek na porost włosów.

Najwyraźniej ten urzędnik z poczty był kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem. W jego oczach dostrzegli rzadko spotykanego ducha.

– „Urzędnik pocztowy wspina się na drzewo” – odczytał pan Chawla zdumionej rodzinie jeszcze w tym samym tygodniu, kiedy historia dotarła już nawet do miejscowego ośrodka informacji i została uznana za godną uwagi. – „Uciekając od swoich obowiązków w placówce pocztowej w Szahkot, urzędnik, jak nam doniesiono, osiedlił się na wielkim drzewie guawy. Zgodnie z powszechną opinią, jest on człowiekiem niezwykle uduchowionym, łączącym dziecięcą naiwność z niezgłębioną mądrością”.

No i proszę – oto skromna rubryka, przedstawiająca Sampatha światu, wraz z doniesieniem o słabych plonach orzeszków ziemnych, epidemii wśród żab nadrzewnych i pogłoskami, że coca-cola być może wkrótce zawita do Indii.

VIII

To właśnie w tym momencie pan Chawla doznał raptownego olśnienia. Odkrywcza myśl spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Myśl tak nagła i tak niewiarygodna, że przyprawiła go o bicie serca. Dzięki Sampathowi rodzina może zbić majątek. Mogą być bogaci! Ilu pustelników było w skrytości bogaczami? A liczni święci mężowie, którzy nie byli wcale żebrakami, na jakich wyglądali? Ilu mężów o niezgłębionej mądrości miało równie niezgłębione konta w bankach? Jakaż okazja wyłoniła się znikąd! Ludzie już teraz patrzyli na Sampatha inaczej: nie chichotali, nie uśmiechali się z wyższością, nie cmokali językami z dezaprobatą. On, pan Chawla, musi działać najszybciej, jak się da, aby zdyskontować dla rodziny te możliwości, możliwości sięgające – był o tym przekonany – dalej niż najdalszy horyzont, jaki ogarniał wzrokiem. Porzucił plan, aby powrócić jak najprędzej do Szahkot, holując za sobą Sampatha, i zaczął myśleć o budce starego stróża, w której koczowała jego rodzina, jako o miejscu stałego pobytu. Jednak myśli te zachowywał wyłącznie dla siebie, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nagła zmiana kursu równocześnie zaskoczyła i ucieszyła jego matkę i żonę, które zadomowiły się już w sadzie, jak gdyby był on ich dawno nie widzianym domem. Pan Chawla przestał wyrzucać Sampathowi siedzenie na drzewie i skierował uwagę na inne sprawy.

Starając się zapewnić synowi większy komfort, aby mógł przyjmować odwiedzających w stylu odpowiednim do wizji przyszłości jego ojca, pan Chawla odwołał się do pomocy Pinky, Ammadzi i Kulfi. Rozważali tę kwestię z należytą powagą, spędzając długie godziny na omawianiu praktycznej strony medalu, sącząc przy tym niezliczone szklanki herbaty z mlekiem. Czy hamak nie byłby sympatyczny? Kawał materiału, rozpięty pomiędzy gałęziami drzewa. Nie, to nie byłoby dość dostojne. Poza tym Sampath znajdowałby się zawsze w pozycji horyzontalnej, a ostatecznie był młodym i zdrowym człowiekiem i nie powinno mu się pozwalać na takie zbytki. A podest? „Może później – powiedział pan Chawla – kiedy będziemy mogli sobie pozwolić na drewno i stolarza. Zbudowanie podestu przekracza nasze możliwości”. Nie byłiby również w stanie zbudować nadrzewnego domku. Zresztą... „Nic z tego – wtrącił się w tym momencie do rozmowy Sampath. – Nie mam zamiaru mieszkać w domu po wszystkim, co zrobiłem, aby uciec od domów”. Ostatecznie zdecydowali, że

na razie zadowolą się plecionym łóżkiem, przytwierdzonym do gałęzi, na którym Sampath mógłby przyjąć pozycję pólleżącą. Wywindowali łóżko na miejsce, gdzie siedział. Ammadzi i Kulfi podały je Pinky i panu Chawli, którzy wdrapali się do Sampatha.

Znacznie mniej wybredny niż oni, gdy idzie o najkorzystniejsze usytuowanie nowego łóżka, pragnąc, by jak najszybciej opuścili jego terytorium, Sampath czekał z niecierpliwością, aż zostanie umocowane na swoim miejscu i przytwierdzone liną, po czym opadł na nie z ogromną ulgą, gdyż przekonał się, że spanie na twardym pniu jest bardzo niewygodne. Kości miał potem obolałe, skórę posiniaczoną, wszystkie mięśnie ponaciągane w niewłaściwych kierunkach. Ręce, nogi i inne części jego ciała usypiały, a potem napełniały go bolesnym chrobotem, kiedy się znowu poruszył. Poprawiał się bez przerwy, a raz, ku swojemu zawstydzeniu, zszedł z drzewa, aby się przespać na trawie, i umknął z powrotem tuż przedtem, nim jego rodzina opuściła stróżówkę, w której spali, ciepło otuleni kołdrami.

Pewnego dnia w drodze na bazar pan Chawla spostrzegł wielki, pasiasty ogrodowy parasol, porzucony przez klub byłych członków dworu. Znalazł go naprawiacz parasoli i właśnie zamierzał zużyć na części, kiedy pan Chawla przekonał go, aby go wyczyścił, załatał i wyreperował szprychy. Po lekkim odświeżeniu parasol również został wciągnięty na drzewo. Choć nieco sfatygowany, był dość duży, aby chronić Sampatha i całe jego łóżko przed słońcem i deszczem. I mimo że mocno spłowiał, jego żółte i zielone pasy oraz podobne wykończenie nadal wyglądały dziarsko.

W ten sposób Sampath został stopniowo wyposażony we wszelkiego rodzaju wygody, a im bardziej wyszukane rozwiązania stosowano, tym bardziej był zadowolony. Uroczo wyglądał, usadowiony tak wśród zieleni, spoczywając na swoim łóżku pod lekkim kątem do reszty świata, wsparty na niezliczonych poduszkach, opatulony w chłodne wieczory we wspaniałą atłasową kołdrę w lamparcie cętki, którą Ammadzi wyszukała na bazarze. Na głowie obnosił dumnie czerwoną wełnianą czapkę, przypominającą kapturek na imbryk, którą Ammadzi zrobiła na drutach i podała mu na kiju. Z tej czapki był szczególnie zadowolony, gdyż dzięki niej było mu przytulnie i ciepło w głowę nocą, gdy wiatr był chłodny, a prócz tego nie docierały do jego uszu nocne szelesty, chrobotanie mrówek, ciem i małych, czarnych żuczków.

– Niczego mi nie potrzeba – oświadczał rodzinie ze skinieniem dłoni, jak gdyby odprawiał ich, stwierdziwszy, że aktualny stan rzeczy go zadowala. W pierwszej chwili wprawiało ich to w osłupienie, gdyż nie

oswoili się jeszcze z takim odwróceniem ról. Ach, jak besztali go niegdyś za każdy najmniejszy drobiazg. Teraz on machał ręką, jakby był radzą, który życzy sobie, by go pozostawiono w spokoju. Kiedy znów byli potrzebni, przywoływał ich krzykiem, zaczynając o świcie, kiedy życzył sobie porannej herbaty, a następnie trochę później, gdy był już gotów do kąpieli, wymagającej skomplikowanych zabiegów, przeprowadzanych z udziałem całej rodziny, która z chęcią się do tego przykładła, gdyż, bądź co bądź, zawsze byli schludni. Tak jest – jakiegokolwiek były ich pozostałe przywary, nikt nigdy nie mógł nazwać ich brudasami i zdecydowani byli również teraz nie dać nikomu do tego powodu, nawet jeżeli Sampath mieszkał na drzewie.

Przygotowania do kąpieli trwały godzinę lub dłużej. Ubrany w pasiaste szorty Sampath siedział na swoim łóżku, wśród kołder i poduszek porozwieszanych na gałęziach dla przewietrzenia, podczas gdy Ammadži rozpałała ogień pod olbrzymim kotłem' wody. Wiadra wody były następne windowane do Sampatha za pomocą specjalnego systemu lin i bloków, opracowanego specjalnie w tym celu przez jego ojca. Rodzina biegała tam i z powrotem, pan Chawla wykrzykiwał polecenia, na które nikt nie zwracał uwagi. „Pilnujcie, żeby ogień nie wygasł. Natrzyj się olejkim, zanim się namydlicz. Namydł się dobrze, Sampath”. Gdy na dole pociągnięto za sznur, wiadro przechylało się i woda – parujący strumień, chwytający światło wczesnego poranka – spływał w dół niczym płynna lawa. Potem, błogo rozleniwiony, Sampath siedział, owinięty w koc i suszył włosy w coraz mocniejszym słońcu, gdy tymczasem zajmowano się jego śniadaniem.

Jeśli chodzi o posiłki, wszystkie usiłowania Pinky, aby wdrapać się na drzewo z półmiskami i wazami, kończyły się częściej fatalnie niż pomyślnie, przy czym obiad lądował albo na trawie, albo, co gorsza, obryzgiwał gorącą treścią nieszczęsnego dostawcę żywności. „O nie” – mówił Sampath ze smutkiem, a burczący żołądek odzywał się do wtóru jego rozczarowaniu. Udawało mu się cokolwiek zjeść dopiero po wielu próbach. Rodzina patrzyła z niepokojem, jak Pinky winduje się z gałęzi na gałąź, trzymając nad głową garnek dalu, z kawałkiem naanu między zębami. „Ostrożnie, taaak, ostrożnie...” Ale nim Pinky dotarła do Sampatha – chlup! – na dnie garnka zostawała zaledwie kałuża, a naan był zimny, twardy i brakowało w nim kilku kęsów, gdyż w końcu Pinky potrzebowała małego co nieco, aby nie opaść z sit.

– To bez sensu – powiedział pan Chawla. I za którymś razem sam pokonał trasę. – Głupi naan – zaklął, kiedy ten wysunął mu się z ust. –

Głupi dal – powiedział, kiedy niewielka ilość przelała mu się między palcami, ale gdy cały garnek przewrócił się i wylądował, wrzący, na jego wrażliwej stopie, wybuchnął gniewem. Następnego dnia przyczepił starą drewnianą skrzynię do podstawowego systemu bloków – tego samego, za pomocą którego dostarczano wodę do kąpieli Sampatha – i od tej pory podawano mu posiłki, ciągnąc po prostu za linę, która unosiła skrzynię do góry. Przyrządzone na dole pulchne ciapaty i naany serwowano po nadzianiu na koniec bambusa, podobnie jak plasterki pikli, kawałki owoców i inne frykasy.

Od czasu do czasu do systemu bloków podczepiano inną skrzynię, zawierającą wyroby garncarskie, za pomocą których Sampath zaspokajał naturalną potrzebę w możliwie wygodny i higieniczny sposób, bez konieczności odwiedzania skonstruowanej przez pana Chawłę wygodki. Funkcjonowało to dobrze, naczynia bowiem, rzecz jasna, były jednorazowego użytku i Sampath mógł opuszczać swój parasol, używając go jako parawanu, aby móc siedzieć na nich w spokoju. Za symboliczną opłatą garncarz zaczął dostarczać kolejne partie w regularnych odstępach czasu.

Mając umoszczone w sadzie tak przytulne gniazdko i wciąż nie mogąc uwierzyć w obrót, jaki sprawy przyjęły same z siebie, Sampath wygłosił to, co stało się znane jako kazanie na drzewie guawy, odpowiadając na pytania ludzi z takim wdziękiem i tak rozumnie, że odtąd po wsze czasy stało się to jego znakiem firmowym. Ta wdzięk i mądrość były oczywiście zagadkowe, ale rzucały się w oczy wszystkim, którzy przybywali w coraz większej liczbie, podążając wąską ścieżką, aby wpatrywać się zdumionymi oczyma w chude, długonogie zjawisko pośród liści.

Wśród pierwszych, którzy odbyli tę drogę, byli panna Jyotsna i pan Gupta.

– Musiał przejść gruntowną i całkowitą przemianę – powiedziała panna Jyotsna. – Popatrz, jaka inna jest teraz jego twarz.

Z pewnością była to twarz spokojniejsza, szczęśliwsza.

– Namaste dzi – powitał ich radośnie Sampath ze swojego nadrzecznego łoża, swojej nowej strefy wpływu. Naprawdę, myślał, byli całkiem sympatyczni. Zawsze mieli dobre chęci, w przeciwieństwie do wielu innych, których mógłby wskazać.

– Cześć, Sampath – powiedział pan Gupta. – Może byś wziął mnie do siebie? Mógłbym trochę odpocząć od tej tutaj. – Wskazał na pannę Jyotsna z komicznym wyrazem twarzy.

– Ilekroć chcesz od niej odpocząć, wyślij ją do sklepu z sari i salwarami – roześmiał się Sampath. – Wiesz, jak ta dama kocha stroje... Oj, ale to może być nie najlepszy pomysł. Jest już winna w sklepie z damską konfekcją sto pięćdziesiąt dwie rupie i osiemdziesiąt pajsów.

Kiedyś, gdy panna Jyotsna została wezwana do biura dyrektora, Sampath miał okazję zapoznać się z zawartością jej torebki: szminka i grzebień, haftowana chusteczka, kwity i agrafki, cukierki toffi i małe fiołki leków homeopatycznych...

Panna Jyotsna uniosła drżącą rękę do ust. Krew uderzyła jej do twarzy. Trzymała swój dług w tym sklepie w ścisłej tajemnicy. Co jeszcze Sampath mógłby o niej powiedzieć? Słyszała, jak oszołomił wyznawców świątyni Kriszny swoim jasnowidzeniem. Teraz użył tej mocy, aby wybadać ją.

Szturchnęła pana Gupte.

– Traktuj go z większym respektem – powiedziała, a nuta szacunku w jej głosie wprawiła go w zdumienie. Najwyraźniej to, co zobaczyła, przejęło ją grozą. Nawet sprzedawca paanów, który również przybył tutaj z myślą, że sprzeda trochę przekąsek, zaspokajając przy okazji ciekawość, odwrócił się, rzucając panu Gupcie mroczne spojrzenie, i powiedział:

– Wygląda na to, że jest pan nieświadomiony w sprawach duchowych.

– Przecież to tylko Sampath – zaprotestował pan Gupta.

Ale najwyraźniej nie był to „tylko Sampath”. Był to Sampath o niezgłębionej mądrości, zasiadający w swojej nadrzewnej pustelni.

Po pracy dołączył do nich cukiernik, potem dwóch studentów, którzy urwali się z wykładu, pracz na rowerze i kobieta w ciąży, która chciała się dowiedzieć, czyjej dziecko będzie chłopcem, czy dziewczynką.

– O tak – mówiła usatysfakcjonowana do ludzi, stojących wraz z nią pod drzewem. – Ma ten sam wyraz twarzy, co mędrzec Tajawala, gdy znajduje się w samadhi. Widzieliście może zdjęcia?

– Mój syn popadł w złe towarzystwo – wtrąciła się zboląła, ale pełna animuszu krewna pani Lakszmidzi, ubrana w kanarkowe sari.

– Co mam robić?

– Dodaj cytryny do mleka, a stanie się kwaśne – odparł Sampath, w wyjątkowo dobrym nastroju i towarzysko usposobiony, naśladując starców z Szahkot, którzy lubili zasiadać przed drzwiami domów w zimowe popołudnia, wystawiając się do słońca w swoich skarpetkach i kapeluszach i równocześnie udzielając porad przechodniom. – Ale jeśli doda pani trochę cukru, droga pani, ach!, jakie smaczne to mleko się zrobi. To są sprawy, których nie muszę pani tłumaczyć. Sama pani wie, że w młodości zachowywała się pani tak samo, jak pani syn.

Sam był zdumiony tym, jak wiele szczegółów zdołał zmagazynować podczas swoich lektur w urzędzie pocztowym. Proszę, mógł je teraz zwyczajnie wyciągać z jakiejś tajnej przegródki w mózgu, jak magik wyciąga króliki z kapelusza. Z jakim podziwem patrzyli na niego ludzie stojący pod drzewem! Nigdy dotąd nie zaznał słodkiej i jedynej w swoim rodzaju przyjemności udzielania rad, która teraz przepelniała całą jego istotę i promieniała na jego twarzy.

– Czy rozumie pan przez to, że powinnam uwolnić mojego syna od tego niepożądanego towarzystwa? – zapytała krewna pani Lakszmidzi.

– Jeżeli postawi pani kurczaka na ogniu i zapomni o nim, wkrótce nie będzie to kurczak, tylko popiół i kości. Jeżeli zostawi pani na ogniu czajnik, woda zacznie się gotować i – o ile ktoś go nie zdejmie – wygotuje się zupełnie. Jeśli pani dziecko bawi się zdechłą, śmierdzącą myszą, nie będzie pani deliberować: „Może go zostawić, może mu pozwolić?” Nie, wyrzuci pani mysz, zabierze dziecko do domu i umyje mu ręce.

Pan Chawla i Pinky, którzy wrócili z wyprawy na targ akurat na czas, aby usłyszeć to zdanie, popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, widząc, jak uważnie ludzie przysłuchują się Sampathowi.

– Słyszałaś? – zapytał córkę pan Chawla.

– Zdechła, śmierdząca mysz? – powiedziała Pinky, nie wierząc własnym uszom.

– Jeżeli nie będziesz wyrywać chwastów, twoja sadzonka pomidorów nie zakwitnie.

Ammadzi i Kulfi, zarumienione z dumy, znajdowały się już pomiędzy tłumem. Wsłuchiwały się w każde wypowiedane słowo, wyciągając szyje, aby lepiej słyszeć, jak mężczyzna o kragłej twarzy mówi: „Jestem zaabsorbowany sprawami duchowymi. W jaki sposób mam skupić uwagę na swoich obowiązkach?”

– Jeżeli mówisz do młodej dziewczyny, stojącej przed lustrem, to jakbyś rozmawiał z głuchym. I czy można przekonać ćmę, żeby nie frunęła do lampy, mówiąc, że powinna się zatroszczyć o trójkę swoich dzieci?

– Ale czy twierdzi pan, że powinienem porzucić swoje obowiązki wobec żony i dzieci?

– Mój wujek miał kiedyś koguta. Pewien owad złożył jaja w jego tylnym końcu. Wiedział, że jego młode będą miały ciepłe schronienie i mnóstwo jedzenia, zanim staną się dostatecznie duże, aby opuścić to miejsce.

– Która droga poszukiwania Boga jest lepsza? Droga pobożności czy droga wiedzy?

Pytania padały prędko i gorączkowo.

– Niektórzy ludzie mogą strawić jedynie rybę, przyrządzoną w lekkim curry. Inni mają skłonności do nadkwasoty i nie powinni jeść marynowanej ryby. Na południu lubią rybę, gotowaną w wodzie kokosowej. Ja osobiście najbardziej lubię morskie jaskółki w sosie z chilli i tamaryndą, zagęszczonym odrobiną mąki.

– Od czego mam rozpocząć swoje poszukiwania? Gdzie jest punkt wyjścia?

Sampath uśmiechnął się, po czym ziewnął i naciągnął sobie czapkę na oczy. Poczul się zmęczony, więc zapadł w sen, szybko i łatwo jak dziecko.

Wśród gości zapanowała nagła cisza. Kulfi podniosła się bezszelestnie i wysliznęła, aby przyrządzić kolację dla Sampatha. W Szahkot gotowała tylko od czasu do czasu, kiedy natchnienie wezbrało gdzieś wśród morza jej podświadomości i ruszyło, ogarniając ją, niczym fala przyływu.

Ale jak miała pogodzić swoje dzikie marzenia z monotonnym życiem w Szahkot, z ich maleńką kuchnią i posiłkami na starym, krytym ceratą stole? Wciąż i wciąż od nowa dania, które przyrządzała, rozmijały się z jej wewnętrzną wizją. Nie mogły jej zadowolić składniki, które trafiały – butelkowane i paczkowane – na sklepowe półki, albo, zwiędłe, do koszy przekupniów na bazarze. Kuchnia była za mała dla skali, której pragnęła dla swoich działań; wciąż przeszkadzali jej w gotowaniu sąsiedzi, badający, co to za zapachy docierają do ich domów z jej kuchenki. „Nie mieszaj ryby z kurczakiem”, doradzali. „Najpierw smaź cebulę, a potem dodawaj czosnek. Dodawaj mleko dopiero przed samym końcem goto-

wania”. Frustracja rosła w jej wnętrzu w potężną chmurę, przesłaniającą wszystko inne, aż jej wzrok i słuch ulegały przytępieniu. Sampath kosztował jej potraw, uśmiechał się i kiwał głową z uznaniem, ale ona była niepokieszona. Wszystko było nie tak, wszystko nie tak. Aby się uspokoić, potrzebowała całych tygodni, podczas których siedziała na dachu z Sampathem w zupełnym milczeniu. Po upływie miesięcy, gdy fala natchnienia znów przybierała, cała historia powtarzała się od nowa.

Pan Chawla nauczył się kwitować jej zachowanie wzruszeniem ramion. Wszystkie jego wcześniejsze starania, aby nauczyć ją normalnego współistnienia ze światem, spływały po niej jak deszcz po ceracie, więc gdy tylko Sampath był dostatecznie duży, pan Chawla przeniósł zainteresowanie na syna, gdyż jego najważniejszym obowiązkiem, jak uważał, było wbicie mu do głowy, przynajmniej w minimalnym stopniu, umiejętności poruszania się w świecie. Zdarzyło mu się, oczywiście, raz i drugi, poważniejsze zmartwienie, jak wtedy, gdy Kulfi usiłowała ukraść doświadczone sadzonki z dorocznej wystawy w centrum rolniczym, lub kiedy próbowała dostać się do klatki z rzadkimi bażantami w małym zoo w Szahkot, aby schwytać i ugotować jednego z nich. W obu wypadkach została zatrzymana przez strażników, którzy uznali ją, zwyczajnie, za jednego z płaczących się tam gości, nie bardziej kłopotliwego niż reszta hałaśliwego tłumu. I na szczęście takie wypadki nie powtarzały się zbyt często.

Ammadzi również zostawiła Kulfi w spokoju, jeśli nie liczyć mamrotanych z rzadka uwag i żalów, co należało do jej obowiązków jako teściowej. W skrytości ducha była zadowolona, że pojawienie się Kulfi nie wpłynęło na jej pozycję w domu i na życie pana Chawli. Bywały kobiety, którym przypadł w udziale pożałowania godny los, gdy ich synowie odwracali się do nich plecami, ignorując je całkowicie po swoim ślubie.

Tutaj, w sadzie, oddziaływanie innych ludzi na Kulfi i jej świadomość ich istnienia stały się jeszcze mniejsze i – podobnie jak Sampath – zaznała ulgi otwartej przestrzeni. Inspirowana przez las, podjęła serię eksperymentów, żarliwą krucjatę, aby wcielić w życie swoje fantastyczne wyobrażenia. Gotowała na dworze, w słońcu, pod bezkresnym niebem. Czowała, że znajduje się o krok od czegoś gigantycznego. Wokół roztaczał się krajobraz, który rozumiała do głębi, który była w stanie pojąć bez rozmyślań czy analiz. Rozumiała go, tak jak rozumiała swojego syna, bez konieczności rozmowy, bez budowania czy podtrzymywania więzi. Pinky była dla niej kimś obcym, działała jej na nerwy, a czasem przerażała; to szczęście, że była taka niezależna. Ale Sampatha Kulfi znała. Wiedziała,

dlaczego siedzi na drzewie. To było dla niego właściwe miejsce, to było otoczenie, do którego należał.

Ile razy spojrzęła, jak siedzi na swoim łóżku, lub rzuciła okiem na jego twarz pomiędzy liśćmi, przypominał jej się dzień jego narodzin, które wymieszały się w jej pamięci z najgwałtowniejszą burzą, jaką kiedykolwiek przeżyła, z nadejściem pomocy humanitarnej i ze srebrnym cudem deszczu. Tam, pośród tego chaosu, twarzyczka jej syna miała w sobie cudowny spokój – zaabsorbowanie innym światem niż ten, na który się narodził.

Kulfi gotowała tylko dla Sampatha, pozostawiając Ammadzi troskę o resztę rodziny, gdyż był on jedynym człowiekiem, którego opinii ufała.

Pracowała niemal przez cały dzień, próbując tego lub owego, tworząc, nawet w tych pierwszych dniach, gdy mierzyła się dopiero ze swoją wyobraźnią, dania tak rzadkie i o takim smaku, że inni mogli się zaledwie domyślać, co tracą, po zapachach, które unosiły się z jej garnków, a które tak ich upajały, że nim zapadł wieczór, ledwie byli w stanie sobie przypomnieć, co się wydarzyło, kiedy powracali z audiencji u Sampatha. Przepęłniał ich jednak czarodziejski błogostan. Sądząc z wyglądu Sampatha, jego także przepajało podobne uczucie, tylko w znacznie większym stopniu. Policzki wypełniały mu się z dnia na dzień; napięty, znękany wyraz twarzy ustępował ukontentowaniu, odbijając łagodny ruch dni i nocy, wstających i zapadających wokół niego, a w oczach przeglądał się spokój dalekich wzgórz.

IX

– Co z moim kursem maszynopisania? – zapytała Pinky ojca pewnego ranka, w niedługi czas po kazaniu na drzewie guawy, kiedy jej zdaniem stało się oczywiste, że nikt nie przejmuje się brutalnym zakłóceniem, jakie spowodowała w życiu Pinky Chawla przeprowadzka Sampatha na stok wzgórza. Parę tygodni nie stanowiło problemu, ale doszła do wniosku, że nie pociąga jej to jako rozwiązanie na stałe.

Ale pan Chawla miał co innego na głowie. W pracy udzielono mu przedłużonego urlopu ze względów rodzinnych, co oznaczało, że będzie miał dość czasu, aby się przekonać, czy jego sekretne plany odnośnie do Sampatha – a w gruncie rzeczy całej rodziny – dadzą się wprowadzić w życie.

– Po co to komu? – odpowiedział córce niezbyt przytomnie. – To naprawdę głupota robić kurs z czegoś tak banalnego.

Było to z jego strony strasznie nie fair, gdyż sam pouczał ją nie tak dawno temu: „To bardzo ważne, żeby młoda dziewczyna umiała coś pożytecznego, a nie tylko siedziała w domu i wychodziła za męża. To są nowoczesne Indie. Powinnaś zrobić kurs maszynopisania”.

Pinky nie interesowało pisanie na maszynie i zdecydowanie nie miała ochoty robić niczego pożytecznego w nowoczesnych Indiach, ale zdawała sobie sprawę z konieczności pojawiania się codziennie na bazarze. Jeżeli tego nie robisz, twoja pozycja w hierarchii rzeczy czy wręcz twoja tożsamość w kręgach społecznych zostaje całkowicie zatarta. Teraz, skazana na wyjazd raz w tygodniu, aby zrobić zakupy, wstąpić do banku, na pocztę i w parę innych miejsc, które wymagają udania się do miasta, zdała sobie sprawę, że będzie musiała wykorzystać do maksimum te mizerne możliwości, i wyprawy owe stały się kulminacyjnym punktem jej egzystencji w sadzie.

„Czy włożyć to? – mruzczała do siebie przed wyjazdem. – Nie, raczej tamto. Nie, kolor jest zły. Za ciemny dla młodej dziewczyny. O tak, kolor jest niedobry”. Cały tydzień, poprzedzający wyjazd do miasta, spędzała na ustalaniu, w co się ubrać, i rozpoczynała szykowanie stroju na następną wizytę, gdy tylko wróciła z przystanku autobusowego – nosząc się z igłą i nićmi, mydłem do prania i krochmalem. Wiedziała, że jest poszkodowana,

mając matkę, z którą nie można wybrać się do sklepu po ciuchy, z którą nie można się naradzić, co włożyć na jaką okazję i która błyskotka pasuje do której pary złotych pantofelków. Gusta Ammadzi były z ubiegłego stulecia, a na pomoc ojca i Sampatha również nie mogła liczyć. W swoich staraniach, by utrzymać pozycję w bazarowej społeczności, była zupełnie osamotniona. Wybrany strój był prany i rozwieszany do wyschnięcia na krzewach lantanowych, a następnie umieszczany na noc pod metalową beczką, aby rozprostować jak największą ilość zmarszczek.

Kiedy Pinky pojawiała się w przepychu owoców swojego trudu, wyglądała, jak gdyby miała zaraz wystąpić w pokazie mody. Przejrzyste fałdy dupatta powiewały za nią na tle krajobrazu, a wokół twarzy, upudrowanej na biało i różowo, lśniły i migotały wielkie ilości sztucznej biżuterii. Naprawdę, było to zupełnie nieodpowiednie na targ. Co więcej, nabrała szczególnego zwyczaju upierania się, że ktoś za nią szedł. Wystarczyło, żeby jakiś przechodzień musnął ją wzrokiem lub zerknął na nią, gdy szła ulicą, i Pinky ogłaszała po powrocie:

– Przez całą drogę do domu szedł za mną mężczyzna, gapiąc się na mnie wytrzeszczonymi oczami.

Pan Chawla obawiał się, że Pinky zaczyna z lekka głupieć, przebywając tak daleko od Szahkot. Niewątpliwie, gdy ktoś poświęca tyle starań sprawom wyglądu i stroju, oczekuje dramatycznej reakcji, którą zmuszony jest sobie wydumać, jeżeli sama się nie nadarzy. Czuł, że to bardzo niebezpieczna sprawa, którą należy stłumić w zarodku.

– Najpierw się stroisz, jakbyś zamierzała brać udział w wyborach miss Indii, a potem narzekasz, że ludzie się na ciebie gapią. Oczywiście, że będą się gapić, kiedy robisz z siebie takie widowisko. Ale co do chodzenia za tobą, to się uległo w twojej własnej głowie. Wystrojona w ten sposób i taka spięta! Jeśli komuś zdarzy się zakaszleć, jesteś przekonana, że chodził za tobą przez cały ranek. – Ojciec zażądał stanowczo, aby Pinky jeździła w przyszłości na bazar, ubrana w zwykłą bawełnę, bez złotych ozdób i jaskrawych kwiatów, z twarzą tak wypucowaną i czystą – czyli, innymi słowy, tak brzydką i nijaką – jak tylko się da.

– Reagujesz przesadnie – powiedziała Pinky. Jak, u licha, miała się pokazać w publicznym miejscu, wyglądając tak obskurnie! Jak on śmiał narzucać jej ograniczenia w sprawach mody? Była bliska ataku hysterii, ale się opanowała. – Być może – wycofała się, rozpaczliwie usiłując zachować twarz – być może tak naprawdę nikt za mną nie szedł.

Ale ojciec, zdecydowany dać jej lekcję umiaru i zdrowego rozsądku, obstawał przy swoich żądaniach, aby ubierała się skromnie. Ogłosił, że zainauguruje ten nowy styl, towarzysząc do miasta babci, która jechała kupić sobie sztuczną szczękę, gdyż ostatnio uznała, że jej życie jest bez niej niekompletne.

– Popatrz na tę starą Szantidzi – powiedziała. – Ona nie ma trudności z jedzeniem. Jej rodzina dba o nią należycie. Co roku kupują jej nową protezę. Jak powiedziałam, troszczą się o nią należycie. Czy widziałeś, jak strzaskała tę kość i połknęła kabaczka? Oczywiście, ja nie miałam żadnej... Cóż, ma szczęście, że jej rodzina tak o nią dba.

Jeżeli będzie czynić tego rodzaju aluzje, myślała Ammadzi, z pewnością w końcu dostanie to, czego pragnie. Sugestia nie powinna być bezpośrednia, to prawda, ale równocześnie musi być jasna, inaczej przejdzie niezauważona, a takie aluzje są bezużyteczne.

– Jeżeli chcesz protezę, dostaniesz protezę – powiedział pan Chawla, aby zamknąć matce usta. Czy rodzina odczepi się kiedyś od niego, aby mógł w spokoju zaplanować i ułożyć ich przyszłość? Gdyby to zależało od nich, nowe możliwości, związane ze sławą Sampatha pozostałyby na zawsze nieudostępnione i nie wykorzystane. Jednak niewątpliwie prawdą było, że pragnął dla swojej rodziny wszelkiego rodzaju udogodnień. – Starsi ludzie nie muszą się już męczyć – powiedział uroczyście, jak gdyby ten substytut zębów był jego własnym wynalazkiem.

Bliska płaczu z powodu swojego beznadziejnego wyglądu, Pinky człapała za babką na przystanek autobusowy. W przeciwieństwie do wnuczki, Ammadzi była w świetnym humorze. Powietrze za miastem było chłodne i czyste, i przypomniało jej dzieciństwo. Jej wnuk, jak się okazało, odniósł ogromny sukces, dokładnie tak, jak się zawsze spodziewała. A ona jechała, żeby kupić sobie sztuczną szczękę.

– Kiedy już kupimy tę protezę – powiedziała wspaniałomyślnie do Pinky – możemy pójść do kina na „Love Story '85”. – Z pewnością dobry film poprawi jej humor. Ciężko było wysiedzieć w autobusie z kimś tak kwaśno usposobionym i niechętnym do rozmowy. Naprawdę, myślała w duchu, Pinky jest zbyt zawzięta. Jeżeli nie przeprowadzi sprawy po swojej myśli, dąsa się, aż wszystkich naokoło wpędzi w równie podły nastrój. Kłopot w tym, że, nie mogąc znieść tych dąsów, ludzie w końcu ustępują takim osobom i wszelkiego rodzaju prezenty i przyjemności im właśnie się dostają. To ludzie pogodnego usposobienia doznają utrapień na tym świecie. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Wystarczy spojrzeć, chociażby, jak ona sama była ignorowana w sprawie protezy, przez całe miesiące –

nie, wręcz lata – cierpiąc dotkliwy brak i niewygodę. Ale ona, rzecz jasna, nie należy do osób, które stroją fochy i narzekają.

Modląc się, aby nie spostrzegł jej ktoś ze znajomych lub jakieś dziewczęta z politechniki, Pinky ciągnęła Ammadži przez ciemny labirynt brudnych bocznych uliczek, upierając się, żeby wejść na teren głównego bazaru od tyłu, gdzie możliwie najmniej osób mogłoby je zobaczyć. Jej nerwy były napięte, oczy czujnie wypatrywały potencjalnego zagrożenia – mającego postać jakiejś modnej, fikuśnej broszki u znajomej, która nie zasługiwała na to, by oglądać upokorzenie Pinky.

Przed kobietą, sprzedającą sztuczne szczęki, usadowioną pomiędzy handlarką ryb i sprzedawczynią plastikowych wiader, rozłożony był cały wachlarz wszelkiego rodzaju protez. Ignorując zapach ryb, Ammadži przykucnęła na macie i przymierzała wszystkie po kolei. Jedne za małe. inne za duże... Ostatecznie znalazła się jedna, która wydawała się jako tako pasować.

– Tak, tak – powiedziała sprzedawczyni. – Lepiej, kiedy jest trochę za luźna, niż trochę za ciasna.

Ammadži włożyła nowy nabytek, przesuwając wargami po obcym plastiku, kłapiąc z aprobatą dwoma rzędami nowych zębów.

Dopiero później, jak się okazało, stały się one przyczyną niefortunnego zdarzenia.

Gdy wyszły z kina, Pinky czuła się nieco ułagodzona oglądanymi przed chwilą, ekscytującymi scenami z udziałem pary bohaterów, pośród piętrzących się trudności, budzących lęk i grozę. Ta „Love Story” to niezrównany film! Kiedy go wyświetlano po raz pierwszy, kolejka wila się od kasy kina aż do bram uniwersytetu, okrażała narożniki i ciągnęła się w poprzek ulic, blokując ruch. Ludzie nadali bohaterce przydomek Wystrzałowe Uda i przychodzili tłumnie wciąż od nowa, aby zobaczyć, jak baraszkuje w słynnej scenie pod wodospadem. Tam, lekceważąc życzenia rodziców, nierówność majątkową, wyznanie i przynależność kastową, śpiewała wśród wodnej kurzawy ze swym ukochanym, któremu dorównywała jedynie szczerością uczucia i dobrą prezencją. Nie ma to jak suty dramat, który sprawia, że w twoich żyłach krew znów krąży, mocna i czerwona. Ammadži i Pinky wyszły podbudowane w późne popołudnie i zatrzymały się przed furgonetką Super Smak Lody dla Ochłody, aby kupić sobie po porcji lodów.

I właśnie w tym momencie Pinky spostrzegła kinową małpę. Małpę, która od tak dawna naprzykrzała się mieszkańcom miasta o tutki z fistaszkami. Była tutaj, sadziła w ich stronę wielkimi susami. Hai Rama, jak, na Boga, mogły o tym zapomnieć? Przyjść do kina bez silnej i sprawnej obstawy? To się musiało tak skończyć. Małpison był coraz bliżej, pewny siebie, bez najmniejszych oznak zaleknienia. Każdy ludzki złodziej czułby się trochę niezręcznie, rabując tak w biały dzień. Brązowe oczy małpy były zimne i okrutne, nabiegłe krwią i zdecydowanie w nich utkwione. W nagłym przypiływie paniki, czując, że jej serce osuwa się w czarną nicość, Pinky krzyknęła:

– Uciekaj, uciekaj, uciekaj! Uciekaj, Ammadzi! Rzuć lody i uciekaj!

Ale Ammadzi, której chłopiec z Super Smaku wręczył właśnie przyjemny, czekoladowy rożek, uciekła z lodami – zresztą nie miało to żadnego znaczenia, bo małpa zignorowała ją i pobiegła za Pinky, chociaż dziewczyna w ogóle nie miała przy sobie nic do jedzenia. Chwyliła ją za dupatt i trzymała mocno, gdy ta, piszcząc jak lokomotywa, gnała bazarową ulicą, a za nią szarmancki Super Smak, którego ich rozpaczliwe krzyki wytrąciły ze stanu zwykłego spokoju. Bądź co bądź nie można powiedzieć, żeby się nie umiał się zachować w takich sytuacjach. On też był w kinie stałym bywalcem.

W tym momencie, z niewyjaśnionych przyczyn – z powodów wiadomych tylko jej samej, Ammadzi postanowiła, pośród całego tego zamieszania, gonitwy i tumanów kurzu, odgryźć kęs swojego lodowego rożka. Proteza, obluzowana tym gwałtownym ruchem, wypadła jej z ust. Wbita w lody, szczyrzyła się teraz do Ammadzi w makabrycznym uśmiechu, niczym rysunek z upiornej kreskówki: kościotrupie zęby, przedrzeźniające ją ze stosu czekolady – afront dla jej podeszłego wieku.

Przerażona Ammadzi rzuciła lody i małpison, biorąc je za swoje ulubione orzeszki w papierowej tutce, chwycił obciążony protezą rożek i pognał w stronę drzewa.

– Hej, ty garbaty złodzieju! – zawołała Ammadzi ze złością, zawracając i goniąc z krzykiem za małpą. – Oddaj to! Nic ci po tym, ty durny ośle.

– Durna małpo, madzi – powiedział Super Smak, stając w pół drogi, zdumiony, że można pomylić tak zdecydowanie różne zwierzęta. – To małpa, nie osioł.

– Ośla małpa! – krzyknęła Ammadzi. – Nie stój tak! Leć za nim!

Przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach, chłopiec z Super Smaku ruszył za zwierzakiem, krzycząc, wrzeszcząc i wymachując dwoma kijami tak groźnie, że okropna małpa, zdeglustowana, iż nie znalazła orzeszków, i cokolwiek onieśmielona, rzuciła rożek, przebiegła po dachach sklepów i znikła. Chłopiec z Super Smaku wyciągnął protezę z topniejącej kałuży czekolady i podał ją Ammadzi, balansując nią ostrożnie na końcu kija.

Pinky nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w swoim życiu była tak śmiertelnie przerażona. Stała oto, wyglądając niczym zmiataczka ulic, gdy tymczasem sztuczna szczeka jej babki była demonstrowana publicznie, najpierw na lodowym rożku, unoszona przez małpę, potem dyndając upokarzająco na końcu kija. Co za widowisko z siebie zrobiły! Tłum kibiców zebrał się, aby przyglądać się zabawie. Ale chłopiec z Super Smaku potraktował całą sprawę z taką nonszalancją, że Pinky zrobiło się słabo z wdzięczności.

– Proszę bardzo – powiedział wesoło i potrząsnął patykiem. – Chyba mieliśmy dzisiaj dosyć gimnastyki na cały tydzień, co? – Uśmiechnął się miło, błyskając białą zębów, po czym odwrócił się i skłonił zgromadzonym, którzy okrzykami wyrażali swoje uznanie. – Jasne, że jak ta małpa cię zobaczyła – powiedział, odwracając się do Pinky – to musiała za tobą polecieć. Pewnie pomyślała sobie, że jesteś jej dawno nie widzianą krewną. – Roześmiał się, zadowolony ze swojego dowcipu, mrugając do Pinky na znak, że nie należy brać tej uwagi na serio. I – któż potrafi wytłumaczyć takie sprawy? – Pinky, która widywała w swoim życiu chłopca z Super Smaku co tydzień, kupując u niego lody niemal przy każdej wyprawie na targ i nic sobie z tego nie robiąc, poczuła, że po raz drugi tego dnia jej serce osuwa się, niczym z urwiska – bum! – w ogromną, pustą przestrzeń.

Ten chłopiec z Super Smaku był dobry. Nie czuł się ani odrobinę zakłopotany. Nie był też brzydki, bynajmniej. Włosy mu się kręciły, a nos miał ujmujący garbek, pasujący do lekko wygiętych ust. Pomyśleć, że widywała go tak często, pięknie ubrana, i ledwie go zauważała... a dzisiaj stała oto, wpatrując się w niego ze świeżym zainteresowaniem, ubrana w stary, biały, dwuczęściowy salwar, źle skrojony i wypłowiały, bez kolczyka w nosie, bez pierścionka na palcu u nogi, w pantofelkach bez szlaczka czy pomponu, bez makijażu, który nadawał jej oczom ognisty wyraz... Świadoma swojego obskurnego wyglądu, nie była nawet w stanie oddać mu uśmiechu; w gruncie rzeczy wszystko, na co ją było stać, to powstrzymanie się od wybuchnięcia płaczem.

I wybuchnęła płaczem, gdy tylko znalazła się w domu. Wylewała łyzy złości, że wyglądała tak szaro, że wszystko to wina jej rodziny; płakała długo i głośno... Ach, myślała, ten straszny, straszny ojciec, który wysłał ją jak służącą, gdy inni ojcowie dokładają wszelkich starań, aby zapewnić swoim córkom zadbane wygląd i odpowiedni strój. Ta okropna babcia, która jeszcze dołożyła się do tego upokorzenia. Ta okropna, okropna rodzina, która niewątpliwie pogrzebie na zawsze jej szansę na miłość.

Ach, i znów myślała o chłopcu z Super Smaku, który, gdyby wyglądała normalnie, mógł odegrać w jej życiu rolę daleko wykraczającą poza wymiary zwykłych lodów.

Zawodziła i zawodziła, wydając dźwięki tak przeszywające i żałobne, że dotarły one przez listowie aż do Sampatha, któremu włosy stanęły dęba na głowie. Na dole Ammadzi otworzyła usta w szczególnie głośnym ziewnięciu, tylko po to, aby znów zgubić sztuczną szczękę – tym razem w garnku ze strawą.

– O co ty płaczesz? – dopytywała się z troską, łowiąc protezę, która nurkowała w sosie curry, zyskując nieoczekiwane i trwałe żółte zabarwienie. Wyciągnęła ją łyżką i wetknęła z powrotem do ust. – Czyż nie był to bardzo udany dzień?

W odpowiedzi Pinky znów zakwiliła.

– Oooo, ooo, ooch – płakała rozpaczliwie.

Może płacze po prostu nad smutkiem świata, pomyślała Ammadzi.

– Popatrz na moje zęby. – I próbując ją rozweselić, pokazała Pinky swój niesamowity, żółty uśmiech.

Oślupiała na widok jaskrawej żółci, Pinky ucichła na chwilę.

– Co tam, jakie to ma znaczenie w moim wieku? – powiedziała Ammadzi, zadowolona z reakcji wnuczki. Wysysała ze swoich zębów smak kolacji. – Żółte zęby, niebieskie zęby, czarne zęby – wszystkie są lepsze niż żadne, prawda?

Ale Pinky, widząc, że Ammadzi usiłuje odwrócić jej uwagę od łez, znów zaczęła szlochać zapamiętale.

– Ooo, hooo, hoo – ryczała.

X

Nim miesiąc upłynął, pan Chawla urządził swoją rodzinę w sadzie, zapewniając im wszelkiego rodzaju udogodnienia. Koniec końców, zmuszeni zostali do przeprowadzki na wieś, a nie przywykli obywateli się bez miejskich wygód – i dlaczego mieliby być do tego zmuszeni? Światło uzyskał dzięki podłączeniu do szpitalnej linii elektrycznej, korzystając z pomocy elektryka, który przeprowadził płatanię kabli bezpośrednio od słupów wysokiego napięcia do sadu. Dzięki znakomitej jakości szpitalnych dostaw prądu oszczędzone im zostały wszystkie przerwy i wahania napięcia, które nękały resztę miasta. Pokierował również całą watahą stałych bywalców sadu, którzy położyli sieć rur wodociągowych, pociągnawszy je od stosownego otworu, uczynionego pewnej ciemnej nocy w prywatnym zbiorniku na wodę. Takie dobra jak zapalki, nafta, świece i mydło otrzymywali regularnie dzięki szczególnym względom, gdyż znajdowali się w odległości, znacznie przekraczającej zasięg realizowanych zazwyczaj dostaw. Z tych osiągnięć pan Chawla był szczególnie dumny.

Woda tryskała do zbiornika przez cały dzień. Wieczorami sznur kolorowych lampek ozdabiał ścieżki w sadzie, dramatycznie podświetlając korony drzew i rzucając łagodne światło na rodzinę, zażywającą przed stróżówką relaksu na swoich plecionych łózkach. Pomieszczenie to miało teraz porządny dach z blachy falistej w miejsce zwykłej strzechy, a w środku telewizor i blaszany kufer, pełen ciepłych kołder i koców. Być może wkrótce pan Chawla będzie w stanie postawić przybudówkę z kuchnią i łazienką. Kupić lodówkę i skuter. To prawda, Sampath nie przysporzył im posagu, ale pan Chawla nie należał do tych, co siedzą i narzekają.

– Każdy może zrobić coś z niczego – zaintonował, stojąc pod drzewem, gdyż lubił wyobrażać sobie, że Sampath wciąż ceni go i uczy się od swojego starego ojca. – Jeżeli przyłożysz się wystarczająco solidnie, zawsze coś z tego wyniknie. Sam wiesz jak...

– ...garncarz robi garnek z grudy błota. Malarz maluje używając wielbłądziego moczu. Żebrak wyciąga pustą rękę – powiedział Sampath, kończąc bez zająknięcia zdanie. Pan Chawla był nieco zaskoczony tupetem syna, ale powtórzył swoją maksymę:

– Rzecz w tym, aby radzić sobie za pomocą tego, co się ma, nawet jeżeli nie ma się nic.

Ale czy to było nic? Podniósł wzrok na Sampatha, spojrzał mu w twarz, pomyślał o swoich słowach i poczuł się trochę nieswojo...

W jakiś czas potem nie przypatrywał się już i nie przysłuchiwał zbyt uważnie. Wynajął stary dom w Szahkot sekretarce z firmy produkującej sztuczne nawozy. Otworzył nowe konto w banku i zwrócił się do okolicznych przedsiębiorców, którzy mogli być zainteresowani reklamą na terenie sadu, co nie tylko zapewniłoby im szeroki zbytni towarów, ale również nadałoby ich produktom higieniczny poblask nieskazitelnej czystości. I zaczął myśleć o akcjach i udziałach. Akcje i udziały to dobry pomysł, bo nie mają w sobie nic z ostentacji, a pan Chawla zdał sobie sprawę, widząc, z jakim respektem przybysze odnoszą się do surowego stylu życia Sampatha, że trzeba zachować staranną równowagę między wstrzemięźliwym wyglądem i rzeczywistym komfortem.

Może rodzina powinna się obejść się bez lodówki i skutera? A nawet bez ogłoszeń? O, nie! Być może rachunek bankowy powinien zostać otwarty w imieniu specjalnej fundacji na rzecz budowy świątyni? W ten sposób uwaga skierowana zostanie na sprawy religijne i dotacje zaczną napływać. Co nie znaczy, że zamierzał defraudować lub kraść. Zbudują świątynię. Wtedy będzie jeszcze więcej dotacji. Jego myśl przeskakiwała w nieskończoność od jednego urzekającego planu do drugiego.

Obcinał kupony od motorowych riksów i autobusów, parkujących na terenie sadu, a kierowcy chętnie się do tego stosowali, gdyż sami robili znakomite interesy, pobierając stałą opłatę za przewóz z bazaru do sadu i z powrotem. Nawet autobusy, pędzące z hukiem po autostradach do bardziej odległych miejsc przeznaczenia, zaczęły regularnie zbaczać z trasy, aby pasażerowie mogli zobaczyć słynnego babę w jego nadrzewnej pustelni, słodycz jego uśmiechu, spokój jego nieobecnego spojrzenia.

Ścieżka prowadząca do drzewa Sampatha została poszerzona, była utrzymywana w czystości i spryskiwana wodą różaną, do pnia drzewa przystawiono małą drabinę, aby ci, którzy chcieliby poprosić o błogosławieństwo (a wszyscy chcieli, rzecz jasna), mogli się dostać do miejsca, gdzie zwisały nogi Sampatha. Opierając sobie z szacunkiem palce jego stóp na głowie, otrzymywali błogosławieństwo i schodzili na dół zadowoleni i dumni z siebie.

Dokonano też innych posunięć. Ammadzi powierzono samodzielną obsługę herbaciarni polowej, działającej po kawałkiem płóciennego daszku, przytwierdzonego do czterech palików, dzięki czemu mogła spędzać czas, gawędząc ile dusza zapagnie z gośćmi, zamawiającymi

jakieś przekąski, campa colę lub nawet lekki posiłek, aby dopełnić przyjemności całej wyprawy.

W pobliżu herbaciarni pan Chawla prowadził niewielki stragan na kółkach. Tutaj, mając równocześnie oko na wszystko inne, sprzedawał girlandy kwiatów, owoce i kadzidło tym, którzy mieli ochotę ofiarować Sampathowi jakiś upominek. Był to bardzo przyjemny system, bo chociaż musiał kupować produkty na bazarze, otrzymywał spory upust (był w końcu ojcem pustelnika z Szahkot). Sprzedawał te artykuły ze znacznym zyskiem, a następnie, w ramach kolejnego fortunnego manewru finansowego, rodzina odzyskiwała pod koniec dnia wiele z orzechów kokosowych i słodczy, złożonych pod drzewem Sampatha, układając je z powrotem na wózku, aby nazajutrz ponownie je sprzedać.

Sampath spojrział z góry na swoich czarujących gości.

– Dlaczego jest tak wiele opinii na temat natury Boga? – spytał zamaskowany szpieg ze Stowarzyszenia Ateistów (SA), członek Oddziału do spraw Ujawniania Oszukańczych Świętych Mężów (OUOSM). – Jedni mówią, że ma jakąś postać. Inni, że jest bezpostaciowy. Skąd tyle kontrowersji?

– Inspektor z miasta odbywa podróż, aby zobaczyć rzekę – odpowiedział nie podejrzewający niczego Sampath – ale dociera tam akurat w porze monsunu. Wraca do domu i mówi, że rzeka to gigantyczna płachta wody z ogromnymi falami. Wiele miesięcy później jego ciocia odbywa tę samą podróż. Wraca do domu i mówi: „Przykro mi, ale mój siostrzeniec jest lekkim idiotą. Ta rzeka to zaledwie brudny, płytki ściek”. W pełni lata sąsiad odbywa tę samą drogę i mówi: „Ta cała rodzina jest niezbyt inteligentna. Rzeka to nic więcej, tylko szmat wyschniętego błota”.

– Czy ktokolwiek jest w stanie pojąć to wszystko, co odnosi się do Boga?

– Kiedy stłuczesz butelkę, nie sposób już rozróżnić powietrza na zewnątrz i wewnątrz niej.

– Baba, czy mógłbyś skomentować problem niepokojów religijnych w naszym kraju?

– Czy nie słyszeliście, jak teściowa krzyczy na swoją synową: „Czy tak się przyrzadza dal?” Uważa oczywiście, że jej sposób jest najlepszy. Ale na północy, na południu, na wschodzie, czy na zachodzie, każdy je

soczewicę pod jakąś postacią i każdy korzysta z dobrodziejstw jej wartości odżywczych.

– Próbuje zainteresować moje dzieci sprawami duchowymi, ale są na to głuche.

– Nie ma śladu owocu, kiedy kupuje się sadzonkę. Nie ma arbuza, jeśli nie jest to sezon na arbuzy. Zanim się go rozetnie, zawsze trzeba postukać z boku, przykładając ucho do łupiny. W ten sposób można się upewnić, czy jest całkowicie dojrzały.

Szpieg robił notatki w szkolnym zeszycie i skrobał się w powątpiewaniem po głowie. Była to jego pierwsza poważna misja, odkąd wstąpił do stowarzyszenia, które szczyliło się takimi znakomitymi członkami, jak człowiek, który ujawnił mechanizm, dzięki któremu prosperował guru „od porażen elektrycznych”, kobieta, która zdemaskowała fuszerkę „eksplodującej ubikacji”, urzędnik, który ukrył się w kadzi ze słodzonym twarogiem i podsłuchiwał rozmowę, która doprowadziła do oskarżenia „guru od bmw” o wszystko, co możliwe, poczynając od prania brudnych pieniędzy, a kończąc na morderstwie przez otrucie. Szczęśliwy traf, trzeba przyznać, że urzędnik nie skosztował tego twarogu.

Szpieg również zdecydowany był stać się znakomitością. Czuł się samotny w Szahkot, jego wioska była daleko stąd, a nie był jak dotąd żonaty. Nie cierpiał swojej pracy nauczyciela w szkole publicznej, nie cierpiał chłopców, którzy rysowali w zeszytach jego niepochlebne podobizny i wykrzywiali się za jego plecami. Często dawał im zadania pisemne i uciekał do pokoju nauczycielskiego, gdzie siedział, patrząc w okno i paląc papierosy. Pewnego dnia pokaże całemu światu; wzniesie się ponad naznaczone ubóstwem dzieciństwo, ponad norę, w której wychował się wraz z jedenastoma braćmi i siostrami, z pijanym, znarkotyzowanym ojcem i zniszczoną matką. Pewnego dnia świat zwróci wreszcie na niego uwagę. Uznanie. Wyróżnienia. Reportaże w gazetach. Wystawi twarz na światło dzienne i, zachowując powściągliwość wśród pochlebstw, będzie wygłaszał w telewizji, biegle i z powagą intelektualisty, swoje opinie na różne tematy, „Cóż, proszę państwa, wyzwolenie, według mnie, leży w uwolnieniu się z jarzma tanich przesądów. Sprawa nie jest prosta, państwo rozumieją, gdyż uwikłana jest w problemy historyczne – problem biedy i analfabetyzmu”. Tak, jego życie było ciężkie. Ale przezwycięży to.

– Co mam robić, proszę pana? – zdobył się jeszcze raz na odwagę. – Nie wiem, jaką drogę wybrać. Nie wiem, jakie pytania zadawać. Tak naprawdę nie wiem nawet, czego chcę.

– Dziecko płacze za mlekiem matki, prawda?

– Nie rozumiem.

– Pisklę woła o owada.

– Ale, proszę pana... mleko i owady?

– Matka wie, czego jej dziecko chce, i rozpoznaje swoje dziecko po odgłosach, jakie wydaje. Tak więc postąpi pan właściwie, jeśli przestanie pan zadawać pytania i będzie czekać, aż pańska matka przyjdzie do pana. Proszę być cierpliwym.

– Ale – nalegał – ale, proszę pana.

Sampath poczuł szum w głowie. Dlaczego u licha ten człowiek jest taki irytujący? Spojrzał na liściaste wąwozy wokół siebie, po czym utkwił markotne spojrzenie w przestrzeni.

Szpieg ze Stowarzyszenia Ateistów wyglądał na nieco bardziej zadowolonego. Najwyraźniej Sampath nie radził sobie z odpowiedziami na jego sprytne pytania i próbował się od nich uchylać. Ukrył się za drzewem i poczynił dalsze ściśle tajne notatki w swoim szkolnym zeszycie. „Unika pytań pod pozorem oderwania od rzeczywistości. Nie jest w stanie dyskutować na głębsze tematy filozoficzne”.

Pod drzewem zapadło namaszczone milczenie, aż Ammadzi zaczęła przeszkadzać tak wielka i tak dzwoniąca cisza.

– Ach – powiedziała. – Czasem jego umysł opuszcza ziemski wymiar. Nie czujcie się urażeni.

Nikomu nie przyszło do głowy czuć się urażonym.

– Widziałam osobiście wielu takich świętych mężów – powiedziała Lakszmidzi. – Czasami są zupełnie nieruchomi. Nic nie jest w stanie ich poruszyć. Są jak ptaki, siedzące na jajkach. Czasami znów są figlarni, śmieją się, skaczą i tańczą. Naprawdę, potrafią być jak dzieci lub jak szaleńcy. Innym razem wracają w wymiar świadomości, aby udzielać nauk i dzielić się swoją mądrością.

– Tak, to jest twarz vijnani, nie zwykła fizjonomia. Popatrzcie, tylko popatrzcie na jego twarz.

– Normalna, zwyczajna twarz Sampatha. – Pinky słuchała, nie wierząc własnym uszom.

– Ach – wtrąciła się z lubością Ammadzi, zwijając liść betelu – on się urodził ze skłonnościami do życia duchowego. Wszyscy mówili, że jest

może trochę szalony, może trochę naiwny, a wszystko to brało się stąd, że świat materialny nigdy nie był go w stanie zainteresować. Raz dałam mu pięć rupii, żeby zapłacił mleczarzowi, i następną rzeczą, jaką usłyszałam, był krzyk mleczarza: „Hej, dzi, zobacz, co twój wnuk zrobił”. Tego dnia był silny wiatr i kiedy mleczarz odmierzał mleko, Sampath zrobił sobie łódkę z banknotu i puszczał ją na bańce z mlekiem. A jeśli chodzi o szkołę, ajaj, co też myśmy przeżyli! Przez cały czas: niedostateczny z hindi, niedostateczny z sanskrytu, niedostateczny z matematyki, niedostateczny z historii. Nigdy nie mógł się skoncentrować na nauce.

– Ach, komuś takiemu jak on trudno skupić uwagę na takich banalnych i przyziemnych sprawach. Wyjrzy przez okno i wszędzie wokół będzie widział chwałę bożą.

– To prawda – powiedziała Ammadzi. – Nie sposób opowiedzieć, cośmy przeżyli. To bardzo ciężka sprawa dla rodziny. Błagaliśmy go: „Proszę, poucz się trochę, chociaż na dostateczny, nie oczekujemy żadnych cudów”. Ale on nadal siedział godzinami tak jak przedtem, patrząc na kwiat, gapiąc się w niebo...

– Słyszałem o sadhu z Riszikesz – powiedział nauczyciel, który przyjechał aż z Chittagong – który codziennie wychodził przed swój domek, patrzył na upalną wiosnę i medytował. Nie praktykował żadnych umartwień ani studiów. Zwyczajny widok upalnej wiosny wprowadzał go w samadhi.

– Och, a jakie straszne problemy mieliśmy na poczcie! – Panna Jyotsna, która stała się tu regularnym gościem, rada była przyznać się do zażyłości z Sampathem w latach kształtowania jego osobowości. – Czasami próbował, ale wszyscy mówili, żeby lepiej nic nie robił. Lepiej, żeby zrobił to ktoś z nas, bo będzie taki galimatias, że już nikt się w tym nie połapie.

– A jaką śliczną dziewczynę mu wyszukaliśmy – powiedziała Ammadzi, rozpędzając się coraz bardziej. – Ale nie, w ogóle nie chciał mieć z nią do czynienia...

– Jaki pożytek może mieć pustelnik z kobiet? Dla kogoś takiego to ujma nawet sugerować małżeństwo.

Wszyscy skinęli na to potakująco głowami. W tej chwili oni również chcieliby tak siedzieć, czyści i niewinni, w takim miłym otoczeniu jak to, bez swoich mężów, żon i rozgałęzionych rodzin. Jak pięknie wyglądały stąd podnóża Himalajów! Motyle trzepotały na tle krajobrazu, sroki i muchołówki fruwały z drzewa na drzewo, jaszczurki grzały się w słońcu na

dachu stróżówki, ześlizgując się na dół, otępiało w ciepłe popołudnia, wietrzyk szeleścił pośród liści. Tu i ówdzie porozrzucane były kępki dzikich kwiatów – kwiatów o barwie i zapachu owoców, kwiatów o rozdziawionych pyszczkach i językach, których pyłek znaczył przechodzących wyznawców w tygrysie pasy, kwiatów machających pręcikami, potrząsających pylnikami i wysyłających w powietrze takie zapachy, że nikt nie mógł się powstrzymać, aby nie zniżyć nosa ku ich wonnych płatkom.

Cicho, ale pewnym, miłym głosem, panna Jyotsna zaczęła śpiewać:

Słysząc kroki, ale nikt nie wchodzi do mojego domu.

Słysząc muzykę pośród drzew, chociaż nie ma wiatru.

Na wszystkich moich rzeczach są odciski palców,

Ale nie należą do nikogo w tym domu!

O Panie,

Ta zabawa w chowanego

Mogłaby zmęczyć nawet bardzo cierpliwego.

Jaka ona jest śliczna, pomyślał Sampath, spoglądając w dół. Zawsze uważał, że jest ładna. Była też słodka i miała piękny głos. Z zamkniętymi oczyma, kołysząc się z boku na bok, zdawała się całkowicie pochłonięta słowami, które płynęły z jej małych, krągłych, rubinowych ust. Przyłączył się do śpiewu, pielgrzymi włączali się też jeden po drugim. Spędzili cudowne chwile, śpiewając razem.

– Jak on mógł okpić tych wszystkich ludzi? – zastanawiał się szpieg ze Stowarzyszenia Ateistów, zerkając zza drzewa. Jaki haczyk ma na nich? Co takiego w nim jest? Wciągnął powietrze. Zapach kardamonu i goździków z jakiegoś garnka snuł się w powietrzu, sięgając gałęzi drzew. Kardamon, goździki i... co jeszcze? Znów pociągnął nosem. Zapach wnikał w jego nozdrza i pełznął aż do mózgu. Tak... zaciągnął się. Coś jeszcze... Znów zanotował coś w swoim zeszycie.

W pokoiku wielkości mysiej nory, który wynajmował w domu pełnym lokatorów, nakreślił plan dochodzenia w tej sprawie, obejmujący zbadanie przeszłości Sampatha i listę wszystkich podstawowych danych, które powinien uzyskać na temat swojego podejrzanego: gdzie sypia, z kim rozmawia, co je i pije.

Potem szpieg przypomniał sobie tajemniczy zapach, który poczuł tego dnia w sadzie, i który wciąż pozostawał na jego skórze i ubraniu.

Czy Sampath mógł być pod wpływem narkotyków?

Co się gotowało w tym garze?

Nie ulegało wątpliwości, że palił marihuanę – rosła dziko na całym wzgórzu. Ale może zażywał również opium? I kto wie, co jeszcze?

Szpieg rozmyślał długo w noc.

XI

Daleko na wzgórzu wędrowała pani, odpowiedzialna za wyżywienie Sampatha – maleńka figurka na skraju uniwersyteckiej szkółki leśnej, znikająca i pojawiająca się pomiędzy drzewami, wyłaniająca się w miejscu, gdzie las graniczył z polami uprawnymi, aby sprawdzić trzcinowe pułapki, które zastawiła na bażanty i inne dzikie ptactwo. Ptaki mieszkały w lesie, ale żerowały w zbożu i były tak tłuste i smakowite jak tylko dzikie ptaki mogą być. Gdy spostrzegła kogoś w pułapce, dopadała go i bez mrugnięcia okiem skręcała mu szyję żelaznym chwytem. Obfitość zieleni i przestrzeni napełniała ją radosnym podnieceniem. I kiedy jej syna wprawiało to w szczęsne otepienie, ją pobudzało do gorączkowych poszukiwań.

Wędrując po najdalszych zakątkach lasu, zagubiona pośród bambusowych zagajników, lasów damarowych, pośród wyniosłych, omszałych drzew, wspinała się coraz wyżej, podążając wydeptanymi przez żerujące kozy na najbardziej stromych zboczach ścieżkami, niemal zbyt wąskimi dla jej drobnych stóp.

„Strzeż się dzikich kotów – mówili napotykanii pasterze kóz, zdumieni, że widzą tak delikatną na oko, miejską kobietę, chodzącą samotnie po lesie. – Uważaj na węże, na skorpiony i pijawki*. Ale ona się tym nie przejmowała. Brodziła po błotnistych stawach, zbierając łodygi lotosu, penetrowała ptasie gniazda, rozłupywała ciasno zapieczętowane strąki, skubała trawy i paki, podkopywała korzonki, otrząsała owoce z drzew i wracała do domu z dziko rozwianym włosiem, z ubłoconymi rękoma pełnymi kwiatów, ustami poznaczonymi na niebiesko i czerwono wszystkim, czego kosztowała. Rogi jej sari były powiązane w supełki, zawierające imbirowe lilie i grzybki malaryczne, próbki nasion i kawałki kory. Czasami przynosiła kuropatkę lub leśną przepiórkę, przytroczoną do niesionego na ramieniu kija. Wracała stromą ścieżką, wiodącą na tyły stróżówki, aby uniknąć spotkań z przyjezdnymi i rozmów, dla których straciła zainteresowanie.

Na krytym blachą ganku, wybudowanym na tyłach domu, urządziła sobie polową kuchnię, która rozprzestrzeniała się na porośniętą trawą polankę. Tutaj rzędy weków dojrzewały w słońcu, niczym armia, zastygła na kamiennym murze, korzenie leżały, skurczone i powykęcane, susząc

się na plecionym łóżku, a malutkie, dzikie owoce, pogardzane przez wszystkich prócz ptaków, leżały porozcinane, ukazując swoje splamione purpurą serca. Imbir był zakopany w ziemi, aby zachował świeżość, cytryny i dynie suszyły się na dachu, najróżniejsze rzeczy fermentowały w szczelnie zapieczętowanych puszkach, papryczki chilli i liście curry zwisały z gałęzi drzew, podobnie jak bawoli twaróg, odcedzający się w płótnie, aż zrobi się z niego paneer.

Silna świeżo nabytą muskulaturą, żylasta i twarda mimo swej smukłej postaci, Kulfi siekała i ubijała, ucierała i kruszyła, cięła i szatkowała pośród chaosu składników i potraw.

„Kmin, przepiórka, ziarna gorczycy, skórka grejpfruta – mruczała do siebie podczas gotowania. – Koper włoski, kolendra, kwaśny owoc mango Mąka pandanowa, porosty i wonna kewra. Liście kolokazji, flaszo wiec, melon, kolokwinta. Korzeń wetiwery, drzewo sandałowe, szara tykwa, ziele kozieradki. Gurdlina, kwiat bananowca, pajęczy liść”.

Tworzyła potrawy tak skomplikowane, że czasem były przyrządzane ze stu składników, w chybotliwej równowadze, pośród zawilej i delikatnej osnowy przypraw – wspaniały triumf złożonej i subtelnej sztuki przyprawiania. Pojedyncze ziarenko czegoś tam, paczek czego innego, zwilżony koniec palca zanurzony lekko w małej ampułce, a potem w bulgoczącym garnku; naparstek, pudełko od zapalek, łupina orzecha kokosowego pełna ciemnej purpury, głębokiego fioletu lub pylistej, żółtej przyprawy. Cała mikstura perkotała czasami przez parę dni na węglach, które pełniły jedynie najślabszym płomykiem lub huczały jak palenisko, kiedy rozdmuchała je za pomocą palmowego liścia. Mięso było ubijane cienko jak jedwab, tak korzenne i wonne, że zmysły się mąciły, sosy były pełne dziwnych sugestii i mrocznych podtekstów, gdzie w jednej chwili stoisz na pewnym gruncie, a w następnej jesteś wciągany pod wodę. Były dania z opóźnionym zapłonem, gdzie właściwy smak eksplodował, przyprawiając o utratę tchu, dobre pół godziny po jedzeniu. Były potrawy delikatne, z nie dającym spokoju posmakiem, który naprzykrzał się, niczym wspomnienie czegoś, co kiedyś znałeś, ale czego nie jesteś w stanie uchwycić.

Marynowane limony, nadziewane kardamonem i kminkiem, nocne stworzenia, warzone na ogniu z wonnego drewna, małe rzeczne rybki pieczone w zielonych orzechach kokosowych, ryż gotowany na parze z kwiatami nasturcji w bladym wnętrzu łodygi bambusa, grzyby o żółtych i czerwonych blaszkach, pasiaste i nakrapiane. Żądza ogarniała Sampatha, gdy czekał na swój posiłek. W powietrzu kłębiły się chmury korzennych

zapachów, a cymbały szczękających garnków głosiły chwałę nadchodzącego dania, płosząc ptaki z okolicznych drzew. Kulfi podawała synowi posiłek spoglądając z niepokojem, obserwując jego twarz niczym barometr. Wznosząc pełne błogości wargi ku niebu, lub kiedy indziej spoglądając boleśnie w dół, czując, że uszy mu eksplodują, ledwie zdolny oddychać, Sampath błagał: „Jeszcze! Proszę, jeszcze trochę”. I Kulfi triumfalnie biegła po dokładkę.

– Otrujesz go – mówił pan Chawla, szczerze zatroskany, kiedy rozpoczynała wszystkie te zabiegi nad nową potrawą. Byłaby w stanie doprowadzić ich do kompletnej ruiny. – Gdyby nie dobre imię naszej rodziny, z miejsca bym cię zabrał do zakładu dla obłąkanych – mamrotał. Z upływem lat stwierdzał, że rozumie ją coraz mniej, zamiast coraz lepiej. Co się dzieje w jej głowie? – łapał się czasem na roztrząsaniu tej kwestii. Czy myśli jak ludzka istota? Dostrzegał na jej twarzy wyraz napięcia, radości, spokoju – to prawda – ale czy zdawała sobie sprawę, co czuje, czy analizowała i rozumowała?

– Nakarmiłam tym przedtem kurczaka, żeby sprawdzić, czy na pewno nie jest trujące – uspokajała go.

Kurczaki mianowano oficjalnymi degustatorami Sampatha. Gdy jeden przewrócił się do góry nogami i zdechł, czy to z przyczyn naturalnych, czy z powodu szkodliwego pożywienia, na jego miejscu uwiązywano następnego.

Tak więc Sampath był bezpieczny i mógł mieć pewność, że w kwestii jego wyżywienia nic się nie zmieni. Ile razy słyszał, że ojciec mruczy coś na temat spraw gotowania, groził, że podejmie strajk głodowy. Nigdy w życiu nie jadał tak dobrze! Był coraz pulchniejszy, co dowodziło, jak mu służą te posiłki. Z zaróżowionymi policzkami, z urazą w głosie, jakby chciano go pozbawić przyrodzonych praw, mówił:

– Każdy syn wie, że żadna kuchnia nie może się równać z kuchnią t | jego matki.

Wierni, przyglądający się temu z zazdrością, zaczęli dochodzić do wniosku, że może istnieć kuchnia, która nie da się porównać z kuchnią ich matek. Z początku nie bardzo się zastanawiali nad tym, czym Sampatha żywiono, ale w miarę jak Kulfi stawiała się coraz ambitniejsza, coraz bardziej utwierdzała się w tym, co robi, najmniejszy dolatujący powiew przyprawiał ich o szaleństwo. Dalecy od wysyłania jej do zakładu dla umysłowo chorych, krążyli łakomie wokół, usiłując zajrzeć do bulgoczących garnków, wetknąć palec w przyprawy, piętujące się na

kamiennych żarnach. Ale Kulfi przeganiała ich zawzięcie. „Nie dla was, nie dla was”, oznajmiała po królewsku, a oni cofali się przed jej rozkazującym tonem, jej pełną godności postawą, i potrząsając głowami zastanawiali się, co się z nimi dzieje. Napastować matkę pustelnika! Co też ich napadło?

– Baba, dlaczego czasem jesteśmy tacy agresywni i zachłanni, a innym razem wystarczy nam do szczęścia, kiedy możemy zwyczajnie usiąść pod twoim drzewem?

– W upalny dzień pszczoła brzęczy głośniej, w deszczowy dzień siedzi spokojnie w swoim ulu – odpowiadał Sampath.

Szpieg, chociaż zapisywał skrupulatnie wszystko, co słyszał, porzucił nadzieję na zrozumienie Sampatha. Im więcej widział, tym bardziej był przekonany, że sekret zachowania Sampatha, jego dziwacznych słów i wyskoków znaleźć można w garnku Kulfi. Bardziej zdeterminowany niż pozostali, próbował wciąż od nowa przekraść się obok niej, aby pobrać próbkę strawy do butelki, w którą się zaopatrzył.

Ale za każdym razem, jak gdyby była uprzedzona, Kulfi spostrzegła szpiega akurat na czas, aby walnąć go miotłą przez łeb. Można stracić życie od takiego „Łup!”, myślał, i patrzył spomiędzy krzaków, jak Kulfi szatkuje energicznie warzywa lub nonszalanckim uderzeniem tasaka ucina głowy kurczakom i gęsiom. Ale pomimo wszystko, im daremniejsze zdawały się jego wysiłki, tym bardziej się stawał podejrzliwy. Gdy Kulfi odwracała się plecami, nie mógł się oprzeć, aby nie spróbować jeszcze raz...

Zważywszy wszystkie problemy, jakich przysparzały posiłki Sampatha, pan Chawla zdecydował się zezwolić na odwiedziny jedynie między porą obiadu i kolacji, od wpół do pierwszej do wpół do dziewiątej wieczorem.

Przy ograniczonym dostępie popularność Sampatha i jego sława pustelnika rosła. Jednak triku z ograniczonym dostępem nie dało się zastosować, kiedy pojawiły się małpy.

XII

– Patrz! – wrzasnęła Pinky któregoś dnia, wkrótce po wprowadzeniu godzin odwiedzin. – To jest dokładnie ta sama małpa, która nas goniła na bazarze.

– Patrz – zarechotał Sampath ze swojego pierwszorzędnego stanowiska obserwacyjnego. – Cała zgraja!

– Ta małpa mnie prześladuje – zapiszczała Pinky. – Gdzie tylko się ruszę, idzie za mną. – Odwróciła się, piorunując brata wzrokiem.

– Co cię tak raduje w tym widoku?

Jak mógł nie być uradowany? Cała gromada ciekawskich czarnych twarzy o srebrnych grzywkach przypatrywała mu się wdzięcznie spomiędzy liści sąsiedniego drzewa.

– Ile razy mam ci powtarzać, Pinky, że nikt za tobą nie chodzi – powiedział po raz kolejny pan Chawła.

Ale co on wiedział o paskudnym charakterze tych małp?

– Poczekaj tylko, a zobaczysz – mruknęła Ammadzi, błyskając ostrzegawczo upiorną żółcią spomiędzy warg. – Będą kłopoty. Można to wyczytać w ich twarzach.

Kulfi oblepiła ptaka wilgotną gliną i ułożyła go w ognisku, aby się upiekł. Powietrze napełniło się dymem.

– Poczekajcie, a zobaczycie – powtórzyła Ammadzi złowieszczo.

I nie minęło wiele czasu, a banda z Szahkot pod przewodnictwem małpiszona spod kina, zaczęła regularnie odwiedzać pola i lasy otaczające sad. Małpy rzadko odważały się opuszczać miasto i ludzie zachodzili w głowę, dlaczego wyprawiły się na to wzgórze – czy również do małpiej społeczności dotarła nowina o Sampathu i zorganizowały wycieczkę?

Początkowo małpy spoglądały na Sampatha – dziwnego przedstawiciela innego, siedzącego gatunku, którego zastały na swoim zazwyczaj terytorium – z pewnym onieśmieleniem, zachowując oględny dystans, szczerząc swoje groteskowe, przebarwione zęby, wykrzywiając się i skrzecząc w pogardliwej demonstracji lekceważenia i szyderstwa. Nie przejmując się ich wygłupami, uradowany jeszcze jedną rozrywką,

Sampath uciekł się do tych samych chwytów, wyjąc i pohukując w ich stronę. „Hoo, hoo” – wołał, przewracając oczami i wydymając policzki, co zdawało się zadowalać obie strony, gdyż popisy trwały nadal. Wkrótce małpy przysunęły się bliżej, i wyciągając swoje brudne, pomarszczone dłonie, zaczęły poszturchiwać Sampatha, najpierw ostrożnie, aby zobaczyć, jak zareaguje, potem mocno i nachalnie, kiedy doszły do wniosku, że nie jest groźny. A jak potrafił się wykrzywiać! Wyraz ich małpich twarzy wskazywał, że bardzo im to imponuje.

Wrażenie to wzmogło się jeszcze, kiedy spędziły w sadzie dość czasu, aby się zorientować, że Sampath stanowi centrum tej szczodrej społeczności, którą napotkały. Zabawna rzecz, cała żywność w sadzie wydawała się skupiać wokół tego pohukującego chłopaka; ludzie najwyraźniej podziwiali go za to samo, co w wykonaniu małp bynajmniej nie budziło ich zachwyty. Nie ulegało wątpliwości, że im bliższy małpy jest człowiek, tym więcej prezentów otrzymuje: najświeższe owoce, najlepsze orzechy składane były u stóp Sampatha. Został wówczas nie tylko zaakceptowany, ale wyniesiony w małpiej hierarchii na wysoką pozycję. Dzięki niemu zwierzęta uzyskały dostęp do najsmakowitszych frykasów. Zanim się zorientował, dzielił swoje plecione łóżko z tyranem spod kina. Wsparci o siebie plecami na małpią modłę, prezentując się równie okazale, oczekiwali przyjezdnych, gdyż stado nie spędzało już czasu, grzebiąc w odpadkach na targowisku, okradając sklepikarzy i terroryzując osoby z gatunku Pinky i panny Jyotsny. Po cóż miałyby to czynić, skoro zorientowały się dość szybko, że tutaj mogą zdobyć pożywienie o wiele łatwiej, siedząc w pobliżu Sampatha i przyjmując odwiedziny uprzejmych ludzi, którzy przybywali tu, jak wszystko na to wskazywało, aby dostarczać banany i orzeszki ziemne?

Małpie damy z upodobaniem pielęgnowały Sampatha, który siedział, rad w głębi ducha, choć pokrzykiwał: „Ach, nie ciągnij mnie tak”, wymierzając im klapsy. Ale ich ubawione, chytre pyszczki zdawały się wyrażać zrozumienie, że to tylko taka zabawa. Przegonione, wracały okreśną drogą, kontynuując zabiegi wokół jego gładkich, lśniących loków, które, trzeba im przyznać, zyskiwały jeszcze większy połysk i gładkość pod ich opieką. Sampath coraz bardziej lubił te starania, przyzwyczajając się do sporadycznych szarpnięć i zadrapań.

– Patrzcie – powiedziała panna Jyotsna, która, podobnie jak Pinky, wydała pisk grozy, gdy po raz pierwszy rozpoznała małpę, która upokorzyła ją przed kinem. – On najwyraźniej urzekł te małpy.

Siedziały gromadą wokół Sampatha niczym srebrnowłosa, pełna wdzięku obstawa, ziewając i drapiąc swoje piękne ciała. Niemal wszystkie panie znały historie, z pierwszej lub drugiej ręki, o rozdartym sari czy halce i zdumiewały się teraz: „Popatrzcie na tę małpę. Łagodna jak nie wiem co! Baba poskromił bestie”. Ksiądz, przybyły z kościoła w Allahabadzie, powiedział, że przypomniał mu się święty Franciszek z Asyżu, zawsze tak wzruszająco przedstawiany w otoczeniu leśnych stworzeń.

Zachowanie małp było jeszcze jednym dowodem autentyczności Sampatha.

– Pomyślcie tylko o tych wszystkich szarlatanach – powiedziała panna Jyotsna – wszystkich tych kanciarzach, pozujących w swoich szafranowych szatach, tych guru, którzy są równie skorumpowani, jak politycy...

Och, puszyli się, ich baba jest inny. Jest źródłem nieustannego zdumienia. Rzucił nawet czar na te dzikie bestie z targowiska.

– Hmm – chrząknął szpieg, którego ten nowy przypadek, trzeba przyznać, wytrącił nieco z równowagi. – Nie ulega wątpliwości, że to po prostu przykład dobrze układających się stosunków człowieka z małpą – powiedział.

– Stosunki człowieka z małpą – powiedziała panna Jyotsna, wysoce urażona tym brakiem respektu dla dawnego kolegi. – Dalej, bracie, spróbuj swoich sił w stosunkach człowieka z małpą, a wylądujesz w szpitalu ze śladami małpich zębów na całym ciele.

Ale, chociaż niektórych gości cieszyła obecność małp, i podziwiali wpływ, jaki wywierał na nie Sampath, pan Chawla był zdania, że przecucia jego matki były trafne od samego początku, i oplakiwał swój sprytny manewr ze sprzedażą i ponowną odprzedażą przywożonych przez gości darów. Chciwe małpy zjadały wszystko, co były w stanie porwać.

Kulfi niepokoiła się coraz bardziej o swoją kuchnię i zaczęła staranniej chować zapasy.

Również Pinky, bynajmniej nie ucieszona najazdem małp, przypominała sobie o niezwykłym chłopcu z lodziarni Super Smak za każdym razem, gdy je widziała, i wskutek tego kilka razy dziennie wybuchała histerycznym płaczem.

Od czasu spotkania z chłopcem z Super Smaku przy okazji incydentu ze sztuczną szczęką na bazarze, u Pinky pojawiło się nieznane wcześniej współczucie dla brata. Nowe uczucie było dalekie od irytacji czy rozbawienia, które z reguły w stosunku do niego odczuwała. Któregoś ranka spojrzała na jego stopy, zwisające z krawędzi łóżka, i uświadomiła sobie, że coś musiało poruszyć w nich dwojgu tę samą strunę. Niewątpliwie brzemie tej samej troski o kruchość, fatum i nieuchronność rzeczy zaprowadziło Sampatha pomiędzy gałęzie, z dala od tego padolu cierpień. Przypominała sobie jego twarz, gdy szedł do szkoły, jego powroty, gdy zawsze starał się wejść na dach, aby pobyć w samotności, i czuła się okropnie na myśl o tym, jak go musztrowała, wykrzykując za nim na schodach... Teraz – czuła to – ona też rozumie grozę życia, też odkryła potrzebę bycia sam na sam ze swoim smutkiem, i od tej chwili olśnienia spędzała długie godziny pod drzewem Sampatha, otoczona sekretnym kokonem, pod osłoną którego puszczała wodze rozmyślaniom, snując marzenia, dumając w nieskończoność i wzdrygając się w całkiem nietypowy dla siebie sposób, gdy jej to zakłócono.

A tam, na bazarze, był chłopiec z Super Smaku, który nie wiedział nawet, jaka niedola była jej udziałem. Baapret – uznała. – Zdecydowanie powinien się dowiedzieć, gdyż było to uczucie okropne i nad wyraz denerwujące. Ten stan rzeczy był nie do zniesienia. Oto nie była już sobą – silną jak zawsze – i nie było nic, co mogłoby przynieść jej jakąś pociechę. W nagłym przypiływie złości zaczęła znów gwałtownie szlochać. Płacząc za chłopcem z Super Smaku, równocześnie była przerażona, że własny umysł mógł zgotować jej taki straszny potrzask, i wzdychała za minioną wolnością, pragnąc chwycić tego wstrętnego chłopaka i cisnąć nim w dół zbocza, zdeptać go i obić go kijem.

– Co mam robić? – zapytała brata, który siedział w górze, cmokając językiem nad jej łzami, a równocześnie badając zielonkawę żyłki na swoim ramieniu i oglądając swoją zdrewniałą piętę. – Chyba oszaleję – powiedziała Pinky. – Czuję się jak raca, do której przyłożono zapalnik.

– Jeżeli fajerwerk został zapalony, to wybuchnie, czy nam się to podoba, czy nie. Chyba że wrzucimy go do wiadra z wodą. Ale jakież to marnotrawstwo fajerwerku. – Spojrzał na swoje ramię, na mahoń swojej skóry. Na brzuchu widział wodny znak słońca, które wznosiło się i opadało, prześwitując poprzez liście.

Pinky doszła do wniosku, że brat ma zupełną rację. Nie ma powodu tonąć w wiadrze łez ani siedzieć i cierpieć w samotności, niby jakiś wadliwy fajerwerk, zatrzymujący wszystkie iskry w swoim wnętrzu, gdy

powinny wytrysnąć barwami na zewnątrz, w widowisku, które z pewnością da jakiś efekt, wywoła jakiś rodzaj eksplozji. A eksplozji – wiedziała o tym – zawsze towarzyszy pewien stopień satysfakcji.

Następnego ranka, pełna determinacji, przebrała się, umalowała, wyczekała na moment, gdy rodzina była zaprzątnięta bieganiem wokół codziennej kąpieli Sampatha, i wymknęła się ścieżką, biegnącą na tyłach szopy. Oczy mocno podmalowała na czarno, a nad uszami wpięła pęki kwiatów, wytryskających niczym wybuch. Była gotowa jak aktorka przygotowana do występu. Usta miała mocno zaciśnięte, a kolczyki chwiały się w jej nadzwyczaj małych uszach, gdy kroczyła ścieżką w stronę przystanku autobusowego, łamiąc gałązki, które chciały zagrozić jej drogę, skopując ze ścieżki kamyki, choć była w cieniutkich pantofelkach odsłaniających delikatne palce.

Szpieg, którego nowo wprowadzone godziny odwiedzin odgrodziły od garnków Kulfi, wałęsał się w pobliżu sadu, próbując wymyślić jakiś wybieg, który pozwoliłby mu dostać się mimo wszystko do środka, kiedy ujrzał Pinky, idącą w stronę przystanku autobusowego. Postanowił dla zabicia czasu, nim będzie mógł wejść legalnie do sadu, zająć się dla odmiany śledzeniem Pinky – tylko ten jeden raz – po to jedynie, by się upewnić, że nie jest to nic więcej niż zwykła wyprawa na bazar...

Od czasu do czasu Pinky widziała kątem oka, jak daje nurka, zawsze odrobinę za późno, za krzak lub pień drzewa. Ale tym razem jej to nie obchodziło, chociaż odnotowała z satysfakcją, że ojciec mylił się zdecydowanie: mężczyźni chodzą za nią. Kroczyła naprzód. Wspięła się na stopnie autobusu i, gdy on zrobił to samo, zaczęła dźgać wokół siebie bezlitośnie szpilką do włosów, fundując mu takie pchnięcie, że gdy dotarli na bazar, zmuszony był popędzić prosto do doktora Banerdži po zastrzyk przeciwtężcowy.

Wciąż było wcześnie. Dym z ognia, który rozpalano w ulicznych herbaciarniach, przesłaniał blade, zimowe słońce. Chłopiec z Super Smaku stał pośród szarego bazaru wraz z innymi przekupniami, którzy szykowali się dopiero do otwarcia stoisk, ziewając i drapiąc się po brzuchach.

Według wszelkich kryteriów był to chłopiec raczej powolny. Miał pewien zmysł humoru, to prawda, jak również dobre chęci i zasadniczo pogodne usposobienie, ale nie docierało do niego za bardzo, co dzieje się wokół. Dopóki małpa spod kina nie zaczęła żerować gdzie indziej, uważał,

że przepędzanie jej należy do jego codziennych obowiązków. Tak więc bez chwili namysłu odbił protezę Ammadzi i nie zdawał sobie sprawy, że teraz nabycie lodów przez Pinky było posunięciem znamionym, a nie prozaicznym sprawunkiem. Gdy odważyła się wejść mu w drogę na ulicy, nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia, bo również i on często wpadał na nią na ulicy. Równie niewrażliwy na wdzięki Pinky jak zawsze, podążał dalej swoją drogą, wiodąc życie pewne niczym skała, nie zwracając sobie głowy miłością. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, zostanie mu wyszukana odpowiednia dziewczyna, bez żadnych romantycznych zakłóceń. Na razie był zadowolony, śpiewając do wtóru miłosnych piosenek w radio oraz podszczypując i poszturchując od czasu do czasu w autobusie dziewczynę, która akurat wpadła mu w oko.

Toteż zdumiał się niepomiarnie, kiedy Pinky zmieniła swoją strategię podchodów, okazując otwarcie, że chce, by ją dostrzeżono. Patrząc zdumiony, jak nadciąga, w barwach wojennych, z podczernionymi oczyma, z ustami jak cięta rana, idąc szturmem przez bazar niby na czele zdobywczej armii.

– Dostyc tego – mruzczała do siebie. – Dostyc.

Podeszła do chłopca z Super Smaku, który odstawił właśnie kawałek blachy falistej, oparty o drzwi furgonetki.

– Co? Chcesz lody tak wcześnie rano? Najwyraźniej życie w górach zaczyna ci działać na mózg – powiedział z uśmiechem.

Na jego widok gniew i uniesienie uderzyły jej do głowy. Jaki był spokojniutki i uśmiechnięty! Przez chwilę miała ochotę go pocałować, ale potężna nuta agresji pulsowała w jej wnętrzu i zamiast tego go ugryzła. Ugryzła go w ucho tak mocno, że chłopiec wrzasnął, a jego głos rozległ się echem po mieście.

Był ranny. Mordowano go.

– Ajajaj! – Czarne i białe grochy jej sari falowały groźnie przed jego oczyma.

Ludzie nadbiegali ze wszystkich stron. „Co się stało? Co się stało?”

Na ziemi leżał kawałek ucha.

Kobiety, szykujące pakunki z drugim śniadaniem i wyprawiające dzieci do szkoły, otwierały okna i wychylały się na zewnątrz. Komendant policji, który siedział w herbaciarni, nadszedł, zmuszony zostawić swoje śniadanie z powodu całego rabanu.

– Hola! Co się tu dzieje?

Chłopiec z Super Smaku trzymał się za swoje okaleczone ucho i wrzeszczał:

– Ona mnie napadła, proszę pana, ona mnie napadła.

Pinky, roztrzęsiona i patrząca wilkiem, odmaszerowała pod eskortą na posterunek policji. Zdarzało się jej już wytoczyć krew na szkolnym boisku. Wypluła teraz jej słony smak. Czerwień, której upuściła temu chłopcu, była niczym upust bólu i namiętności. Dygotała, ale jeśli był w niej lęk, nie miała zamiaru tego okazać ani pozwolić, by nad nią zapanował. Lub nawet przyznać się do tego przed sobą samą. Z rosnącą odwagą szła godnie za komendantem. Tymczasem chłopak, który trząsał się o wiele gwałtowniej niż ona, tracąc odwagę z każdą chwilą, został zabrany do rodzinnej kliniki, z uchem zapakowanym w pojemnik lodów waniliowych, który znalazł się pod ręką w furgonetce – zamrożonym, aby doktor Banerdzi mógł przyszyć je z powrotem.

– Pokąsania przez człowieka – mówił do przedstawiciela lokalnej gazety doktor Banerdzi, odpoczywający przed drzwiami swojej kliniki po udzieleniu pomocy zarówno szpiegowi, jak i chłopcu z Super Smaku – są najczęstsze w sezonie zimowym i letnim, chociaż mogą występować przez cały rok. Zdarzają się częściej rano niż po południu. W istocie, chociaż ludzie bardziej się przejmują ukąszeniami zwierząt, pogryzienie przez człowieka powinno być traktowane z całą powagą, gdyż w ustach człowieka może się znajdować do czterdziestu dwóch szczepów bakterii. Tak więc ludzie mogą być nawet bardziej niebezpieczni niż pająki czy psy.

– Od kiedy to panie w tym mieście gryzą mężczyzn? – zapytał policjant. Pinky siedziała na ławce na posterunku policji, zawzięta i najwyraźniej nie skruszona, a złość wciąż się w niej tliła. – Skończysz w domu wariatów, jeżeli będziesz z uporem manifestować, że tam jest twoje miejsce.

Ale ona patrzyła na niego, nieposkromiona. Nie była osobą, którą mogłyby przerazić tego rodzaju pogróżki. Bądź co bądź, owo miejsce odosobnienia wspomniano tyle razy w odniesieniu do jej matki i brata, że utraciło swoją złowróżbną wymowę i zaczęło się kojarzyć z jakąś swojską instytucją.

– To poważna sprawa – powiedział komendant policji, kiwając miarowo bambusem. – Naprawdę bardzo poważana. – Był ucieszony, że ma dla odmiany coś tak interesującego do roboty. – Tak, narobiłaś niezłego bigosu.

W tym momencie jeden z policjantów podszedł i szepnął mu coś pospiesznie do ucha.

– Co? – powiedział komendant. – Jesteś siostrą człowieka, który siedzi na drzewie? Baba to twój brat?

Kiwnęła głową, nadaśana.

Komendant wyszedł z pokoju, po czym wrócił z kilkoma zaciekawionymi policjantami.

– Przepraszam – powiedział. – Nie znaleźliśmy pani nazwiska. Proszę z nami. Odwieziemy panią do rodziny. – I poczęstował chichoczącego policjanta, który nie mógł się oprzeć komizmowi sytuacji, solidnym kuksańcem w krzyż. Czyż nie wie, że powinien uważać? Policja nie zamierzała niepokoić rodziny jednej z najbardziej szanowanych osobistości w mieście. – My w Szahkot poważamy i szanujemy naszych pustelników – powiedział.

Wciąż patrząc spode łba, Pinky została odstawiona do miejsca pobytu państwa Chawła policyjnym dżipem, w asyście komendanta i kilku innych policjantów. Była zadowolona, że ugryzła chłopca z Super Smaku.

Wszyscy policjanci wspięli się po drabinie, aby otrzymać błogosławieństwo Sampatha. Komendant umieścił swoją nieprzyjemnie tłustą głowę pod stopą Sampatha i poczuł się, jak gdyby został skąpany w czystej świętości, delikatnie obmyty i oczyszczony słodkim błogosławieństwem. Przywiodło mu to na myśl uczucie, jakiego doznawał dostając prezenty na święta.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, baba, kiedy mogę się spodziewać syna? – wyszeptał.

Sampath, nie usposobiony do udzielania odpowiedzi, zabrał stopę i schował ją pod siebie. Obawiał się trochę policjantów, którzy nieraz krzyczeli na niego, gdy ignorował przepisy ruchu drogowego, jadąc rowerem do pracy na poczcie.

– Proszę się nie martwić – powiedział pospiesznie pan Chawła, nie chcąc zadzierać z policją. – Może go pan zapytać innym razem. Czasami trudno skierować jego uwagę na to, co się dzieje na dole. – Dlaczego Sampath musiał się zawsze źle zachowywać właśnie wtedy, kiedy przyjeżdżały ważne osoby?

Ale policjant skinął uprzejmie głową.

– Tacy ludzie jak on nie są z tego świata, więc naturalne, że czasem potrzebują odosobnienia.

Sampath otworzył jedno oko niczym sowa, aby zachować dystans, równocześnie włączając się w interesującą rozmowę na temat odosobnienia, która się właśnie wywiązała:

– Jeśli zmacona, błotnista woda postoi jakiś czas, brud wkrótce osiadzie na dnie. Jeśli zmaści się mleko, śmietana wypłynie na wierzch. Rozważaj naturę tego, co leży w twoim wnętrzu, i postępuj stosownie do tego.

– Czy moglibyśmy dostać fotografię, proszę pana? – zapytał policjant, przejęty. – To dla posterunku policji.

Małpy zabawiały się, rzucając orzeszkami ziemnymi w głowy policjantów.

Pan Chawla nawet nie pomyślał o fotografiach! Co za rynek tracił! Zabrał się do miasta jedną z motorowych riksz, które ciągle kursowały tam i z powrotem, i przywiózł ze sobą miejskiego fotografa. Fotograf wdrapał się na drzewo z kilkoma aparatami fotograficznymi i kawałkiem tkaniny, mającej po obu stronach wymalowane sceny jako tło. Po jednej stronie były łabędzie na stawie z mnóstwem różowych kwiatów lotosu, po drugiej – karmazynowy zachód słońca nad morzem z wioślarem tkwiącym w maleńkiej łodzi na horyzoncie.

– Witaj – powiedział Sampath, zachwycony okazją do fotografii. – Czy to nie ty jesteś tym chłopcem, który wysyłał po kryjomu listy miłosne do dziewczyny ze szkoły klasztornej?

Fotograf był tak zaskoczony, że upuścił torbę z ekwipunkiem.

– Proszę się nie przejmować – powiedział pan Chawla uspokajająco. – On skądś wie takie rzeczy. Ale nie ma powodu do niepokoju. Ja nikomu o tym nie powiem.

Jednak, mimo uprzejmych słów pana Chawli, fotograf potrzebował kilku minut, aby ochłonać i zebrać dość sił, by móc wdrapać się ponownie na drzewo. Wraz z panem Chawlą ustawili płócienne tło za Sampathem i fotograf, uczepiony zdradliwych gałęzi, zrobił, co się da, by ująć twarz Sampatha pod optymalnym kątem, najpierw na tle zapadającego w morze słońca, a następnie pośród kwiatów lotosu.

Kiedy małpy, które oskubywały liście z sąsiedniego drzewa, dostrzegły ten najazd na swoją domenę – tak po prostu, w biały dzień –

podniosły pełen oburzenia wrzask i pognały wielkimi susami w stronę drzewa, aby dopomóc Sampathowi w obronie jego terytorium. Skacząc z gałęzi na gałąź, szczerząc z oburzeniem brązowe zęby i czerwone dziąsła, nieomal przyprawiły i tak już roztrzęsionego fotografa o upadek z drzewa na głowę.

– Przykro mi, proszę pana – powiedział młody fotograf, nowicjusz w swoim zawodzie. – Nie jestem w stanie tego zrobić. Moja matka nie życzyłaby sobie, żebym wykonywał tak niebezpieczną pracę.

– Nie, nie – łagodził pan Chawla. – To jest absolutnie bezpieczne. Osobiście porozmawiam z pańską matką, jeśli pan sobie życzy. Niech pan spojrzy, zaraz zapewnimy panu większe bezpieczeństwo.

Ammadzi zajęła stanowisko pod drzewem, zaopatrzona w stertę kamieni i procę, zrobioną z rozwidlonej gałęzi i kawałka czarnej gumy. Strzelała kamieniami, trzymając małpy na bezpieczną odległość, i fotografia została wykonana zgodnie ze wskazówkami pana Chawli. Sampath pragnął przyjąć stosowną pozę, z miłym uśmiechem i, być może, ręką przerzuconą niedbale przez gałąź. Ale ojciec nie pozwolił mu na nic takiego.

– Trzymaj ręce złożone na kolanach. Na twarzy łagodny uśmiech – instruował go. – Żadnego pokazywania zębów.

– Bezpłatnie – powiedział wytrącony z równowagi fotograf, rad wydostać się stamtąd, nim zostanie pogryziony lub obrzucony kamieniami. – Błogosławieństwo baby mi wystarczy. To przynosi zaszczyt mojemu nazwisku. I proszę, niech pan nie mówi nikomu o tych listach...

Fotografie Sampatha zostały nieodpłatnie odbite w setkach arkuszy przez zakład Foto-Błysk i pocięte na małe prostokąty przez tamtejszego chłopca od herbaty.

– Jaki mój wnuk jest przystojny – westchnęła Ammadzi, kiedy zobaczyła zdjęcie Sampatha, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami pośród kwiecia lotosu, pod parasolem na bakier, na przekrzywionym łożku; na jego twarzy malowało się roztargnienie z powodu całego zamieszania z małpami, kamieniami i fotografem uwieszonym naprzeciw niego z dziwnymi instrumentami, przypominającymi ekwipunek wojskowy lub medyczny.

– To okropne zdjęcie – powiedziała Pinky. – Nawet włosów sobie nie uczesał. Widać znamię na jego policzku. I nie ma na sobie nic oprócz slipów. Jak możecie mówić, że to dobre zdjęcie? – Dobre zdjęcie to takie,

gdzie mężczyzna pozuje z włosami starannie ufryzowanymi i namaszczonej olejkim, w ładnej, obcisłej koszuli i ładnych, obcisłych spodniach, siedząc na motorowerze.

Ale i tak, pomimo dezaprobaty Pinky, pan Chawla sprzedawał te zdjęcia ze swojego wózka i okazało się, że jest na nie wielki popyt. Wkrótce zaczęły się pojawiać wszędzie, przenikając do sklepów i domów w Szahkot i wędrując również znacznie dalej.

W lutym fotografia została nawet opublikowana w „Times of India”, wraz z notatką, zatytułowaną „Baba z Szahkot w swojej nadrzewnej siedzibie”. „Cichy sad niedaleko Szahkot – głosił tekst – przeobraził się ostatnio na skutek zalewu przyjezdnych, spieszących, aby zobaczyć pustelnika z Szahkot, którego rzadko spotykana prostota i głęboka mądrość przynoszą pociechę i nadzieję wielu zniechęconym w tych trudnych i zepsutych czasach. «Tutaj panuje duchowa atmosfera, której nie spotkałam nigdzie więcej w Indiach» – powiedziała reporterowi panna Jyotsna, pracownica poczty. Wyznała, że sama często odwiedza tego pustelnika, którego uczniowie nazywają czule «Małpim babą» lub «Babą z drzewa», w związku z jego upodobaniem do zwierząt i prostotą jego lokum. Chociaż przyjmuje wszystkich, którzy chcą go odwiedzić, ogranicza godziny przyjęć, aby zachować samotniczy tryb życia...”

Po ukazaniu się tego artykułu z całego kraju zaczęły napływać do Sampatha tysiące listów. Większość z nich nie miała adresu, tylko po prostu fotografię Sampatha, siedzącego na swoim drzewie, przyklepioną ufnie do koperty. Wewnątrz były prośby o pomoc i pytania od całej masy gorliwych poszukiwaczy mądrości.

Zachwycona możliwością odwiedzania sadu również w godzinach pracy, panna Jyotsna z urzędu pocztowego zaczęła odbywać regularne kursy rikszą, aby dostarczać te olbrzymie ilości korespondencji, gdy tymczasem pan Gupta siedział nadąsany w Szahkot, bo doszedł do wniosku, że nie lubi znajdować się poza centrum uwagi.

Na dorocznym spotkaniu Stowarzyszenia Ateistów w pobliskim mieście szpieg zwrócił się do swoich kolegów:

– Czy widzieli państwo artykuł w gazecie na temat przypadku Chawli? Jest absolutnie oburzający. Nawet prasa w tym kraju łapie się na te bzdury. W gruncie rzeczy to oni je propagują. Biorą pogłoskę, ubierają ją w oficjalny język i oczywiście każdy łyka rzecz natychmiast, jakby to była prawda. Miejsce tego szaleńca jest w zakładzie dla obłąkanych, a

spójrzcie tylko państwo, jak ludzie biegną do niego na wypródki z prezentami.

Mówił dalej, tak długo i tak namiętnie, że dla wielu spośród obecnych minęła pora kolacji. Jeden z członków stowarzyszenia pochylił się i szepnął innemu na ucho:

– Nie uważasz, że on trochę przesadza? Dlaczego tak się tym wszystkim przejmuję?

Ale szpieg czuł się teraz osobiście zaangażowany i osobiście obrażony, i ciągnął swoją tyradę przez następną godzinę. To właśnie takie osoby jak Sampath hamują postęp w tym kraju, przez co ucziwi, wykształceni ludzie, tacy jak on, muszą tkwić razem z nimi w zaścianku. Niszczą te waleczne, inteligentne dusze, niszczą postęp i tłamszą każdego, kto próbuje się przeciwstawić potężnym, niewykształconym hordom, pęczniejącym i rozrastającym się w największą populację idiotów na świecie. Nawet maleńkie kraje, jak Tajwan i Filipiny, idą z postępem. Gdyby miał trochę zdrowego rozsądku, opuściłby ten przeklęty kraj i wyemigrował. Ale nie, on postanowił zostać tutaj i zrobić, co może, na rzecz przemian, chociaż został raz za to poświęcenie ugodzony w ramię metalową szpilką do włosów przez siostrę baby. Kto wie, jakie długofalowe skutki może to u niego wywołać?

Rozpoczął dodatkowy elaborat, mówiąc o swoich podejrzeniach co do tego, czym Sampath jest karmiony, o tym, jak pilnie strzeżona jest jego żywność, o tym, że nikogo nie dopuszcza się w pobliże, że Sampath może być pod wpływem narkotyków, które podwyższają lub obniżają jego aktywność umysłową w stosunku do normalnego poziomu – szpieg nie był pewien, która z tych ewentualności zachodzi. Mówił o swoich badaniach nad tym zagadnieniem, o książce na temat substancji halucynogennych, którą nabył...

Jęk żołądków słuchaczy stał się ogłuszający. Naprawdę, tego już za wiele. Mówić o jedzeniu, kiedy każdy z nich powinien właśnie w tym momencie siedzieć nad swoją własną, smaczną, gorącą kolacją.

– Czy on powiedział, że dostał w ramię szpilką do włosów? – zapytał mężczyzna, który zaczął się niecierpliwie półtorej godziny wcześniej. – A może w głowę? W takim razie ma zupełną rację, wywołało to u niego poważne konsekwencje. – Tym razem nie mówił szeptem, ale najgłośniej, jak potrafił. – Proszę pana – krzyknął wprost do szpiega – czy nie sądzi pan, że pański czas się skończył?

Szpieg nagle stracił wątek. Przez sekundę był wytrącony z równowagi.

– Noc jest nieprzyjemna, dopóki nie wytłucze się komarów – odpowiedział.

– Cóż, to niewątpliwie prawda – odezwał się ktoś inny.

– Dziękuję – powiedział szpieg. – Kiedy otworzyło się butelkę wody sodowej, należy ją wypić, zanim gaz się ulotni. – Ale krew napłynęła mu do twarzy. Przyjmował słowa uznania za bezwiednie powtarzane myśli baby! Nie miał odwagi postąpić inaczej.

Później rzucał się w nocy i przewracał na łóżku.

Czego pragnie w życiu?

Pustka, która rozciągała się wokół niego jak czarna noc, budziła w nim jeszcze większą determinację, by zdemaskować Sampatha jako oszusta.

XIII

Pewnego popołudnia, mniej więcej w miesiąc po swoim przybyciu do sadu, małpy znalazły pięć butelek rumu, przetrząsając torbę jakiegoś człowieka, który zatrzymał się, by zobaczyć Sampatha, w drodze na wesele. Wypiły wszystko. Tego dnia, gdy znów pojawiły się na drzewie, gdzie przywykły towarzyszyć Sampathowi w małej drzemce około godziny trzeciej, nie były w stanie zapaść w powszechny trans, który spadał na sad niby zaklęcie właściwe tej porze dnia.

Sampath wyciągnął się sennie na swoim łóżku. Uniósł ręce, których cień padł na widniejący przed nim oświetlony pień, i obserwował ruch swoich palców, formując kwiat lotosu, stulający i rozchylający płatki, płynącą rybę, przyklekającego wielbłąda. Zdumiewało go, jak wymyślne kształty potrafi tworzyć. Zaczął przebierać palcami jak pajak, czmychający poprzez zaimprovizowaną scenę poznaczonego słońcem drzewa. Te umykające owadzie nogi sprawiły, że dreszcz przebiegł mu po plecach i Sampath otrzepał ręce, jakby chciał się pozbyć pajaka w swoim wnętrzu. Pamiętał, jak zdarzało mu się napędzić sobie samemu strachu w ich domu w Szahkot, gdy stojąc przed lustrem szybko wysuwał i chował język węża, nie swój własny. Myślał o ludzkich istotach z ptasimi nosami, o ludziach z szyjami łabędzi, krowimi oczyma, wylękłym ptasim sercem i delfinim umiłowaniem oceanu. O ludziach płaczących łzami morskiej wody, okrytych skórą barwy kory, o taliach jak łądygi, postrzępionych, liściastych uszach i delikatnych płatkach ust. Zamknął oczy i próbował zasnąć. Rodzina Chawla i różni goście, w tym szpieg i panna Jyotsna, porozkładali się po całym sadzie. Ale małpy nie miały zamiaru się uspokoić.

– Cicho bądźcie – powiedział Sampath sennie. – Działacie mi na nerwy tym całym skakaniem.

Ale małpy nadal skakały po drzewie, wykrzywiając się, pohukując i śmiejąc, aż ziemia pod drzewem została usłana szczątkami badyli.

– Przestańcie – powiedział szpieg, który zostaj trafiony gałązką. Próbował prześledzić swoje myśli i uporządkować je, gdyż stały się ostatnio bardzo pogmatwane.

– Tak, uspokójcie się! – krzyknęło paru innych pielgrzymów. Z tymi małpami naprawdę coś było nie tak.

– Zachowują się bardzo dziwnie – orzekł pan Chawla.

– Może to ta pełnia księżyca? – powiedziała Ammadzi.

Ale kiedy pan Chawla odkrył puste butelki po rumie w pobliżu wygodki, stało się jasne, że bynajmniej nie chodzi tu o księżyc.

– Och, to tylko małpy. – Sampath czuł się zmuszony stanąć w ich obronie. – Co one mogą wiedzieć? Kiedy reszta domowników śpi, dziecko pociąga nargile swojego ojca.

– To prawda – mówili jedni, gdy inni, zawstydzeni, że na ich terenie znaleziono alkohol, jedynie chichotali. – Nie małpy są winne. To ludzie są zwyrodniali. Bardzo smutne, ale w takim miejscu jak to, tak licznie odwiedzanym, obok dobra musi pojawić się i zło. Prawda, babadzi?

– Na początku pigwa jest niedojrzała. Ale gdy się jej nie zerwie i nie zje w porę, wkrótce sfermentuje i zamieni się w alkohol.

Co chciał przez to powiedzieć? Że czas doskonałości przemija, że należy jeść pigwy jedynie we właściwym czasie, że wszystko jest częścią natury, że dobro zamienia się w zło, czy też, że zło nie jest naprawdę złem, gdyż wszystko to leży w naturze pigwy? Ach, czasem ciężko go było zrozumieć.

Jedno w każdym razie stawało się jaśniejsze z każdym dniem: małpy nabrały nienasyconego pociągu do trunku. Ależ go pokochały! Od razu i gwałtownie, co musiało być niewątpliwie zapisane w gwiazdach. Trudno powiedzieć, czy świat nauki zbadał możliwość uzależnienia langura od alkoholu, czy nie. Prawda była wyraźnie widoczna. Kochały go namiętnie, do szaleństwa. Podjęły poszukiwania z nowym zapałem, aż ludzie zastanawiali się, czy im trochę nie odbiło. Orzeszki ziemne i banany nie miały dla nich teraz najmniejszej wartości.

W kilka dni po pierwszym kontakcie z alkoholem odkryły skrzynkę piwa w samochodzie dostawczym. Tydzień później butelkę whisky w rikszy. Potem znowu piwo. Potem znowu rum.

Ciemne oblicza były pełne determinacji, spojrzenia dzikie i mętne; małpy gnały potężnymi susami na spotkanie każdego nadjeżdżającego autobusu, każdej motorowej rikszy, w poszukiwaniu trunku dowolnego rodzaju, mając niewątpliwie w pamięci jakieś przyspieszenie biegu krwi, jakieś zagadkowe uniesienia ducha.

Stawały się coraz śmielsze; patroszyły zawartość tobołków z pościelą, porywały torby z zakupami i przepędzały właścicieli, którzy uciekali z okrzykami przerażenia. Jakby wszystkie ich dawne obyczaje z bazaru znów ożyły, jakby, znudzone obfitością wszystkiego, usiłowały podjąć znów dawne, ekscytujące życie, pośród grabieży i gwałtu, przy wtórze okrzyków protestu.

Kiedy je przeganiano przy bezwstydnym próbach grabieży, szczyrzyły zęby i podróżni wycofywali się w obawie przed pogryzieniem. Kiedy pielgrzymi grozili im pięściami, one powtarzały ten gest z głośnym szyderstwem. Ledwie je przepłoszono, klaszcząc, z jednego miejsca, już pojawiały się w innym, robiąc coś jeszcze gorszego. To było jak działania wojenne. Małpowały pielgrzymów, ustawiając się wraz z nimi w kolejce pod drzewem Sampatha, poszturchując się radośnie w oczekiwaniu na błogosławieństwo.

Wkrótce stało się jasne, że przywiązanie, jakie okazywali sobie Sampath i małpy, nie zostanie rozciągnięte na innych, włączając ich w swój zaklęty krąg; że ich małpi wdzięk, tak mu drogi, nie zaskarbi im niczyjej więcej sympatii. Obladowani fistaszkami amatorzy filmów mogli podążać do kina nie niepokojeni, ale było oczywiste, że małpia kwestia zmieniała jedynie punkt przyłożenia.

Troska przyćmiła szczęście pielgrzymów. Wyglądało na to, że niemal z dnia na dzień mieli do rozwiązania nowy problem.

– Jeżeli przedtem były utrapieniem, to raczej tak jak niegrzeczne dzieci – mówiła ze smutkiem panna Jyotsna, patrząc, jak małpy przetrząsają jej torbę z korespondencją, rozrzucając listy, wściekle zawiedzione, że nie odkryły żadnych butelek.

– Tak – zgodził się pewien pan. – W gruncie rzeczy były ujmujące z tą swoją niesfornością – i chociaż trochę przesadził, inni myśleli podobnie, bo jednak było w tym nieco prawdy.

XIV

Pewnego popołudnia, wkrótce potem, jak częstotliwość niefortunnych wypadków zaczęła się nasilać, pan Chawla stał zamyślony pod drzewem Sampatha. Sprawa małp zaczynała wymykać się z rąk i miał niepokojące uczucie, że spokój ich świętych dni w sadzie może zostać poważnie zagrożony.

A tymczasem stan rodzinnego konta w Hinduskim Banku Państwowym rósł błyskawicznie i pan Chawla chętnie zakupiłby akcje spółki VIP Wyroby Pończosznice. Nie były im potrzebne niepokoje, mogące zakłócić to małe, sympatyczne przedsięwzięcie, które rozkręcił. Spojrzał w lewo i w prawo, lustrując swoje terytorium ze ścieżkami i małą strzałką, wskazującą w kierunku Sampatha, z reklamami, rozwieszonymi barwnie po sąsiednich drzewach: Centrum Dentystyczne doktora Sooda, Krawiectwo Męskie – „Bóg stworzył człowieka, my tworzymy dżentelmena”, reklamy Campa Coli, Limki, Fanty i Goldspotu, ajurwedyjskiego proszku i środka przeciw komarom Odomos. Wszystkie opłacone hojnymi dotacjami, pudłami orzechów i tak wielką ilością kandyzowanych owoców, żółtych, zielonych, różowych i białych, że nikt nie wiedział, co z nimi robić. Gdyby nie pan Chawla, nic z tego by nie istniało. Nic z tego.

– Sampath – powiedział ojciec – być może nadszedł czas, żeby zbudować ci prawdziwą pustelnię. Problem małp wymyka nam się z rąk. Gdybyś mieszkał w budynku z betonu, można by nie wpuszczać ich do środka i opanować sytuację. Tak czy inaczej, nie możesz wiecznie siedzieć na drzewie. Co będzie, kiedy nadejdzie monsun? Zostało już tylko parę miesięcy. – Wyobraził sobie cały kompleks, ze świątynią i miejscami noclegowymi dla przyjezdnych, zaprojektowany zgodnie z nowoczesnym upodobaniem do komfortu, kompleks, który mógłby być pokazowym miejscem postoju pielgrzymek, środowiskiem, nad którym byłby w stanie zapanować.

Sampath spojrział na ojca. Czy słuch go nie myli?

Widząc twarz Sampatha pan Chawla uczuł przyływ irytacji. Cóż za komiczny, przesadny wyraz niedowierzania.

– I może zacznij lepiej studiować filozofię i religię – powiedział. – Ludzie zmęczą się szybko, jeśli nie będziesz w stanie rozmawiać na głębsze

tematy. Kupię ci egzemplarz Wed. Naprawdę nie możesz siedzieć w nieskończoność, gadając głupstwa.

Małpy rzucały jabłkami w głowę pana Chawli dla zabawy, chociaż wyglądało to tak, jak gdyby chciały bronić Sampatha. Wykonał gniewny gest w ich kierunku, ale one powitały jego protest ogniem zaporowym bananów. Pan Chawla stracił cierpliwość.

– Wystawiają nas na pośmiewisko – powiedział, urażony w swoim poczuciu godności. – Tego już naprawdę za wiele. Ludzie pomyślą, że to jakiś cyrk. Siedzieć na drzewie z pijanymi małpami! Musimy cię natychmiast przenieść do przyzwoitego budynku.

– Nie zamierzam mieszkać nigdzie poza tym drzewem – powiedział Sampath. – A małpy nie są w tej chwili pijane. Bawią się po prostu.

Kiedy ojciec odszedł, Sampath zdał sobie sprawę, jak mu serce łomocze. Nie mógł się uwolnić od tej strasznej myśli. Porzucić swoje drzewo? „Nigdy, przenigdy” – pomyślał, dygocząc na całym ciele z oburzenia. Wpatrywał się zawzięcie w rosnącą przed nim gałąź. On i jego ojciec byli tak różni jak czern i biel, jak kurczęta i ziemniaki, jak ziarna grochu i wiadra. Co on sobie wyobraża? Czy myśli, że Sampath po prostu zejdzie z drzewa i wróci do swojej dawnej egzystencji, jak jakiś stary głupiec? Opuścił Szahkot, bo chciał być sam. A oni co zrobili? Przyszli tu za nim.

Dostrzegł żuczka, gramolącego się tuż pod jego nosem pomiędzy nierówności kory. Okryty lśniąca zieloną zbroją, z czułkami sterczącymi na głowie, z kosmykami skrzydełek, wystającymi komicznie, niczym przezroczysta halka, spod twardo opancerzonej powłoki, zdawał się naocznym dowodem głupoty ojcowskich propozycji. Z wolna Sampath się uspokoił. Jakie piękne były te owady wokół niego, jak niewiarygodnie piękne: wielkie, rozłożyste, kwietne motyle, pszczoły o wyraźnie widocznych, długich, cienkich, wystających z pyszczków trąbkach, żuczki, pokryte delikatnym pyłkiem, z obwiedzionymi czernią oczyma, gąsienice o błazeńskich twarzach, z okrągłymi nosami, sztucznymi brodami i głupawymi stopami; istoty utworzone z płatków i pyłku, z liści i kwiatnych kielichów. Obserwował ich nie kończąca się procesję, patrzył, jak przebierają nóżkami, podskakują, przelatują, wynurzając się, niczym z bulgoczącego garnka magika, z migotaniem i drogocennym połyskiem... czego? Kwintesencji wiatru i trawy? Wody i słonecznego blasku?

Kiedy matka przyniosła mu kolację i chciała załadować ją na podnośnik, Sampath rzucił jej z góry badawcze spojrzenie.

– Wiesz – powiedział – oni zamierzają zbudować pustelnię, aleja nie opuszcze tego drzewa.

Kulfi podniosła na niego wzrok. Oczywiście, że Sampath nie może opuścić drzewa.

– Zawsze możemy ich otruć – powiedziała, starając się go pocieszyć.

A on uśmiechnął się mimo woli, myśląc o tym, jak kiedyś wylądował, wymiotujący i siny, w ambulatorium pierwszej pomocy Państwowego Instytutu Medycznego po zjedzeniu ugotowanego przez nią posiłku. Szczęśliwie ominął go wtedy cały tydzień szkoły. Patrząc na nią, poczuł drgnienie czułości. Jego matka, małpy i on to zgrana paczka, pomyślał.

– Lepiej się usatkwujcie – ostrzegł małpy. – Będą kłopoty, jeśli nie zaczniecie się lepiej zachowywać.

Ale małpy nie zachowywały się lepiej. Prawdę mówiąc zachowywały się o wiele gorzej.

Mniej więcej w miesiąc po pierwszym zetknięciu z alkoholem, najwyraźniej zde gustowane swoimi mizernymi osiągnięciami w sadzie, langury odbyły wyprawę na bazar, gdzie sterroryzowały starą kobietę, sprzedającą z wozu zakazany trunek. Pochłonęły cały zapas i, pijane do niemożliwości, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, wróciły na terytorium państwa Chawla.

– Nie zbliżajcie się – krzyknął do nich Sampath, gdy zobaczył, że nadchodzą. – Nie zbliżajcie się, aż będziecie trzeźwe.

Wiedział, że będą kłopoty. Ale one nie zważały na jego ostrzeżenie. Rozsiewając ostre, surowe wyziewy miejscowego bimbru, nadciągnęły jak chuligani i w prawdziwie chuligańskim stylu zabrały się do wywracania wszystkiego, co się da, do góry nogami.

Sampath, rzecz jasna, widywał pijanych od czasu do czasu, ale tylko raz zetknął się bezpośrednio z jednym z nich, kiedy nieopatrznie wdał się w rozmowę z miejscowym pijakiem pod uliczną herbaciarnią. Zataczając się, wpadając na stoły, pijak obejmował Sampatha, który był jedynym człowiekiem w pobliżu. „Powiedz, że jesteś moim najlepszym przyjacielem – napraszał się, uczepiony Sampatha. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem?”

Sampath był śmiertelnie przerażony. „Tak” – powiedział.

Mężczyzna otoczył go ramieniem. „Wszystko, co mam, należy do siebie”.

„Ale ja nie chcę niczego, co masz”, myślał błagalnie Sampath. Mężczyzna cuchnął rynsztokiem, od czego żołądek Sampatha się wywracał. Miał czerwone oczy, zionął potężnie i trzymał Sampatha, jakby nigdy nie zamierzał go puścić. W końcu przepędził go właściciel herbaciarni, który wyszedł na zewnątrz i obrzucił go kamieniami. Sampath długo pedałował, aż zatrzymał się pośród pól, by dojść do siebie. Nieruchomy jak rośliny wokół niego, łykał ciszę i zielen wielkimi haustami.

„Och, ale małpy są inne” – pomyślał wbrew woli, patrząc, jak szturmują kuchnię jego matki, wywracają garnki i rondle i toczą po sadzie wiadra z ogłuszającym szcękaniem metalu. Były takie piękne, pełne wdzięku i siły. Zadzierając ogony wysoko nad głowę, przewróciły bańkę i mleko znikło, wsiąknąwszy w trawę. Porozrywały worki z zapasami, ułożone pod gankiem, aż ryż i soczewica rozsypały się rzeką złota i zieleni, bieli i czerni. Spalażowały ogromne ilości rodzyneków, fistaszków, migdałów, orzechów nerkowca i maleńkich, bezcennych szyszeczek sosnowych. Widząc rabunek tych ostatnich Kulfi rzuciła się za małpami z miotłą. One jednak umykały jej z łatwością, podobnie jak nieustraszoną pielgrzymom, którzy sformowali całą armię procarzy pod przewodnictwem Ammadzi, mężnie puszczając w ruch swoją kamienną artylerię; biegali tam i z powrotem pomiędzy drzewami i sami czuli się z lekka na rauszu na skutek podniecenia.

– Nie ruszajcie małp! – wymachiwał rękami pan Chawla, usiłując wyrwać wiernym proce z rąk. – One są niebezpieczne. W tym stanie gotowe rzucić się na was. – Ale w tej chwili nawet on nie był pewien, co właściwie należy robić. Powinien był przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Powinien był stłumić problem w zarodku. Tylko jak?

Kiedy kuchnia im się znudziła, małpy zaczęły drzeć na strzępy gazety, ukradły grzebień Ammadzi i zatknęły go wysoko na gałęzi, połamały szprychy w parasolu Sampatha, podziurawiły go i potargały. Ściągnęły pranie, suszące się na krzewach lantanowych. Gdy Pinky wymachiwała gałęzią: „Wy gnojki! Wracajcie do dżungli, gdzie wasze miejsce!” – one biegały wokół wielkimi susami, obwieszane odzieżą, wlokąc za sobą sari, prześcieradła i halki, drąc tkaninę na strzępy, krasząc wierzchołki drzew niczym farbą wytwornymi strojami Pinky.

Tymczasem większość wyznawców porzuciła proce i wycofała się do stóp wzgórza, przerażona rosnącą gwałtownością langurów, w obawie, że małpy będą ich ścigać, obrabują, a może nawet pogryzą.

Drzewo szamotało się w dzikiej zawierusze gałęzi i liści. Sampathem rzucało wte i wewte, przewracało do góry nogami. Co to jest? Wszystko działo 'się zbyt szybko, by mógł to ogarnąć. Serce skakało mu w górę i w dół, huštało się i tańczyło, myśli wirowały i był pewien, że jeśli puści gałąź, wyleci w powietrze, tracąc równowagę i lądując na ziemi ze wstrząsem mózgu. Ruchliwa, drgająca mgła gęstniała przed jego oczyma.

– Zejdź na dół, Sampath! – krzyczeli wszyscy, ale on przywarł kurczowo do swojego łóżka.

– Jeżeli nie zamierzasz zejść na dół, siedź całkiem nieruchomo! – wrzeszczał jego ojciec. – Nie ruszaj się.

Pochwycony w ten pijacki taniec dzikich twarzy, długich ogonów, sari ścielących się wokół niego żółtymi i fioletowymi serpentynami, czuł, że przelatują mu przez głowę bezużyteczne strzępy myśli, ale wszystko toczy się zbyt szybko, aby je zatrzymać i pochwycić. Mógł skoczyć, ale nie, to byłaby jego zguba. Mógł ciągnąć małpy za ogony; nie, będzie krzyczał. Nie, najlepiej chwyci się mocno...

Na szczęście, zanim ktokolwiek został faktycznie pogryziony lub ranny, małpy oddaliły się w podskokach w stronę uniwersyteckich terenów leśnych, zmęczone hałasem, który czynili ludzie, a może zmęczone sadem. Niosły się na fali swoich dzikich temperamentów coraz dalej w stronę przeciwległego wzgórza, gdzie rodzina mogła zobaczyć, jak kontynuują szturm na Bogu ducha winny krajobraz, niszcząc każde drzewo, wyrrywając każdy krzak, wyladowując swoją energię na wszystkim, co weszło im w drogę, pozostawiając całe połacie lasu spustoszone, niczym po przejściu tornada.

Następnego ranka przed świtem pan Chawla był już na nogach, ubrany, i zdązał najszybciej jak się da w stronę miasta, z czołem pooranym troską. Sprawy zaszły za daleko. W końcu te zwierzęta są nosicielami chorób, takich jak wścieklizna. Coś należało zrobić. Poprzedni zarządca okręgu właśnie wyjechał, a nowy jeszcze się nie pojawił. Nie było naczelnej władzy, której mógłby złożyć wizytę, ale postanowił odwiedzić wszystkie urzędowe osoby, które poza tym przyjdą mu do głowy, aby im uzmysłwić, że ich obowiązkiem jest zrobić coś w związku z tym zakłóceniem spokoju i religijnej atmosfery w Szahkot.

XV

Było około piątej rano, kiedy miejscowy gazeciarz kolportował już tę historię po całym mieście. Ładowała z głośnym klapnięciem na werandach, gankach, pod drzwiami, wpadała przez okna.

Wkrótce potem przejeżdżał na rowerze w pobliżu domu naczelnika wydziału zdrowia, który siedział na werandzie w wiklinowym fotelu, delektując się perspektywą porannej gazety przy filiżance herbaty, której właśnie sobie nalał i która stała teraz przed nim, wonna, parując łagodnie. Gazeciarz był człowiekiem chlubiącym się niezawodną ręką, więc gdy ujrzał naczelnika, siedzącego sobie spokojnie na werandzie, postanowił dostarczyć gazetę prosto do jego stóp. Poleciała niczym pocisk, przecinając ze świstem powietrze i lądując z trzaskiem na tacy z herbatą.

– Jesteś zbyt gorliwy, doprawdy! – krzyknął naczelnik wydziału zdrowia za oddalającą się szybko postacią na rowerze i zasiadł z żalem do codziennych wiadomości bez swojej zwykłej, podnoszącej na duchu filiżanki darjeelingu. – Rama Rama Rama Rama Rama* – mruzczał, czytając o małych wyczynach i pocierał stopy jedna o drugą, aby dodać sobie otuchy w obliczu tak przykrych wieści, – Rama Rama Rama Rama Rama. – Będą kłopoty – myślał, roztrząsając tę kwestię. To zawsze oznaczało kłopoty. To była dokładnie tego rodzaju sprawa, od jakich stan jego wrzodów się pogarszał.

Żył w stanie ciągłej paniki, że stan jego wrzodów się pogorszy, a każdy wszak wie, że nie ma nic gorszego dla wrzodów niż zmartwienia, i to martwiło go jeszcze bardziej. Jęknął i potarł stopy o siebie. Będzie musiał przejść natychmiast na ścisłą dietę ziołową. Ziele kozieradki i sok z cebuli. Ach, nie zniesie tej ilości soku z cebuli, którą musi wypić.

Nie zdążył jeszcze zastanowić się dobrze nad całą sprawą ani zdecydować, jaka będzie najważniejsza reakcja na ten cały raban, kiedy usłyszał pana Chawłę, nadjeżdżającego rowerową riksą, na której dotarł, jadąc z górki, aż tutaj. Siedziba naczelnika wydziału zdrowia była pierwsza po drodze z sadu do Szahkot. Pan naczelnik podniósł wzrok, patrząc zaskoczony, jak riksza, która rozpędziła się na niewielkiej pochyłości od

* Rama – w hinduizmie siódme wcielenie boga Wisznu, bohater Ramajany (przyp. red.).

północnej strony willi, zajeżdża przed werandę z głośnym piskiem hamulców.

Pan Chawla zeskoczył z siedzenia na zwirowany podjazd przed schodami, wiodącymi na werandę, wbiegł po nich na górę i stanął w groźnej postawie naprzeciw urzędnika, nie bacząc na ślady błota, które pozostawił na wypolerowanej, pomalowanej na czerwono podłodze.

– Słyszał pan już wiadomości? – zaczął wykrzykiwać, nie tracąc czasu na uprzejmości. – Małpy zagrażają mojemu synowi. Zagrażają paniom ze zgromadzenia i zakłócają spokój. Niszczą religijną atmosferę całego kompleksu. Muszą zostać bezzwłocznie usunięte.

Ta gwałtowność zaskoczyła naczelnika. Co miał powiedzieć? Przyłapano go w domu, ubranego w piżamę, co było zagraniem nieczystym i rzeczą katastrofalną dla osoby o tak wrażliwej naturze. Najpierw gazeciarz, a teraz ten obłąkany facet. Spojrzał rozpaczliwie na maślanożółte plamy słońca na trawniku, którego większość wciąż tonęła w cieniu. Wydawało mu się rzeczą absurdalną, że, sam chory, jest naczelnikiem wydziału zdrowia.

– Mój szanowny przyjacielu – powiedział w końcu, myśląc o kłopotach, które mogą wyniknąć, jeżeli nie pozostawi się spraw swojemu biegowi – musi pan pamiętać, że od czasu, gdy małpy związane są z naszym ukochanym bogiem Ramą, zwierzęta te darzy się szczególnym, pełnym czci przywiązaniem w naszej tradycji sakralnej. Mają swoich oddanych zwolenników. – Znów rozejrzał się wokół siebie. – Do których i ja się zaliczam – powiedział najbardziej stanowczo, jak potrafił, licząc na to, że pan Chawla sobie pójdzie, a on będzie mógł powrócić myślą do spraw swojego żołądka i wydać służącemu dyspozycje co do soku z cebuli. Ale kiedy pan Chawla otworzył usta, by mówić dalej, naczelnik podniósł słuchawkę telefonu. – Zadzwoń do szefa katedry biologii na uniwersytecie Lady Chatterdzi. Jak panu zapewne wiadomo, Vermadzi jest ekspertem w dziedzinie stosunków pomiędzy ludźmi i langurami i być może będzie miał jakiś pomysł na pokojowe rozwiązanie tej sytuacji. Oczywiście – powiedział po wykręceniu numeru – linia jest jak zawsze zajęta, jeśli w ogóle działa. – Spróbował jeszcze raz.

– Czy to nie ten sam człowiek – spytał pan Chawla – który założył przynęty z pigułkami nasennymi, aby opanować sytuację w Ranchi? Nie schwytali wtedy ani jednej małpy. Te zwierzaki są bardzo cwane. Nauczyły się na bazarze wszelkiego rodzaju sztuczek.

Człowiek, do którego próbowali się dodzwonić, studiował w tym momencie z wielkim zainteresowaniem poranne gazety. „Małpy stwarzają zagrożenie w ustroniu świętego męża. Ostatniej nocy pijane małpy siały dzikie spustoszenie, zmuszając ludzi do ucieczki” – przeczytał, delektując się nienaturalnie.

– Nie ulega wątpliwości, że jeszcze o tym usłyszymy – powiedział do żony, która siedziała przy stole naprzeciw niego. – Wiesz co – ciągnął rozradowany – być może będę miał szansę wypróbować moją nową hipotezę. Jeżeli przywódca grupy zostanie zabity i powieszony na oczach pozostałych małp, niewykluczone, że pójdą w rozsypkę i przepadną w lesie... Oczywiście, mogą też wybrać inną małpę na wodza...

Był wielkim amatorem teorii. Gdy tylko coś zwróciło jego uwagę, niezależnie od tego, czy był to rzeczywisty problem, czy nie, natychmiast tworzył hipotezę, uwzględniając kroki, jakie należy podjąć, oraz ewentualne konsekwencje. Ten rys drażnił niesłychanie jego żonę. Gdy wycierała naczynia, podkradał się z tyłu, obserwując ją z błyszczącymi oczyma. „Wiesz co? – mówił. – Przekonany jestem, że jeśli wyniesiesz naczynia na zewnątrz, to na słońcu jest dość ciepło, aby odparować wodę w tym samym czasie, jaki zużywasz na wycieranie talerzy. Tak więc, o ile hipoteza się potwierdzi, zaoszczędzisz energię i czas”.

A co z energią i czasem, potrzebnymi, żeby wynieść naczynia na zewnątrz i porozkładać je na balkonie? Była wściekła. A może on będzie je wynosił za nią? Wszystkie te teorie, w jej przekonaniu, nic nie były warte. Pamiętała, jak wiele lat wcześniej, podczas tej straszliwej, letniej suszy, wynalazł wentylator, aby przyciągnąć chmury monsunowe do Szahkot. A kiedy ostatnim razem miał do czynienia z problemem małp, musiał uznać swoją całkowitą porażkę. Małpy nie tknęły jedzenia, nafaszerowanego pigułkami nasennymi. Zamiast tego nałykali się ich głodni ulicznicy i natychmiast zapadli w głęboki sen, który w jednym przypadku trwał aż czterdzieści osiem godzin. Wywołało to wielkie poruszenie wśród mieszkańców slumsów... Oczywiście, nawet to fatalne w skutkach zdarzenie nie stępiło gorliwości jej męża. Oto miał już kolejną ideę, która przyniesie kłopoty wielu ludziom i do niczego nie doprowadzi.

– Pójdą w rozsypkę? – powiedziała. – Zamiast tego małpy was najprawdopodobniej zaatakują, a jeżeli nie one, to z pewnością uczynią to czciciele małp ze świątyni Hanumana* i dopiero będziecie się mieli z pyszna – oznajmiła z satysfakcją.

* Hanuman – w „Ramajanie” mądra i odważna małpa, która pomaga Ramie uwolnić żonę spod władzy demona Rawany i odzyskać tron (przyp. red.)

Jego żona ma naprawdę dość niecodzienne, zjadliwe poczucie humoru, pomyślał. Brak jej naukowego przygotowania, ale najwyraźniej nie ma zahamowań, by atakować każdą jego myśl, stosując dziecinne riposty. Oto, jak odwdzięcza mu się za to, że dzieli się z nią swoimi intelektualnymi poszukiwaniami. Z westchnieniem podniósł słuchawkę, aby zadzwonić do naczelnika wydziału zdrowia, który być może mógł mu udzielić szerszych informacji na temat małych wybryków.

Dalszy ciąg porannego zamieszania miał miejsce kawał drogi stamtąd, w lokalnej placówce wojskowej na skraju miasta. Brygadier, który właśnie uporał się z prasą, podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Naczelnik wydziału zdrowia?
- Pomyłka – odparł brygadier.
- Przepraszam – powiedział Verma.

W sekundę później telefon zadzwonił znowu.

– Och, przepraszam – powiedział Verma. – Wie pan, jak połączenia są pokiełbaszone w tym mieście; tylko od czasu do czasu udaje się dodzwonić na właściwy numer. – W kilka minut później: „dzyń, dzyń”.

– Czy pan przestanie do mnie dzwonić? – krzyknął brygadier ze złością.

Brym, brym. „Och, przepraszam pana”.

Brygadier trzasnął słuchawką, wyłączył telefon z gniazdka i wycofał się do łazienki, gdzie usiadł na toalecie w stylu zachodnim, z lornetką w ręku, wypatrując pilnie ptaków, które mogłyby znajdować się w pobliżu tego ranka. Był w nieustannej pogoni, pragnąc powiększyć listę ptaków, których obecność zarejestrował w okolicy. Obserwacja ptaków dawała mu wytchnienie i uspokajała jak nic innego w jego skoszarowanym życiu. Kormorany, czarne bociany, ptaki ryżowe ryżowce, czaple złote, małe dropiowate przepiórki, wilgi, kowaliki o kasztanowatych brzuskach, brodacze i miodowody, papugi o długich ogonach i kozodoje, muchołówki i dudki. Lista ciągnęła się i ciągnęła, ale jego marzeniem było nade wszystko wciągnięcie do rejestru zielonego gołębia – tak, zwykłego zielonego gołębia, który tak długo judził go, niewidzialny, swoim śpiewem. Wszędzie, dokąd się udawał, brygadier zabierał ze sobą dziennik, aby zapisać w nim nazwę każdego ptaka, którego zobaczył, ale większość spostrzeżeń poczynił z okna łazienki, z którego był najlepszy widok: na

dolinę i pobliski szpaler drzew owocowych. „*Treron phoenicoptera phoenicoptera*” – mamrotał pod nosem niczym mantrę.

Ale tego ranka nawet wrona czy wróbel nie zakłóciły nietkniętej polaci nieba. Rozczarowany, opuścił lornetkę i zaczął zamiast tego przyglądać się swoim żołnierzom, odbywającym poranną gimnastykę na placu apelowym. Hop. RazDwaTrzyCztery. Hop. PięćSześćSiedemOsiem. Hop. DziewięćDziesięćJedenaścieDwanaście. To bardzo pięknie – powrócił myślą do porannych wydarzeń – że jego żołnierze skaczą i maszerują, ale jaki pożytek z tej całej dyscypliny?

Lewa, prawa. Lewa, prawa. Spocznij.

Jaka była nadzieja dla armii, gdy system połączeń telefonicznych nie działał i gdy – przypomniał sobie reportaż w gazecie – małpy zasmakowały w alkoholu i zaczęły szerzyć spustoszenie?

Wychylił się z okna, wciąż na siedzeniu toalety, z tubą w rękę, i krzyknął:

– Dwójkami marsz! W podskokach!

Żołnierze, zdając sobie sprawę, że są w zagadkowy sposób obserwowani z jakiegoś wyżej położonego punktu, skakali jak żaby i – zdezorientowani – rozbiegali się we wszystkich niepożądanych kierunkach.

Nieco udobruchany, widząc dzień w jaśniejszych barwach, kiedy pokrzyczał na swoich ludzi, brygadier cofnął się od okna, ażeby wziąć kąpiel. Spojrzał w tabelę, umocowaną pod folią na ścianie obok kranu. Poniedziałek – widniało w tabeli – kark i uszy. Wtorek – między palcami u nóg. Środa – plecy. I tak dalej. Aha, na ten dzień tygodnia przypadało mycie za uszami oraz szyja. Każdego ranka poświęcał uwagę innej kłopotliwej części ciała. W ten sposób w ciągu siedmiu dni każda zmarszczka, każda fałdka, każdy zakamarek, o którym trudno pamiętać, był solidnie wyszorowany, pomimo racjonowania wody. Twarz mył, oczywiście, codziennie.

Ale właśnie, kiedy rozrobił solidną pianę, aby ją sobie zaaplikować, przypomniała mu się wojskowa kantyna z dobrze zaopatrzonym barkiem, gdzie niemal każdego wieczoru raczył się whisky z wodą sodową. Małpy muszą zostać powstrzymane za wszelką cenę!

Wypadł z łazienki z pośpiechem, którego – wiedział o tym – będzie później żałował, włączył z powrotem telefon, aby zadzwonić do

komendanta policji. Odebrał jego zastępcę i warknął: „Wyszedł już na obchód” – co nie było prawdą. Komendantowi nie można było przeszkadzać, bo właśnie w tym momencie glansował sobie buty u pucybuta za posterunkiem.

Wiedząc, że nie ma sensu dzwonić do zarządcy okręgu, gdyż nowy szef nie objął jeszcze swojego stanowiska, brygadier spróbował wobec tego dodzwonić się do wydziału zdrowia, ale zamiast tego połączył się z wypoczywającą w górach gwiazdą filmową, sklepem z artykułami cukierniczymi Malabar, mieszkaniem prywatnym państwa D'Souza i sklepem obuwniczym Patedar.

Sfrustrowany wziął laseczkę i – czując się niewyraźnie za uszami – wsiadł do swojego dżipa, aby złożyć wizytę naczelnikowi wydziału zdrowia. Ten jednak, mimo wyraźnego bólu w boku, przywdział swoją czapeczkę a la Gandhi i wyruszył wraz z panem Chawlą, aby zobaczyć się z Verma z uniwersytetu, aczkolwiek wybrali okreśną drogę, której atutem był piękny widok na góry. Z kolei Verma wyszedł z domu w kierunku uniwersytetu, udając się tam, zgodnie ze swoim zwyczajem, pieszo przez Ogrody Badszah, w towarzystwie przyjaciół – epidemiologa Ponchy i wirusologa Sinhy.

W ten sposób wszyscy się ze wszystkimi rozminęli i problem małpiego zagrożenia nie został, pomimo wszystko, omówiony tego ranka przez przedstawicieli władz.

– Widzicie, coście narobiły – powiedział Sampath, gdy w jakiś czas potem małpy pojawiły się znów w sadzie.

Ich czarne oblicza, wyzierające spośród zdewastowanego listowia, miały skruszony wyraz. Trzymając się za głowy, z wypisaną na twarzach kwintesencją bólu i udręki, siedziały, opierając się bezwładnie o te gałęzie, które nie zostały przetrącone i nie zwisały niczym bezużyteczne członki inwalidów wojennych.

– Tak, jesteście bardzo niedobre – powiedział Sampath. Ale nie mógł się oprzeć się ich urokowi, ulegając mu za każdym razem, gdy je widział, niczym czuły ojciec, usiłujący okazać swoją dezaprobatę. – Jasne, że wam niedobrze po tym wszystkim. Mnie też jest trochę niedobrze. – Przebaczył im całkowicie. Nie potrafił się gniewać na swoje urocze małpy. To nie była

ich wina. Winni byli ci, co pędzili wysokoprocentowy napój, który zrobił z langurów alkoholików.

Czkając i postępując, małpy przeżywały coś, co było najprawdopodobniej połączeniem niestrawności i paskudnego bólu głowy.

XVI

W rodzinnym domu przy bazarze chłopiec z Super Smaku siedział w pokoju, piastując swoje ucho, które nie rwało już i nie bolało, ale było przyozdobione małymi ściegami, przypominającymi o tym nader dziwnym dniu jego życia, kiedy Pinky Chawla ugryzła go bez widocznego powodu. Od tego czasu serce tak mu się tłukło w piersi, że nie zdobył się jak dotąd na odwagę, aby wyjść z domu.

– Biedak – mówiła, cmokając językami, jego rodzina, dwanaście kobiet i trzech mężczyzn; siedzieli w pokoju na dole i spoglądali w górę, gdzie, dokładnie po drugiej stronie sufitu, chłopiec siedział przy oknie, obmacując godziną po godzinie swoje ucho, – Naprawdę najadł się strachu. Ta zwariowana dziewczyna! – mówili. – Lepiej niech posiedzi jeszcze w domu i odpocznie. Nigdy nie był zbyt silny.

Dni mijały. Myśl o Pinky Chawla wciąż krążyła mu po głowie niby ryba po akwarium. Nie mógł się jej pozbyć ze świadomości. Pamiętał te czarne oczy, te czerwone, pełne determinacji usta, unoszące się pośród wzdętych, falujących grochów... Ta determinacja na twarzy! Przerazające!

Najwyraźniej nie wykazał się zbyt dużym męstwem, otarłszy się po raz pierwszy na tym świecie o jawne niebezpieczeństwo. I, jak się ostatecznie okazało, przecucia go niestety w tej sprawie nie omyliły, bo gdy on siedział, leżąc łązy, zamknięty w domu, jego prześladowczym obmyślała kolejny zamach na niego.

– Gdy deszcz wypełni dziury w ziemi – mówił Sampath do Pinky, która siedziała posepnie pod drzewem – robakowi nie pozostaje nic innego, jak wyjść na zewnątrz.

Starał się, jak mógł, powiedzieć coś, co byłoby zarówno pomocne, jak i do przyjęcia dla jego siostry, chociaż jego samego przepelniał niepokój o los langurów i – jeśli już o to idzie – jego własny los. Dotarły już do niego oczywiście pierwsze przebąkiwania o nowoczesnych pustelniach i monsunowych deszczach i widział wyraźnie, ku czemu to wszystko zmierza. A teraz, kiedy małpy narozrabiały tak bardzo, nie miał pojęcia, co go czeka. Pustelnie z betonu! Phi! Prawdziwy pustelnik mieszka na drzewie albo na skale, w grocie albo w jamie.

Spojrzał w dół, na cienie, które rzucało na trawę poranne słońce: na swoją własną postać z jej zwariowanym oprzyrządowaniem – przekrzywionym łóżkiem i wystrzępionym, sponiewieranym przez mały parasolem, na cienie otaczających go małych z długimi, zwisającymi ogonami. Wreszcie spokojne, ciche i z pełnymi brzuchami, były w jednym ze swoich najsympatyczniejszych nastrojów. Przyglądały mu się, poziewując, w doskonałej, pogodnej komitywie. Pomyślał, że nigdy nie będzie się w stanie ich wyrzec. Wszystko, co przyjemne, znikłoby z jego życia: zabawy, przekomarzania, ich krnąbrność, tupet i bezwstydy urok...

Popatrzył na drzewo, które było mu tak dobrym domem. Na jego gładkie, grube gałęzie barwy srebrzystego brązu, rozciągające szeroko i daleko swoje węzłaste, poskręcane kształty, i na delikatne, rozłożyste kępki liści. Jak ważne stało się dla niego to wszystko. Tutaj, siedząc nie za wysoko i nie za nisko, po raz pierwszy zobaczył świat z absolutną wyrazistością, gdy dni wyłaniały się, jak gdyby oczyszczone, z nieskazitelnej, połyskliwej czerni nocy. Światło słoneczne, które docierało o świcie poprzez liście, ruchliwe i rozmigotane, by ogrzać korę swoim ognistym oddechem, padało tu i ówdzie na Sampatha, traktując go nie jak ciało stałe, którym był, lecz rozbijając go na drobiny niczym wodę... Czuł się tutaj nieważki, kołysany przez to migotliwe światło, wśród chlupotu przelewającej się trawy i kwiatów, liści soczystych niczym owoce, wydzielających pod wpływem ciepła swoje różnorakie wonie. Wokół niego wzgórza wznosiły się ciemnym masywem w niebo, które rozciągało się, niczym morze, ciepłe i przetykane bielą jak okiem sięgnąć.

W jak dziwny stan go to wprawia, myślał Sampath, jak dziwne jest jego przeżywanie piękna. Łaknął go, łaknął nienasycenie. Mógł patrzeć na nie bez ustanku i nie był w stanie w pełni go oddać... Z początku wpatrywał się usilnie, obserwował wszystko wokół siebie z gwałtownym pragnieniem, by wziąć to i odbić w swoim wnętrzu, każdy szczegół, każde poruszenie. Wpatrywał się, aż dreszcz go przebiegał, aż to obcowanie z czymś, w co nie był w stanie uwierzyć, a co leżało tuż przed jego oczyma, brało go w swoje jarzmo. Zamykał oczy, aby się przekonać, czy istotnie weszło to w niego, jak miał nadzieję – chcąc zobaczyć, czy widniejący przed nim krajobraz da się odtworzyć na zawołanie w jego wnętrzu.

Ale wciąż na nowo otwierał oczy, by się przekonać, że nie – obraz w jego głowie nie jest w stanie oddać tego, co leży na zewnątrz. Wystarczyło, że się odwrócił, aby wszystko to pierzchło, jak nocne sny ustępują niczym fale, nie pozostawiając nic po sobie, gdy się budzisz. Nie był w stanie tego

posiąść. Gdyby to coś sięgnęło po niego i wzięło go w swoje posiadanie! Jeśli pozostanie tu dostatecznie długo, w zasięgu tych obrazów i dźwięków, czyż nie wejdzie to w niego, tak jak krajobraz wkracza we wszystko, co żyje w jego obrębie? Czyż las nie zstąpi odrobinę niżej i nie wchłonie go w swój gąszcz, pozostawiając rodzinę i wiernych, szukających bezskutecznie ścieżki, by za nim podążać? Myślał o tym, jak leśna armia chwastów wciąż atakuje trawiastą przestrzeń sadu, o tym, jak życie owadów, ptaków i małych przeplata się z jego życiem. O tym, że wiatr i deszcz ściera skałę i wygładza kamień, że spokój łagodnego zbocza może zadomowić się w oku, jeżeli stoi się dostatecznie długo, dostatecznie cicho; że krajobraz daje wytchnienie wszystkiemu, co ogarnia.

Odgłosy powrotu pana Chawli z miasta przerwały jego rozmyślenia. Widząc twarz ojca, twarz człowieka owładniętego misją, poirytowanego, gniewnego, ale pełnego determinacji, Sampath był pewny, że należy się spodziewać dalszych kłopotów. I wiedział z dotychczasowego doświadczenia, że kiedy człowiek lęka się czegoś tak bardzo, to często się to spełnia. Biedne małpy, pomyślał. Biedne, biedne małpy... I ja sam biedny, biedny... Co teraz będzie?

Na dole Pinky szukała pióra i papieru, aby napisać liścik. Chociaż cieszyła się, że ugryzła chłopca z Super Smaku, była niepokieszona, że wydawało się to oznaczać koniec ich długoletniej znajomości. Znaliśmy się od dzieciństwa, myślała. Nie jest miło rozstać się nagle z powodu jednego głupstwa. Kiedy była małą dziewczynką, kupowała lody u ojca Super Smaka, któremu towarzyszył wówczas mały Super Smak. Później, kiedy chłopiec sam przejął interes, nadal była stałą klientką ich rodzinnej furgonetki. Pomyślała o tym, co Sampath mówił o robakach, zmuszonych do wyjścia na zewnątrz przez ulewne deszcze, i podniosło ją to na duchu. Nie ulega wątpliwości, że jeśli będzie go bombardować monitami na swój temat, kołatać do jego życia na wszelkie możliwe sposoby, zasypie go korespondencją, nie będzie miał wielkiego wyboru, jak wynurzyć się i stawić jej czoło.

Włożyła wszystkie siły w zredagowanie notatki, którą postanowiła mu doręczyć. Po kilku przeróbkach brzmiało to tak: *Przykro mi, że ugryzłam cię w ucho. Ale stało się to wyłącznie z przywiązania. Zrozum, proszę, że twój widok nappełnił moje serce wielkim uczuciem, które nieszczęśliwie znalazło sobie niewłaściwe ujście. Łączę życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.*

Była dość dumna ze swojej powściągliwości i pełnej prostoty elokwencji. Dała upust swoim uczuciom, aczkolwiek w opanowanej, rozsądnej i kulturalnej formie. Niewątpliwie osiągnęła nowy szczebel rozwoju, nowe apogeum dojrzałości. Miała nadzieję, że to przekona chłopca z Super Smaku o jej zdrowym rozsądku i trzeźwym umyśle i utworze drogę dla wielu dalszych liścików i spotkań. Z kawałkiem papieru w kieszeni wyruszyła do miasta.

Przyjechała pod jego dom, nadal spokojna i pełna mądrości Sampatha. Chociaż mężczyźni byli w pracy, chłopiec znajdował się pod ścisłym nadzorem należących do rodziny kobiet. Wszystkie usadowiły się przed drzwiami domu, susząc włosy na słońcu po cotygodniowym myciu głowy mydłem orzechowym. Na oko była to miła, leniwa, rodzinna scena. Przekomarzały się i malowały sobie nawzajem paznokcie, podając z rąk do rąk półmisek owoców guawy z chilli i solą, ale Pinky zdawała sobie sprawę, że gdyby ją dostrzeżono i zidentyfikowano, kobiety te przemieniłyby się w szerzącą postrach armię. Pomimo własnych godnych pochwały umiejętności, gdy idzie o wojnę na całego, nie byłaby w stanie obronić się przed tak wielką liczbą, gdyby zostały wyprowadzone z równowagi.

Wśliznęła się w boczną uliczkę. Czy nic tu nie wiadano o planowaniu rodziny? O wiele za dużo jest tu kobiet, pomyślała z niesmakiem, przedostając się pomiędzy stosami śmiecia i odpadków na tyły domu, aby sprawdzić, czy nie uda się jej wypatrzeć chłopca z Super Smaku. A tam – życie jest piękne! – zobaczyła jego wymizerowaną twarz, wyglądającą z okna łazienki.

I znowu jej duch pochwycony został w szaleńczy taniec derwisza, a jej spokój, tak niewzruszony przed chwilą, ulotnił się jak dym. Raz jeszcze opanowała ją ta sama przemożna siła, która porwała ją w swój wściekły galop, kiedy zobaczyła go ostatnio na bazarze. Nie potrafiąc się oprzeć, wiedząc, że musi szybko coś zrobić, podniosła kamień i – czując, że nerwy grają jej nie wiedzieć jakim uczuciem – przymocowała kartkę do kamienia wyjętą z włosów elastyczną opaską, i rzuciła go, nadzwyczaj celnie, prosto w chłopca z Super Smaku, który siedział smętnie, pochłonięty obserwacją skrawka pustego nieba ponad dachami.

Nie spostrzegł nawet jej obecności w bocznej uliczce i – odskakując przed pociskiem, który nadleciał znikąd i trafił go prosto w szczękę – zatoczył się do tyłu, strącając przy tym stojącą na parapecie butelkę z olejkami do włosów. Osunął się na wiadro, stojące do góry dnem pod ścianą. Kiedy dotarło do niego, że nie jest martwy, i kiedy znikła czarna

płachta, która pojawiła mu się przed oczami, niczym zapowiedź rychłego końca, podniósł pocisk, który zadał mu ten bolesny cios. Dygocząc, odczytał załączony do niego liścik.

W godzinę później wciąż siedział otumaniony na wiadrze, dumając nad dziwnymi drogami miłości. Czy to jest miłość? – zastanawiał się. Jak to możliwe? Czy to perwersja, deformacja rzeczywistego uczucia? Sztuczka?

Dobijając się do drzwi, jego najmłodsza siostra wołała:

– Hej, wychodź stamtąd! Co ty tam robisz? Wychodź! Pospiesz się. Potrzebujemy olejku. – Teraz, kiedy włosy im już wyschły, została wysłana przez jedenaście pozostałych pań, którym pilno było namaścić sobie głowy wonnym olejkiem, zanim przystąpią do czasochłonnej i skrupulatnej czynności zaplatania ich i układania w pukle i koki.

Ach, ale czy to była miłość?

Do najmniejszej siostry dołączyło kilka starszych. W końcu zdołały otworzyć drzwi, łamiąc cienki haczyk, na który były zamknięte, i odnalazły swojego brata, wciąż skulonego pod zapleśniałą ścianą, ale, chociaż szukały i szukały, nigdzie nie mogły znaleźć butelki z olejkiem do włosów.

– Co zrobiłeś z olejkiem do włosów? – pytały chłopca, którego pięknie namaszczone i pachnące loki zdradzały, że był ostatnim użytkownikiem tego produktu. Były okropnie rozzłoszczone. Widok jego spuchniętej szczęki w jakiś sposób zirytował je jeszcze bardziej. Na pewno pośliznął się w kąpielni i upadł. Ich żaloszny braciszek, który zgubił olejek do włosów, który wciąż obrywał, albo sam robił sobie krzywdę. Z początku były cierpliwie i pełne zrozumienia, ale są ostatecznie jakieś granice, a jego ciągłe próby wzbudzenia ich współczucia zaczynały być męczące!

– Ooo, naprawdę zaczynasz już nam działać na nerwy – mówiły, dokonując szybkiego zwrotu uczuć.

– Czas otrząsnąć się z tego wszystkiego – powiedziała matka. – Gdzie twój kręgosłup? Weź się wreszcie w garść.

Ale chłopiec z Super Smaku, nie mogąc się nadziwić miłości, patrzył na wskroś ich poirytowanych twarzy. Pachnąc olejkiem, myślał nadal o Pinky Chawla, która również oddawała się rozmyśleniom o nim, wdychając aromat z butelki, którą złapała, stojąc pod oknem.

Następnego dnia znalazła się w uliczce na tyłach domu dokładnie o tej samej porze i – ujrawszy znów chłopca z Super Smaku – gdyż była to jego stała pora kąpieli – rzuciła mu różę. Tym razem chłopiec, z dygoczącym sercem, poddał się tajemniczemu przymusowi, który wzbierał w jego wnętrzu, i rzucił w odpowiedzi siatkę do włosów swojej matki. To zdarzenie było ważnym punktem zwrotnym w ich stosunkach: początkiem wzajemnego zaangażowania, serii gorączkowych wymian, które odbywały się niemal codziennie. Pinky kręciła się w pobliżu jego domu z jakimś drobiazgiem od serca w kieszeni, a chłopiec z Super Smaku czekał przy oknie od łazienki. W miarę jak dni mijały, udało im się wymienić w ten sposób najróżniejszego rodzaju butelki, cukierki toffi, inne słodczyce, chusteczki do nosa i nocną bieliznę. A także grzebień, szczotkę do zębów, szpatułkę do ucha, kostkę mydła, owoc granatu, kilka fotografii i ręcznik.

Siostry i ciotki chłopca z Super Smaku, zmuszone dobijać się teraz regularnie do drzwi łazienki i wołać: „Co ty tam robisz?“, zorientowały się dość szybko, że coś jest zdecydowanie nie tak. Z łazienki wszystko zniknęło. Czy był w takiej depresji i tak zgnębiony, że spędzał całe godziny, spuszczać różne rzeczy z wodą w ubikacji? Ale odpływ nie byłby w stanie przyjąć takiej obfitości darów, no i gdzie jest jego koszula w egzotyczne wzory, której nikt nie mógł znaleźć?

Kiedy prawda wyszła na jaw, bo jedna z sióstr zauważyła, jak Super Smak rzuca przez okno halkę matki swojej dawnej napastniczce, rodzina oszalała ze zgrzyoty. Najwyraźniej jego równowaga psychiczna została zachwiana. Jakby pod działaniem niebezpiecznego uroku, jego lęk przed Pinky wynaturzył się jakimś sposobem w nienasycone uczucie.

– Uważaj – ostrzegaly go. – Wyślemy cię do wujka w Dubaju, jeżeli dalej będziesz się zachowywał w ten sposób. Ożenimy cię natychmiast.

Skoligacenie się z Pinky byłoby końcem ich dobrej sławy. Wypytyjąc dyskretnie, dowiedzieli się, co się stało z rodziną dziadka Pinky po kądzieli, kiedy matka Kulfi rzuciła na niego swój urok. Był to upadek porządnej rodziny. I mówiono, że wszystko zaczęło się w taki sam sposób. Natychmiast przeprowadzili rozeznanie na temat dziewcząt z normalnych, konkretnych, zwyczajnych rodzin. Kogo obchodził taniec, gotowanie i wysokie IQ? Wszystko, czego chcieli, to zrównowazona, trzeźwa dziewczyna. Szeptali ludziom, pełniącym rolę czujek, że gotowi są do negocjacji nawet w kwestii posagu. Tak bardzo byli przejęci.

Wysłali też wiadomość do pana Chawli: *Prosimy, żeby Pańska córka nie zauracała głowy naszemu synowi*

Pan Chawła zaatakował Pinky:

– O co tu chodzi? Zawsze się skarżysz, że ludzie za tobą chodzą, a teraz wychodzi szydło z worka – to ty sama depczesz innym po piętach. Tak to wygląda – powiedział. – Nie będziesz się zadawać z lodziarzami. Sklepikarze! Tak naprawdę nawet nie sklepikarze. Przekupnie od wózka z lodami. Dobre imię naszej rodziny zostałoby pogrzebane. Powinnaś patrzeć wyżej od siebie, nie niżej. – Z jakąż zgrozą przyjąłby wiadomość, że, rodzina lodziarzy robiła takie same uwagi na temat jego rodziny. Zarządził, że Ammadzi ma towarzyszyć Pinky podczas jej wyjazdów do miasta. Był zdecydowanie zbyt zajęty innymi sprawami, żeby mieć ją na oku.

Jednak Ammadzi niezbyt odpowiadała rola przyzwoitki. Z początku starała się jak mogła nadażyć za Pinky i nawet przywdziała na tę okazję specjalne obuwie gimnastyczne. Jednak, pomimo tych zabiegów, Pinky kroczyła daleko w przodzie.

– Nie leć tak szybko – błagała Ammadzi. – Czy chcesz prześcignąć dżipa maruti? Jestem za stara na takie rzeczy. Popatrz, twój brat siedzi spokojnie. Żadnego ganiań tam i z powrotem – dyszała. W końcu, po trzech kwadransach, dała za wygraną i usiadła, żeby odpocząć. Ku zadowoleniu Pinky, od tego czasu, podczas każdej wyprawy do miasta zasiadała przed sklepem z artykułami zbożowymi, gawędząc z innymi, zaglądającymi tam starszymi paniami, i czekając, aż jej wnuczka wróci, skąd tylko miała ochotę. Potem razem łapały autobus powrotny i prezentowały zgodny front przed panem Chawłą.

Tak więc kobiety z Super Smaku zmuszone były strzec swojego chłopca jeszcze pilniej niż przedtem, wypatrując nieustannie Pinky, która czyniła podchody do ich syna. Ścigały ją – wszystkie dwanaście – z kijami w rękach, gdy tylko ją spostrzegły. Wiedziały przecież, że nie mogą iść z tym na policję. Wystarczy popatrzeć, co stało się owego dnia, kiedy Pinky ugryzła chłopaka. Ta dziewczyna była przebiegłą intrygantką, prawdziwą czarownicą. Trzymały wartę w oknach. Umieściły stałą obserwatorkę w uliczce na tyłach domu. Wszystkie siostry i ciotki były zatrudnione przy pilnowaniu. Dobrze się składało, że było ich tak wiele. Zawsze poręcznie mieć dużą rodzinę, nawet jeśli są to głównie dziewczęta.

Pinky zmuszona była wycofać się na rozwścieczająco bezsilną pozycję i spędziła kilka dni we łzach, dopóki nie wpadła – tak jest – na pradawny koncept z przekupieniem mleczarza, który zaczął nosić liściki tam i z powrotem. W ten cudownie praktyczny sposób Super Smak i Pinky wiedli dalej swój romans, wprawiając rodziny w zdumienie swoim świetnym

humorem w sytuacji, która, jak innym się zdawało, nie miała w sobie nic zabawnego.

XVII

Sprawy wyglądały coraz gorzej i mieszkańcy Szahkot przeważnie mieli w tych dniach nie najlepszy humor. Sampath, stroskany i przygaszony, próbował napisać wiersz.

W swoim smutku przypominał sobie jedyny dzień w szkole misyjnej, kiedy brat Jan miał z nimi lekcję literatury. Brat Jan został zwolniony po tygodniu za szczypanie sprzątaczkę w pośladek. Ale chociaż odszedł w niesławie, ze splamioną reputacją, Sampath pamiętał go jako istotę pełną piękna, dzięki której przeżył w szkole swoją jedyną chwilę natchnienia. Kiedy Sampath folgował sobie, zanurzając jeden palec po drugim w kałamarzu z atramentem, uwagę jego przykuły niespodziewanie słowa, które brat Jan odczytywał na głos z niewielkiego tomiku trzymanego w ręku.

– Poezja – mówił brat Jan – rodzi się z cierpienia i przeciwności losu.
– Po czym wyrecytował: – Przez cały ranek wołali cię do domu – w taki sposób, że Sampath dostał gęsiej skórki. – Dziesięcioro krewnych, którym trzeba gotować, a ty jesteś dziewczynką. Ich głosy rozbrzmiewają echem w gęstym mroku, ale nie, nie odpowiadaj. Zostań tu, na tym brzegu. Bo cóż oni wiedzą o błysku złotej płetwy, wznoszącej się do światła w przezroczystej wodzie?

Sampath bardzo współczuł dziewczynce z dziesięciorgiem krewnych. „Cóż oni wiedzą o błysku złotej płetwy?” – powtarzał, drżąc na całym ciele. Nigdy więcej, przez cały czas spędzony w tej strasznej instytucji, nie był tak poruszony jak wtedy.

Teraz sam próbował coś ułożyć.

– Ale nie, nie odpowiadaj – powiedział na głos. – Zostań tu, na tym drzewie. Bo cóż oni wiedzą o... o... – O czym? – Cóż oni wiedzą o... o słońcu? Cóż oni wiedzą o moim drzewie? O małpiej kwestii? – Nie, to nie brzmiało dobrze. – Cóż oni wiedzą o... o szarym osle, idącym na targ? – Nie, to też nie był dobry wers. – Cóż oni wiedzą o... – O mój Boże! Próbował przywołać jakieś myśli, godne tego, by umieścić je w wierszu. Myślał o tym, że Księżyc krąży wokół Ziemi i że zima następuje po porze monsunowej. O tym, że lata mijają, pozostawiając wspomnienia i że przyszłość jest nieznana. Ze człowiek potrafi mówić, a zwierzęta nie, i że

ludzie mówią wieloma językami i nie potrafią się nawzajem zrozumieć. Ale choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł się zdobyć na coś, co wydawałoby się głębokie albo nadawało się do umieszczenia w jego wierszu. I co gorsza, myśli wciąż zakłócała mu przytłaczająca troska o to, co będzie z nim i z jego życiem w sadzie. Cóż oni wiedzą...

– Co ty wiesz? – Pochylił głowę, zwracając się do czerwonej mrówki. – Co? – Uniósł ręce w stronę papug. – Czy wszystko będzie dobrze? – rzucił głośnie pytanie w obojętne powietrze.

Mrówka umknęła, a ptaki go zignorowały. A on sam co wiedział? Ach, czuł się zirytowany. Nie powinien był nawet zaczynać. „Co ty wiesz... Co ty wiesz...” Wszedł na drzewo po to, żeby rozjaśnić swój umysł, nie po to, żeby go zaćmić. Unicestwiał swoje własne ambicje.

W tym stanie rzeczy tylko ci, którzy potrafili zamknąć się w swoim własnym świecie i nie zwracać uwagi na toczące się batalie, mogli spać w nocy spokojnie. Do tych nielicznych szczęśliwców należała Kulfi, matka samego Małpiego Baby, której udało się odsunąć na bok całą tę wrzawę wokół langurów, jak gdyby stanowiła jedynie drobną uciążliwość, związaną z koniecznością trzymania zapasów w zamknięciu, zamiast na wolnym powietrzu, i przegonienia od czasu do czasu małp za pomocą miotły. Zaprzątnięta własnymi myślami, do których nic innego nie wydawało się przenikać, kroczyła dalej drogą, po której wiodło ją życie.

Szpieg podążał za nią uparcie. Jak dotąd jego badania nie doprowadziły do niczego i zaczynał się zastanawiać, czy coś w jego psychice nie wyskoczyło z zawiasów. Był przerażony tym, jak wiele miejsca w jego głowie zajmują nauki Sampatha. Od czasu swojego lapsusu na spotkaniu Stowarzyszenia Ateistów obawiał się wpływu Sampatha, a im bardziej się obawiał, tym więcej odkrywał tekstów Sampatha, splecionych nierozzerwalnie z własnymi myślami. „Nie wojuj z córką sprzedawcy słodyczy”. Pojawiało mu się to w głowie wbrew woli w najróżniejszych typach niespodziewanych sytuacjach. „Nie pluj na syna lekarza”. „Czemu mówić, że trzasło, kiedy ciągle masz masło”. „Nie mów, że lubisz arbuzy, kiedy ktoś daje ci dynię”. „Po co zjadać co nieco, a oszczędzać byle co”. „Każda śliwka ma swój początek. Każdy gruszkę swój koniec”. Z taką zawartością umysłu stwierdzał, że trudno mu podążać właściwą sobie drogą racjonalnego myślenia.

Chciano go uwieść, uświadomił sobie w błysku przerażenia. Chciano zrobić mu pranie mózgu, używając brzękliwych hasełek i słodkich reklamowych pień. Spędził w tym sadzie zdecydowanie zbyt wiele czasu. Faktycznie, jeśli miał być szczery, odkrył, że jest mu tu dobrze.

Jego przerażenie wzrosło w dwójnasób, gdy tylko to sobie uświadomił. Lepiej rozwiązać tę sprawę jak najszybciej i wydostać się co prędzej z tego sadu.

Zachowując, jak miał nadzieję, nie budzący podejrzeń dystans, szpieg starał się nie stracić z oczu Kulfi, która raz szła noga za nogą, a innym razem gnała w górę zbocza, przejmując się wytyczoną ścieżką nie bardziej niż pszczoła.

Kulfi zaczynała być nieco znużona tym, co znajdowała w lesie. Szukała pod skałą, przy drzewie tulipanowym, wzdłuż strumienia. Potrzebuje nowego składnika, myślała, wciągając powietrze – czegoś świeżego i podniecającego, co zainspiruje ją do nowego wynalazku, do nieodkrytej potrawy. Popatrzyła w niebo.

Przyrzadziła już gołębia i wróbla, dzięcioła, dudka, srokę, dzierzbę, wilgę, himalajskiego słowika, papugę... Ugotowała wiewiórkę, jeżozwierza, mangustę, wszelkie dzikie ptactwo, jakie tylko można było znaleźć w tych stronach, małe rybki ze strumienia, ślimaki o krągłych muszlach, które pokrywały liście płataniną srebrnych nitek, świerszcze, które wyskakiwały w powietrze, lądując w listowiu z głośnym, przypominającym krople deszczu bębnieniem.

Pilnie szukała nowej rośliny, nowej jagody, nowego grzyba lub porostu, huby czy kwiatu, ale wszystko wokół niej wyglądało znajomo i nudno. Żadne nowe zapachy nie ożywiały powietrza i Kulfi wędrowała wciąż dalej i dalej. Wędrując tak, zaczęła snuć sny na jawie.

Wyobrażała sobie, że jest nadworną kucharką w wielkim królestwie. Tam, w jakimś starym mieście portowym, bezwzględni myśliwi, szaleńczy łowcy przygód, flotylle okrętów i całe armie były do jej usług, w pogotowiu na każdy jej rozkaz, każde skinienie. Siedząc w ogromnej kuchni przed potężnym globusem, składała władcym tonem swoje zamówienia, posyłała po korzenie zza wielu mórz, spoza łańcuchów górskich i pustyń, leżących za horyzontem, po przyprawy, które istniały tylko w fantastycznych opowieściach żeglarzy i wróżbitów. Posyłała po to wszystko i po rośliny, które rosły na wyspach nie większych niż pyłek na oceanie lub na górskich szczytach, nie tkniętych ludzką stopą. Nakazywała obracać w ruinę królestwa, plądrować i grabić składy i pola. Zamawiała tygrysie mięso i niedźwiedzia, syberyjską gęś i czarnego kozła. Żółwie lądowe i morskie, żmije afrykańskie i foki. Pancerniki, antylopy, zebry i

wieloryby. Żądała słoń, hipopotamów, jaków i żurawi, lemurów i... małp!
Ach, ugotować małpę!

Pomiędzy bambusy, obok żółtozielonego gaju bananowego, przez pokrzywy, aż na szczyt wzgórza. Sponiewierany i wykończony, szpieg dał spokój usiłowaniom, by za nią nadażyć i wdrapał się na drzewo, skąd miał nadzieję prowadzić dalszą obserwację. Ale, oczywiście, natychmiast stracił ją z oczu, gdy znikła mu za jakimś skalnym załomem.

XVIII

Bynajmniej nie zniechęcone publicznym potępieniem, z jakim spotkała się ich pijacka orgia, małpy demonstrowały gorliwie, że nie był to odosobniony przypadek, który łatwo może zostać puszczony w niepamięć, lecz przeciwnie – całkiem nowy styl życia.

Ammadzi ścigała je od świtu do zmroku, wspomagana przez swój batalion, rozproszony po sadzie – każdy zaopatrzony w dzienną rację kamieni i procę jej własnego wyrobu, sporządzoną z patyków i dętek, wydobytych ze starych opon. Gdziekolwiek się spojrzało, ktoś biegał pomiędzy drzewami, strzelając kamieniami, jak gdyby brał udział w jakichś prehistorycznych manewrach. Ale małpy otrząsały się tylko, przekonawszy się, że kamienie nie czynią im krzywdy, natomiast wierni często bywali poszkodowani, gdy odrzucony kamień trafiał kogoś w twarz.

Poza sadem i bazarem małpy upodobały sobie drzewa przy drodze wiodącej na targ, gdzie czekały, zaczepiając ludzi wracających z bazaru do domu, w nadziei, że znajdą butelkę grogu czy nawet rumu. Pozostawiając swoje ofiary wśród walających się jabłek, paluszków, olejku postman i Bóg raczy wiedzieć jakich jeszcze towarów, oddalały się wielkimi susami, nie przejmując się dokonany zniszczeniem, zadowolone, gdy im się powiodło, ale bacznie wypatrujące nowych ofiar, jeśli wyszły z pustymi rękami. Niebezpieczne stało się chodzenie tamtędy w pojedynkę i okoliczni mieszkańcy organizowali specjalne grupy, aby chodzić razem po sprawunki. Okna i drzwi trzymali zamknięte, odmawiając modlitwy, gdy małpy łomotały z gromkim trzaskiem po ich blaszanych dachach. Starali się sami nigdy nie przebywać na otwartej przestrzeni. Pomimo tych środków ostrożności w prywatnym ogrodzie zdarzył się przykry incydent, gdy dwaj młodzi ludzie, studenci, oblewający pomyślny wynik egzaminów, zostali pogryzieni i zabrani do szpitala ze śladami małpich zębów na rękach.

„Pokąsanie przez małpę może być równie niebezpieczne, jak ugryzienie kobry, gdyż zwierzęta te często bywają nosicielami wścieklizny, która, oczywiście, może być równie groźna dla życia, jak jad węża. Wścieklizna jest jedną z najgroźniejszych chorób, jaką człowiek może się zarazić. Występuje częściej latem niż w porze deszczowej...” We właściwym

sobie dramatycznym tonie doktor Banerdži opublikował następnego dnia w gazecie całostronicowy artykuł na temat pokasania przez małpy.

Natychmiast podniósł się rejwach. Jęcząc w trwodze o własne bezpieczeństwo, naczelnik wydziału zdrowia usiłował stanąć na wysokości zadania i wydał oświadczenie, stwierdzające, że jak dotąd problem wścieklizny się nie pojawił i w żadnym wypadku nie należy dawać posłuchu siewcom paniki i elementom aspołecznym. Władze nie ustają w wysiłkach nad wypracowaniem praktycznego rozwiązania tego delikatnego problemu.

Wówczas, jak gdyby pragnąc zniweczyć jakikolwiek uspokajający efekt tych zapewnień, świątynia Hanumana skorzystała z okazji, by oficjalnie włączyć się w całą awanturę, formułując własne wojownicze oświadczenie, w którym wyrażono oburzenie z powodu gorszącego traktowania małp. Najwyraźniej maczały w tym palce czynniki zdecydowane podkopać wielkie tradycje hinduizmu, twierdzili. Jeżeli zajdzie potrzeba, gotowi są poświęcić życie dla dobra wiary.

Czytając ten tekst, komendant policji, brygadier i wszyscy politycy na miłą wokół zadrżeli w świeżym przypiływie paniki, uświadamiając sobie, że stoi przed nimi poważny problem, najpaskudniejszej, religijnej kategorii.

- Niektóre owoce należy jeść razem ze skórą – mówił Sampath.
- Jeżeli nie możesz znaleźć samochodu, musisz się obejść się bez niego.
- Jeżeli nie możesz znaleźć butelki rumu, nie wypijesz butelki rumu.
- Jeżeli twoja cioteczka znajdzie grudkę srebra, może śmiało tę grudkę srebra zatrzymać.
- Jeżeli twój dwuletni syn źle się zachowuje, nie pomyślisz, żeby wymienić go na innego. Nie, poczekasz raczej, aż zacznie się zachowywać lepiej.

Ale zdawał sobie sprawę, że traci do tego serce, i że tak naprawdę nikt nie zwraca już uwagi na jego słowa.

Pod jego drzewem uformowały się dwa zagorzałe obozy wiernych: jedni, nieprzejednani, domagali się usunięcia małp w obronie Małpiego Baby i świętej atmosfery jego pustelni, drugich rozwścieczał zamiar takiego poniżenia tych świętych zwierząt i wyrzucenia ich z ich

prawowitego domu. Linie frontu zostały wytyczone i każdy, nawet mający niewiele wspólnego z całym sporem, czuł się w obowiązku włączyć się i zabrać głos. Sampath jako taki został zapomniany w ogniu walki, chociaż walczące frakcje przerzucały się tam i z powrotem jego imieniem niczym piłeczkę pingpongową. Dosłownie opluwając się nawzajem, ledwie trzymając na wodzy swoje oburzenie, gniew i niepokój, toczyli bój od momentu, gdy ich wpuszczano pod drzewo Sampatha, do chwili, gdy czas odwiedzin mijał.

– Jak można prosić, żeby małpy sobie stąd sobie poszły? – pytała panna Jyotsna każdą napotkaną osobę, lojalnie popierając punkt widzenia Sampatha.

– Nikt nie będzie ich prosił, paniusiu. Zostaną stąd wykopane bez prośzenia o cokolwiek – powiedział jakiś wulgarny człowiek.

Ale mnóstwo ludzi pospieszyło jej w sukurs.

– Jak pan może tak mówić? Wstydu pan nie ma.

– Och, bzdury – powiedział szpieg, który był w tych dniach w fatalnym nastroju. – Oczywiście, że należy się pozbyć tych małp. Ze wszystkiego robią śmietnik.

Ludzie nie wierzyli własnym uszom.

– Słyszeliście, co on powiedział? – pytali jeden drugiego. „Bzdury, pozbyć się, śmietnik...”

Panna Jyotsna odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Dwulicowiec! Przychodził do sadu codziennie, deklarując swoje przywiązanie do Małpiego Baby, zapisując wszystko, co ten powiedział, a teraz twierdzi coś, co może jedynie sprawić mu ból. Jeżeli małpy zostaną usunięte, nie będą nawet mogli nazywać Małpiego Baby tym imieniem.

– Zdrajca – powiedziała, i, ku zdumieniu wszystkich, z Sampathem na czele, łagodna panna Jyotsna, zagryzając swoje małe, krągłe usta, zamachnęła się na szpiega torebką i zadała mu cios w brzuch, po którym zmuszony był wycofać się natychmiast i złapać riksę w kierunku domu.

– O! – powiedziały Pinky i Ammadzi z podziwem. Może ta dziewczyna ma jednak coś w sobie. Było to coś zupełnie nowego po całym tym sentymentalnym wyśpiewywaniu pod drzewem. Ale musiały trzymać stronę pana Chawli, który, ku rozpaczy panny Jyotsny, mówił mniej więcej to samo, co szpieg, przedkładając, że może się to skończyć dla Baby pokaleczeniem i zarażeniem wścieklizną. Na to panna Jyotsna nie znalazła

odpowiedzi, więc zalała się łzami. Wyglądało na to, że nie da się rozwiązać tego problemu.

Sampath był kompletnie wyczerpany tymi dyskusjami, jak gdyby jego samego pochwycono i ciągnięto we wszystkie strony, jak gdyby go zdeptano i zbito na kwaśne jabłko. Tak, jeśli nawet bywał zmęczony, równie często porywała go taka wściekłość, że ledwie był w stanie się powstrzymać, aby nie skakać i nie rzucać przedmiotami, nie wrzeszczeć na głos i nie wybuchać płaczem. Gdzieś w dołku zagnieździło mu się straszne przeczucie, a jego głowę zdawała się spowijać nieprzenikniona mgła. „Szszzsz” – próbował uspokajać sam siebie. „Szszzsz” – odzywał się wiatr wokół niego. Sampathowi zdawało się, że wiatr podziela jego troski, że ucisza go i uspokaja. Próbował poddać się tej łagodności, tej ciszy, temu chłodnemu dotykowi, który przesuwiał się, niby czuła ręka, po jego czole, policzkach, po całym ciele.

Wierni udali się w drogę powrotną do Szahkot, tylko po to, aby dalej wieść tam swój spór. Ich podniesione głosy brzęczały ponad doliną, unosiły się z ulicznych herbaciarni, balkonów i rogów ulic.

W każdym domu, w każdym publicznym miejscu odbywały się zebrania i wiece protestacyjne. Zebrania na szczeblu krajowym i lokalnym, o charakterze religijnym i świeckim. Przy poparciu Stowarzyszenia Obrony Krów zostało utworzone nowe Stowarzyszenie Obrony Małp. Zastępy członków Stowarzyszenia Ateistów mieszały się niepostrzeżenie z tłumem. Wydawało się, że każde biuro, każda rodzina jest w tej sprawie podzielona. W interesach zapanował niemal kompletny zastój, gdyż klienci i sklepikarze nie chcieli kupować jeden u drugiego. „Nie wyobrażaj sobie, że będę kupował w twoim sklepie, ty ośle!” „Skąd ci przyszło do głowy, że ci cokolwiek sprzedam, ty świński synu?” Komendant policji spędzał całe dni, biegając tu i tam z kijem, próbując przerwać toczące się wszędzie zacięte walki. Nie było już w spokoju w Szahkot.

XIX

Tymczasem, pośród całego tego zamieszania, Verma z uniwersytetu pracował usilnie nad swoim planem. Po wielu przemyśleniach i wertowaniu pożółkłych kart naukowej dokumentacji, ostatecznie naszkicował propozycję, która obejmowała skomplikowaną procedurę uśmiercenia kinowej małpy i wywieszenia jej zwłok, wskutek czego, jak Verma zakładał, całe stado pójdzie w rozsypkę. Rozproszy się, ot, tak po prostu, zniknie spokojnie w lesie, przyłączając się do innych małp, żyjących gdzieś daleko stąd. Był to piękny plan i Verma dostarczył go osobiście do domu naczelnika wydziału zdrowia, gdyż w końcu to on był odpowiedzialny za wszystkie sprawy zdrowotne w Szahkot. Jemu, rzecz jasna, podlegało wszystko, co dotyczyło tak zwierzęcych, jak i ludzkich zwłok i ich eksponowania. Sklepy mięsne, place kremacji, prace laboratoryjne, musiały przede wszystkim uzyskać pieczęć jego aprobaty. Verma wysłał też kserokopie swojego planu zarządcy okręgu, który wciąż był oczekiwany na swoim stanowisku, komendantowi policji i innym stronom, które mogły, jego zdaniem, być zainteresowane (jak np. „Hinduski Biuletyn Naukowy”, w którym często publikowano artykuły jego kolegów).

Nie pokazał jednak planu swojej żonie, i chociaż ta odnosiła się z pogardą do jego koncepcji, ten rodzaj odwetu z jego strony rozwścieczył ją w dwojnasób. Zaczęła snuć plany separacji z mężem. W końcu nie żyją w wiekach ciemnoty, myślała. W ich własnym mieście był mężczyzna, którego opuściła żona, i inny, który opuścił żonę, a nawet człowiek, który mieszkał z kochanką, chociaż nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego, bo była zupełnie nijaka.

Brygadier również wykoncypował plan. Siedząc w swojej łazience i czekając bezskutecznie na nieuchwytnego zielonego gołębia, doznał naglego olśnienia; przeprowadzi operację, która przyniesie mu chlubę i nauczy jego ludzi, co to naprawdę znaczy być wojskowym. Każde nadzwyczajne i bezpośrednie zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa leżało w jego gestii. Potraktuje cały ten bałagan jako szansę, a niejako kłopot. *Moglibyśmy – sugerował w pisemnym raporcie – zorganizować oddział strzelców, liczący pięćdziesięciu do stu ludzi, którzy, rozproszeni po zaroślach, dawaliby ognia co dwadzieścia do czterdziestu minut w celu odstraszenia małp.*

Jeżeli będziemy konsekwentni, małpy z pewnością się wystraszą i znikną stąd na zawsze. I wysłał wojskowy personel w wojskowych dżipach, aby dostarczyć plan zarządcy okręgu, którego przyjazdu sekretarz spodziewał się lada chwila – jeśli nie najbliższym ekspresem z Delhi, to następnym. Kopie zostały przesłane komendantowi policji i naczelnikowi wydziału zdrowia.

Plan nie dotarł do naczelnika wydziału zdrowia, który siedział, rozgorączkowany, za zamkniętymi drzwiami, w stanie zaawansowanej hipochondrii. Pijąc litrami sok z cebuli, ignorując uporczywy dzwonek telefonu, kreślił drżącą ręką swój własny projekt zaprowadzenia spokoju w Szahkot. Będziecie może zdumieni, że człowiek tak zatroskany o własne zdrowie był w stanie zwrócić uwagę na sprawy tak odległe jak ten problem, ale miał w tym swój interes. Jeżeli mu się powiedzie, myślał z błyskiem nadziei, z pewnością zostanie nagrodzony awansem. A awans oznaczał przeniesienie z Szahkot. O, jakże pragnął się wynieść z tej niezdrowej okolicy w jakieś zaciszne, spokojne miejsce. Może gdzieś w nadmorskie rejony Indii, bo słyszał, że ludzie w Kerali są wyjątkowo kulturalni i rozgarnięci. I niewątpliwie sąsiedztwo oceanu działałoby na niego kojąco.

W elegancko sformułowanych zdaniach, co było jednym z jego największych atutów, wyłożył swój plan, który sprowadzał się do odebrania wszystkim sklepom i restauracjom koncesji na sprzedaż napojów alkoholowych i wprowadzenia zakazu spożycia alkoholu w Szahkot. Co za wspaniały plan! Myślał o nim, leżąc nocą bezsennie na spiętrzonych poduszkach. Co mogło być korzystniejsze dla zdrowia publicznego? I trudno o lepszy sposób rozwiązania całego problemu. Za jednym potężnym zamachem dokonałby dwóch chwalebnych czynów. Niewykluczone, że postawiłoby to również tamę biciu żon, który to problem wymykał się ostatnio nieco spod kontroli. W takim wypadku mógłby zapisać na swoim koncie trzy... tak, trzy... zwycięstwa! A osobiście nie miał nic do stracenia, gdyż był ścisłym abstynentem.

Odbite przez kalkę kopie jego planu zostały dostarczone państwowym dżipem na dworzec kolejowy, w oczekiwaniu na wciąż spodziewany przyjazd zarządcy okręgu.

Jedynie komendant policji nie zaproponował, jak widzimy, żadnego planu, gdyż nie myślał o dalszym rozwoju swojej kariery. Nie. Nie chciał

awansu dokładnie z tego samego powodu, z jakiego pragnął go naczelnik wydziału zdrowia: oznaczałoby to przeniesienie z Szahkot, a on lubił Szahkot. Lubiał bazar i uliczną herbaciarnię, lubiał swoją żonę o łobuzerskich oczach i wszystkich swoich przyjaciół. Przyszło mu do głowy, że, faktycznie, mógłby zostać w związku z tym wszystkim zdegradowany... To nie byłoby takie złe... Oznaczałoby to jeszcze więcej czasu na wałęsanie się po bazarze, na pogawędki z serdecznymi kumplami. Więcej czasu, aby przesiadywać z żoną w miejskich ogrodach, jeżdżąc golguppę i łaskocząc ją kwiatkami, zerwanymi z klombów, opatrzonych napisem: „Nie zrywać kwiatów”.

Tak więc komendant policji nie przyłączył się do pozostałych, gdy ci pojechali do Sampatha po błogosławieństwo dla swoich planów. Pierwszym, który postanowił się tam udać, był naczelnik wydziału zdrowia. Jak tylko brygadier usłyszał o zamierzonej wizycie od służącego, który spostrzegł naczelnika wydziału zdrowia, zmierzającego w kierunku sadu, również wskoczył do swojego dżipa. Po drodze spotkał Ponchę i Sinchę, przyjaciół Vermy, którzy namówili utyskującego Verme, aby przyłączył się do tego orszaku na swoim motorowerze. Tak więc wszyscy dotarli do Sampatha w półgodzinnych odstępach, każdy w asyście tłumy wzburzonych mieszkańców. Szum podniósł się mianowicie, gdy świeżo opracowane plany dotarły na skutek przecieków do uszu szerokiej publiczności – jak to zwykle bywa, przez kierowców służbowych i wojskowych jeepów, a także przez żonę Vermy, która, wstyd doprawdy powiedzieć, szperała w jego prywatnych papierach.

Sampath spędził rano, przeglądając kolekcję, którą zgromadził w starej blaszanej puszcze wkrótce po przybyciu do sadu. Wciąż czując lekki zamęt w głowie i żołądku, położył się, niczym inwalida, próbując znieść samego siebie tym, co kiedyś stanowiło jego wielką obsesję. Do owej puszeki powędrowały najróżniejsze rzeczy: czerwony pajak o aksamitnym grzbiecie, wysoka, smukła torebka nasienna, wypełniona nasionami, przypominającymi arkusze pergaminu; pomarańczowa kulka żywicy, węzowa skórka, kawałek kości, różnokolorowe pióra, miękki, jedwabisty puszek bawełny, włochata pelerynka ćmy, fragment kielicha kwiatu, liść, zaatakowany przez grzyb, upstrzony błękitnymi piegami... Teraz, choć wiele z tych rzeczy zbladło i rozpadło się, Sampath rozłożył wokół siebie co tylko się dało ze swojej kolekcji, układając najcenniejsze okazy na własnych nogach, gdzie odcinały się pięknie na tle skóry.

Mniej więcej po miesiącu przebywania w sadzie doszedł do wniosku, że kolekcjonerstwo ma sens jedynie wtedy, kiedy żyje się z dala od tego, co się gromadzi, nie, gdy wie dzie się egzystencję pośrodku upragnionej obfitości, nie wówczas, gdy wszystko, co się kocha, przez cały czas rośnie i pełza wokół ciebie. Zresztą, jak można coś gromadzić, jeżeli cały czas pragnie się, żeby to właśnie wchłonęło ciebie. Mimo wszystko odczuwał nostalgię, zaglądając do swojej puszki.

W tym momencie usłyszał zgiełk tłumu demonstrantów, którzy towarzyszyli Vermie i przedstawicielom władz.

– Babadzi – krzyczeli naczelnik wydziału zdrowia, brygadier i Verma, ale żaden z nich nie był w stanie się wypowiedzieć z powodu mnóstwa towarzyszących im i zagłuszających ich osób. Strzępy informacji, wykrzykiwane na cały głos, przeinaczone i nieskładne, docierały do Sampatha, którego oszołomiony umysł nie byłby w stanie dopatrzeć się w nich sensu, nawet gdyby wypowiadali się jasno i prosto. Jakże nienawidził, gdy mu przeszkadzano, kiedy był skupiony na czymś tak interesującym, jak dawno zapomniana zawartość puszki!

„Alkohol”, „kinowa małpa”, „strzelby”, „zakaz”, „wypłoszyć”, „na zawsze”, „bezpieczeństwo twojej czcigodnej osoby”... Ślina tryskała im ze szpetnie wykrzywionych ust. Im głośniejsze się zachowywali, w tym większą popadali histerię. Sampath dostrzegał w ich oczach nieznany sobie wyraz. Miał on swoje źródło w uczuciach, których nigdy nie stwierdził u siebie; a często zdarzyło mu się biegać do lustra, aby zaobserwować, jak różne emocje odbijają się na jego twarzy. Nie uważał tej metody za całkiem skuteczną, gdyż był przekonany, że jego twarz zmienia się zawsze przed lustrem na skutek samokontroli. Mimo to był pewien, że nie jest zdolny do takich uczuć, silniejszych niż ludzie, których brały w swoje posiadanie. Co to było? To coś istniało niezależnie od człowieka i wszystkiego, do czego człowiek byłby zdolny w pojedynkę. Miotali się pod wpływem tej potężnej siły.

Sampath uświadomił sobie, że on sam może zabierać głos publicznie tylko wtedy, gdy czuje się szczęśliwy – smutek i strach zamykają mu usta. Zresztą i tak nie wiedziałby, co powiedzieć... Nie był w stanie myśleć i jak mógłby im odpowiedzieć, skoro nie rozumiał, co mówią. Nie rozumiał, nie rozu... Nie... W tym momencie odniósł wrażenie, że słyszy jedną ze swoich własnych sentencji, wykrzykiwanych w swoim kierunku. Coś na temat słońca i banana. „Uciekaj, kiedy słoń ma ochotę na twojego banana”. Albo: „Zjedz bułkę, kiedy słoń chce twojego banana”. Ale nie, na pewno nie. Te

słowa nie przypominały niczego, co mógł powiedzieć. Brzmiały niczym salwy, raziły go jak pociski. Jak oskarżenie. Ale on nie był winien. Nie, nie, nie mógł zrozumieć... Wiedział tylko, że to nic dobrego dla niego, dla małą, dla sadu, ptaków i owadów... nawet dla trawy, którą tak bezmyślnie tratowano. Sampath potarł płatek geranium o wargę, plamiąc ją czerwienią. Zrolował kwiat, rozcierając go na policzkach, aż zabarwiły się na kolor warg. Zagrzechotał strąkiem tamaryndy wyjętym z puszki i zjadł jedno nasionko. Zjadł też kawałek zasuszonej paproci, po czym w nerwowym odruchu połknął dotknięty chorobą liść i zaczął żuć kość. Czuł palącą wściekłość, a równocześnie był bliski płaczu. Przebiegały go dreszcze. Ci ludzie go tratowali. Napastowali go, przywłaszczali go sobie, zanieczyszczali powietrze wokół niego. Kalali go swoimi brudnymi myślami. Jak mogli przynieść do niego swoje okropne myśli i idee? I jak śmieli? Wykorzystywali go do swoich własnych celów. Było mu niedobrze.

Zalewając się kwasem, jego żołądek zbuntował się i eksplodował straszliwą niestrawnością, jak gdyby pełen był rojących się węży, jadowitych i syczących w wulkanicznym żarze.

Sampath przechylił się poza krawędź łóżka i z wymiotował. Wymioty paliły go jak kwas, pozostawiając jego wnętrze skorodowane i puste. Tylko czarna jama straszliwego przeczucia, które towarzyszyło mu w ciągu ostatnich kilku tygodni, pozostała nienaruszona.

Kiedy pan Chawla zmusił w końcu przybyłych do odejścia, wycofali się nie w spokoju, nie zawstydzeni, ale wykrzykując jeszcze głośniejsze – twierdząc, że niestrawności Baby winien jest każdy, kto zajmuje w sporze stanowisko przeciwne.

Sampath wspominał uniesienie, które towarzyszyło mu podczas pierwszych dni w sadzie. To było jak romans: jakże on wtedy kwitł i promieniał, jakaż radość i rozbawienie odbijały się na jego twarzy. Wspominał, oglądając swoją kolekcję, jak spędzał całe godziny, oplatając się naszyjnikami z nanizanych strąków. Jak zakładał sobie kwiaty za uszy, wysysając ich nektar. Rozpruwał strąki zębami i rozwierał paczki kwiatów, odsłaniając ich różowe parasole. Im więcej czasu spędzał na tych zajęciach, tym bardziej go pochłaniały. Łaskotał swoją piętę ostrą jak brzytwa krawędzią dzikiej trawy, pocierał stopy o kawałek kory, aż ogarniała go ta sama ekstaza, która ogarnia kota, ocierającego się o pień drzewa. Ścisnął w dłoni lepka wydzielinę krzewów, rozcinał lodygi, których sok wypływał niczym mleko, zabarwiając bielą jego nogi. Postukiwał w pylniki ciężkie od pyłku, aż ich obfity, żółty ładunek osypywał mu się na

palce, i rozcierał sobie tę pylistą obfitość na powiekach... Powrócił myślą do wydarzeń tego popołudnia.

XX

W taką właśnie napiętą atmosferę wkroczył nowy zarządca okręgu, kiedy długo oczekiwany ekspres z Delhi wreszcie nadjechał. Gdy tylko wysiadł z pociągu, okazało się, że jest otoczony i poganiany przez kilku posłańców o marsowych obliczach oraz sekretarza. Podsuwali mu najróżniejsze plany i propozycje w sprawie, w którą, Bóg raczy wiedzieć czemu, nie został wprowadzony przed swoim przyjazdem.

– Przepraszam, panie zarządco. Próbowałem – mówił sekretarz – ale linie telefoniczne nie działają, a usługi pocztowe i telegraficzne znajdują się w gestii mojego byłego szefa, który nie wpuści mnie na swój teren, a nie chcieliśmy niepokoić żadnego z przedstawicieli wyższych władz, gdyż lepiej, jeśli sami uporamy się z tą sytuacją... W przeciwnym razie cała odpowiedzialność spadnie na nas i od razu będzie pan miał plamę w życiorysie... Ale to nic nie szkodzi, przynajmniej miał pan miłą, spokojną podróż, zamiast się martwić... Mam rację? – Rozjaśnił się i uwieńczył oszołomionego przedstawiciela władz przyniesioną przez siebie girlandą z nagietków, chociaż kwiaty były nieco sfatygowane po długim oczekiwaniu na stacji.

Przybysz był cichym mężczyzną, stanowczym wprawdzie, gdy idzie o zasady, ale bardzo nieśmiałym, dopiero co zainstalowanym w służbie publicznej, chudziutkim i słabowitym z wyglądu. Zaproponowano mu miasto Szahkot jako pierwszą placówkę właśnie dlatego, że nie wiązało się to ze zbytnią odpowiedzialnością. Chciano wprowadzić go łagodnie, gdyż, bądź co bądź, jego ojciec był wpływową postacią w hinduskiej administracji. Jakaż radość zapanowała w rodzinie, gdy jej kolejny przedstawiciel trafił do służby publicznej! Po krótkich wakacjach dla uczczenia tej nowiny, został wysłany na swoją placówkę z trzydziestoma pięcioma słojami weków, sporządzonych osobiście przez matkę – ilością wystarczającą, aby przetrwać dwa pełne lata służby! Miał nadzieję, że zajędzie spokojnie do domu w towarzystwie kucharza i kierowcy, rozpakuje się, rozejrzy... a teraz... Plama w życiorysie? Po co się martwić na zapas?

Jak wam się wydaje, kim był ów sekretarz, z którego ust płynął ów potok wymowy, udzielający wszystkich tych znakomitych rad? Był nim pan Gupta, znany nam z czasów urzędu pocztowego! Samotny i

opuszczony – niemal zupełnie – przez pannę Jyotsna, nieszczęśliwy, że nie ma się do kogo odezwać, jeśli nie liczyć szorstkiego, małowównego człowieka, który został przyjęty na miejsce Sampatha, złożył podanie i otrzymał posadę sekretarza zarządcy okręgu. Nareszcie czuł, że znajduje się w centrum wydarzeń – bardziej, prawdę mówiąc, niż kiedykolwiek w swoim życiu. Humor mu się znacznie poprawił. Rzecz jasna, cieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby znalazł tam kobietę, z którą mógłby flirtować, i był rozczarowany, że zarządca okręgu jest kawalerem, ale dzięki temu zajęciu miał nadzieję zbliżyć się ponownie do panny Joytsna...

– Odstawię pana do pańskiej nowej siedziby. Osobiście wydałem dyspozycje odnośnie do posiłku. Kucharz pozostał tutaj po radzy i chciał przyrządzić dla pana kotlety i sos karmelowy na deser. Powiedziałem: „Nic z tego. Nie po to pozbywaliśmy się Brytyjczyków, aby dalej jeść kotlety i słodki sos”. Będzie pan musiał być z nim bardzo stanowczy. Wpadł w fatalny humor, ale zarządziłem, że ma zrobić pulao jarzynowe i baraninę w sosie curry. Pewien jestem, że wciąż jeszcze siedzi, nadaśany, na swoim stołeczku. Aha, a kiedy pan się posili, złożmy najlepiej wizytę Małpiemu Babie. Trzeba to zrobić, inaczej będzie to źle widziane. Takie są oczekiwania.

Po drodze, huśtając się i podskakując w służbowym dżipie, zarządca okręgu usiłował przeczytać wręczone mu pisma. Nie mógł pojąć, o co w tym wszystkim chodzi... ależ ten jego sekretarz miał dar wymowy! Nie był w stanie myśleć wśród gadaniny tego człowieka. Zaledwie kilka dni wcześniej spędzał błogie wakacje w Mussoorie, a teraz siedział po uszy w najgorszej tragedii, jaką mógł sobie wyobrazić przedstawiciel władz.

– Te małpy to paskudna sprawa, proszę pana – powiedział pan Gupta; starał się usilnie robić wrażenie zmartwionego, a mimo to wyglądał na bardzo zadowolonego.

XXI

Podczas pierwszego spotkania po przyjeździe, które zarządca okręgu odbył z brygadierem, urządzili manifestację członkowie Stowarzyszenia Obrony Małp. Przerażony zarządca patrzył z okna na potężny tłum, który wydawał się rosnać, ilekroć nowy przybysz się odwracał, by znów nań spojrzeć.

Poprzedniego wieczoru został zawieszony do sadu do Sampatha. Rzecz jasna, jemu również towarzyszyli ci, których pan Gupta określił jako „awanturniczą hałastę”. Przez chwilę spoglądał nieśmiało na Sampatha, a Sampath na niego. Każdy z nich czuł się dziwnie odsłonięty i bezbronny wobec tego drugiego. Żaden nie odezwał się ani słowem, gdy wszyscy pozostali zaczęli po raz kolejny wyluszczać swoje racje. Potem Sampath odwrócił się tyłem na swoim łóżku, twarzą w stronę liści i tak już pozostał, bojąc się doświadczyć raz jeszcze tych samych cierpień, co kilka dni wcześniej.

A dziś, kto wie, co się wydarzy podczas tego spotkania...

– Proszę się nie martwić – szepnął pan Gupta, który przybył na miejsce na tyle wcześnie, że zdążył jeszcze pomóc zarządcy zagrzać wodę na kąpiel za pomocą prowizorycznej grzałki, wykonanej ze spirali, nawiniętej na drewniany kij. – Jestem tutaj, żeby służyć panu pierwszorzędną radą – dodał, uśmiechając się uspokajająco. Lubił swojego nowego szefa znacznie bardziej niż małego naczelnika z urzędu pocztowego.

Brygadier usadowił się naprzeciwko zarządcy i pana Gupty. Pilno mu było przedstawić im swój sprytny plan. Jednak ledwie otworzył usta, przez okno dobiegły głośnie okrzyki tłumy. Jak miał mówić, otoczony zgrają tych wiejskich cymbałów?

– Co za wojskowych mamy w tym kraju? – wołały gniewne głosy. – Armia jest pełna idiotów. Salwa z broni palnej co godzinę! Nie pozwolimy na to. Żadnej broni w świętym miejscu, żadnej broni w świętym miejscu, żadnej broni w świętym miejscu...

– Czy wy nawet... – wyjąkał zacinając się brygadier. – Niepiśmienne osły!

– Nie przystaniemy na to – przerwała mu sroga niewiasta ze Stowarzyszenia Obrony Małp i wetknęła swoją chudą twarz do pokoju. – Nie, nie ma mowy. Absolutnie, pod żadnym pozorem na to nie przystaniemy.

– Naprawdę – szepnął pan Gupta do ucha zarządcy okręgu – to niemądry plan. – Rozproszyc żołnierzy w zaroślach, tak tam jest powiedziane. Ale w jakich zaroślach, proszę pana? Ciągłe tamtędy przechodzą setki ludzi. Bardziej to przypomina jarmark niż zarośla. Pociski z pewnością trafią jak nie tę, to inną osobę.

– Co w takim razie proponujecie? – Brygadier, zły na nich wszystkich, stracił panowanie nad sobą. – Dlaczego sami czegoś nie wymyślicie? Dlaczego nie wystapicie z własną propozycją, co?

– Należy zbadać możliwość rozwiązań pokojowych – odezwał się jakiś głos.

– Na przykład? – zapytał brygadier zimno i czekał. Nad tłumem zaległa cisza.

– Negocjacje – powiedziała po chwili dama ze Stowarzyszenia Obrony Małp.

– Ohoho! – zawołał brygadier z triumfem i pogardą. – Niech pani spróbuje negocjacji z małpą, cioteczko. – Powaga protestu została nieco podkopana, gdy komizm obrazu srogiej obrończyni małp, negocjującej z tymi stworzeniami, zaczął docierać do zgromadzonych. W tłumie oponentów rozległy się dość nieprzystojne chichoty.

Zarządca okręgu patrzył zdumiony. Jak mogą się śmiać? A przed chwilą wykrzykiwali gniewne pogróżki...

Bez wątpienia znalazł się w bardzo niezwykłym miejscu, pomyślał. Ale ten plan był nie do przyjęcia. Jego zwierzchnik z pewnością by się o tym dowiedział, a wtedy, w razie jakichkolwiek ofiar... Musi zdecydowanie powiedzieć „nie”.

– Proszę nie mieć mi za złe, że to mówię – powiedział do brygadiera – ale nie wydaje mi się, aby to było najroztropniejsze posunięcie...

Nieco później spotkali się z naczelnikiem wydziału zdrowia, odprowadzanym przez tłum rozjuszonych sklepikarzy i przedsiębiorców, którzy spędzili całą noc, skandując hasła pod jego domem. Blady i zdyszany, wyskoczył z samochodu i wpadł do biura, osłaniany przez komendanta policji, który po raz kolejny zmuszony był spełnić ten służbowy obowiązek.

– Wpłynęły protesty od właścicieli wszystkich sklepów – mówił pan Gupta, wprowadzając pokrótce w temat zarządcę okręgu. – Nie zgadzają się na odebranie im koncesji na sprzedaż alkoholu, a mieszkańcy okolicznych miast ostrzegają, że jeśli odbierzemy koncesje u siebie, małpy po prostu przeniosą się gdzie indziej i nadal będą stanowić problem w tamtej okolicy. I mają rację, proszę pana. Te małpy mogą nawet wyuczyć swoich sztuczek małpie komuny z innych miast, jeżeli zostaną stąd wyrzucone. I wówczas będziemy mieli cały stan pijanych małp. Zna pan porzekadło: „Jedno zepsute jabłko psuje pozostałe”. W tym przypadku moglibyśmy powiedzieć: „Jedna zepsuta małpa psuje pozostałe”.

– Ale, proszę pana – zawołał ktoś z tłumu, zainspirowany dowcipnym powiedzonkiem pana Gupty – czy rzeczywiście można nauczyć starą małpę nowych sztuczek?

– Będziemy mieli dosyć kłopotów z młodymi małpami, czy stare będą się uczyć, czy nie – powiedział ktoś inny.

– Tak, tak – zgodził się pan Gupta. – W tym przypadku można by powiedzieć: „Wystaw głowę w czasie wojny, a oberwiesz po głowie”. – Z przyjemnością popisywał się sentencjami, których nauczył się od Małpiego Baby, szczególnie odkąd zauważył w tłumie pełną podziwu twarz panny Jyotsna. W istocie zdumiewało go, że mówi coś takiego i – jakimś sposobem, bez zastanawiania się – wyraża dokładnie to, co ma na myśli. Wyobraził sobie, że jest sam z panną Jyotsna w księżycową noc. „Żeby zrobić śmietanę, trzeba wstrząsnąć mlekiem”.

Zarządca okręgu zaczął mimo woli chichotać. Czuł się zdumiewająco swobodnie.

– Nie wiem – zwrócił się do naczelnika wydziału zdrowia – czy to odebranie koncesji na sprzedaż alkoholu byłoby najlepszym pomysłem...

Naczelnik wydziału zdrowia był wstrząśnięty przyjęciem, z jakim spotkał się jego plan.

– Skoro to jest odpowiedź, jakiej mi się udziela – powiedział urażonym i pełnym godności tonem – najlepiej będzie, jeżeli wrócę do siebie. Mam następne spotkanie.

– Z tym naukowcem? – spytał pan Gupta zaciekawiony, a słysząc, że tak właśnie jest, odwrócił się do swojego szefa. – Lepiej też się tam udajmy. On również, jak pan może pamiętać, ma propozycję pozbycia się małp. Jeżeli naczelnik wydziału zdrowia ją przyjmie, zostanie przedłożona

panu. – Nie miał zamiaru odmawiać sobie przyjemności i pozwalać, żeby zabawa toczyła się gdzie indziej bez jego udziału.

Tak więc wszyscy trzej, w asyście demonstrantów, wyruszyli do biura naczelnika wydziału zdrowia. Po drodze tłum nabrał animuszu, chociaż ludzie byli już na nogach od dłuższego czasu, i znów zaczęto hałaśliwie wykrzykiwać hasła.

– Powlecz usta miodem, a będziesz miał pełno much! – krzyczeli. – Sprzątaj pod własnymi drzwiami. Odpowiedzi leżą obok pytań. Dużo pikli daje mikle. Każda fasola ma czarne znamię. Zbierać oset i chcieć pikli? Pokaż komplet czystych zębów.

– Słyszeliście? – spytał zaintrygowany zarządca okręgu, gubiąc watek. – Dużo pikli daje mikle... Co to takiego mikle? Gupto drogi, to miasto jest pełne porzekadeł, których nigdy przedtem nie słyszałem.

– Kiedy bawoły walczą, plony cierpią – ciągnął dalej tłum. – Ciężka to zima, gdy psy jedzą psy. Każdy kogut walczy najlepiej na własnej kupie gnoju. Nie dmuchaj pod wiatr. Mówić o kredzie, a słyszeć o serze!

– Mówić o kredzie... a słyszeć o serze? Bardzo dziwne. Skąd ten ser? – Zarządca okręgu złapał się na tym, że jest bardzo zaciekawiony. Miał ochotę zatrzymać się, aby zapytać ich o znaczenie tego wszystkiego, co mówią. – Słyszeć o serze...

Czekając na ich przybycie Verma skosztował soku z cebuli ze szklanceczki, którą znalazł przed sobą na biurku, biorąc go w pierwszej chwili za sok cytrynowy. Pociągnął łyk i natychmiast pobiegł do okna, żeby go wypluć. Opróżnił szklanekę do reszty na suchy klomb.

– Okropny sok – powiedział, krzywiąc się na widok wchodzącego naczelnika wydziału zdrowia. – Dlaczego nie pije pan zamiast tego soku z pomarańczy? Albo ananasa?

Ludzie ze świątyni walili do drzwi.

– Co za grubianin – pomyślał urzędnik, patrząc na pustą szklanekę. Najpierw wypija mu cały sok z cebuli, a potem ma jeszcze czelność go krytykować. Po pierwsze, dlaczego go wypił? Natychmiast zdecydował, że nie zaaprobuje planu Vermy. To bzdurny plan i dlaczego miałby go przyjąć, skoro jego własny plan został odrzucony tak kategorycznie? Nikt nie miał względów dla niego i on nie będzie miał względów dla Vermy.

– Nie ma mowy – powiedział.

– Dlaczego, co ma pan przeciwko sokowi z ananasa? Jest bardzo smaczny – odparł stropiony Verma.

– Mam na myśli pański plan! – krzyknął naczelnik wydziału zdrowia ze złością. (Och, teraz z pewnością dostanie kolejnego wrzodu na tle stresu, pomyślał w nagłym przypiływie paniki).

– Ależ to prosty plan – przekonywał Verma – to logiczne i naukowe podejście do czegoś, co koniec końców stanowi naukowy problem wzajemnych stosunków między człowiekiem i langurami, problem uzależnienia małp od alkoholu. Dlaczego nie może zostać zaakceptowany?

– Dlatego, że jest głupi – odezwał się pan Gupta, chociaż nie do niego tu należało zabierać głos. – Wyniknie z tego smród i pogwałcenie zasad higieny, i to w dodatku w świętym miejscu. I niewątpliwie problem much jeszcze się zaostrzy.

– Zmuszeni jesteśmy kategorycznie odrzucić pańską prośbę – oświadczył naczelnik.

– Tak jest – potwierdził zarządca, wciąż myśląc o porzekadłach. Ale kiedy pod koniec dnia uświadomili sobie, że nie dysponują żadnym wykonalnym planem, wracali do domu cokolwiek przy gaszeni.

Komendant policji przyniósł zarządcy okręgu wiadomość, że małpy dokonały kolejnego najścia, rewidując kredensy emerytowanego sędziego okręgu. Zabrały pięć butelek whisky i umknęły galopem, zanim służba zdążyła się połapać, co się stało.

Zarządca okręgu wrócił do swojej willi i usiadł strapiiony. Oto śmiał się dzisiaj, jak zdarzało mu się to jedynie w towarzystwie najbliższego przyjaciela – jego nieśmiałość jakimś cudem się tego dnia ulotniła – ale problem pozostał nie rozwiązany. Nie może zapominać o swoich obowiązkach. Obracał sprawę w myślach, lecz nie przychodziło mu do głowy nic, co by go podniosło na duchu. Kiedy kucharz podał kolację – gdyż był już dość późny wieczór – ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie. Czując, jak serce w nim zamiera, ujrzał, że jego posiłek składa się ze sterty kotletów, przypalonych, sądząc z wyglądu, podanych na najbrudniejszym talerzu, jaki kiedykolwiek widział. Akurat tam, gdzie powinien się znajdować szlaczek w kwiatki czy może w paski, talerz poznaczony był odciskami brudnych palców. Kucharz trzasnął nim bezceremonialnie, stawiając go przed zarządcą, po czym odwrócił się i wyszedł, nie patrząc na chlebobawcę.

Ludzie ze sfer rządzących nie umieli już przyzwoicie zjeść. Kucharza przepelniała gorycz. Nie mogąc podać kotletów pierwszego dnia, postanowił z niezachwianą determinacją zrobić je następnego wieczoru. Robił kotlety zapamiętałe, całą stertę, i cóż to były za mdłe, pozbawione smaku twory – zarządca zmuszony był przynieść słoik pikli swojej matki, aby przydać posiłkowi nieco smaku. Czuł się równie przygnębiony jak zawsze.

Przygnębiony jak zawsze i osamotniony, gdy tak siedział sam jeden w jadalni przy końcu potężnego stołu. Goła żarówka dyndała na drucie, rzucając mdłe światło na stół, a reszta pokoju ginęła w ciemnościach. Okna były czarnymi, ziejącymi dziurami. Ponure, brudne zasłony zwisały smętnie po bokach. Zarządca wstał, zaciągnął je i zasiadł z powrotem do swoich kotletów. Ach, jak ma zjeść do końca to zwęglone paskudztwo?

Właśnie gdy się zastanawiał się, czy nie wyrzucić kotletów do ubikacji, zaskoczył go pan Chawla.

– Kto tam? – spytał zarządca w popłochu.

– Ojciec Małpiego Baby – powiedział pan Chawla i wszedł do środka, otwierając liche drewniane drzwi, prowadzące do mieszkania z frontowej werandy. – Ja również – powiedział zdecydowanie – chciałbym przedstawić propozycję.

– Jaką propozycję? – spytał zarządca, odkładając nóż. Ogarnęła go fala zmęczenia. To był długi dzień. Zdjął okulary i przetarł oczy.

– Wyszkolimy armię i policję w chwytaniu małp – powiedział pan Chawla. – Ustalimy datę w najbliższej przyszłości i wyłapiemy małpy za jednym zamachem. Możemy wykorzystać wojskowe ciężarówki, aby przetransportować je do jakiegoś odległego lasu, najlepiej w innym stanie, skąd nie będą mogły powrócić ani zdobyć tam alkoholu. Będą musiały wrócić do życia, które powinny wieść jako małpy, żywiąc się leśnymi owocami i orzechami.

Zarządca okręgu odchylił się w krześle i rozważał to, co usłyszał. Nie powinno być z tym problemu... Kto u licha mógłby mieć coś przeciwko temu? Leśne owoce i orzechy... Był to bardzo sympatyczny obrazek. Pod warunkiem, że się powiedzie. Jednak na pierwszy rzut oka propozycja robiła wrażenie raczej nieszkodliwej. I ten, kto ów plan przedstawiał, był ojcem baby. Na pewno pragnął jedynie dobra swojego syna. Z nagłym współczuciem przypomniał sobie, jak Sampath odwrócił się do niego plecami podczas jego wizyty w sadzie.

– Może to jest jakiś pomysł – powiedział, bawiąc się kotletami. I jeszcze raz zaczął rozważać całą sprawę.

Pan Chawla stał i czekał.

Nie był rozbawiony, nie wykrzykiwał haseł, jak tamci głupcy w czasie poprzednich spotkań. Wszystko się rozpręgało, sad znajdował się w opłakanym stanie i pan Chawla wiedział, że jego egzystencji na tym terenie zagraża rychły koniec. Strumień pieniędzy, płynących na rachunki bankowe, zaczynał wysychać. Nie było już rozmów, łagodnych wieczorów, śmiechów. Sampath siedział nieszczęśliwy, jak gdyby ukrywał się teraz na swoim drzewie. I pan Chawla zauważył, że jego syn po dawnemu zapada w milczenie, jest przygnębiony i otepiały, jego oczy tracą blask, wyraz spokoju i zadowolenia. Jego dobre samopoczucie i zmysł humoru znikły zupełnie, a od czasu wizyty zarządcy okręgu był cały czas odwrócony tyłem, i patrzył w liście, zaprzątnięty, jak odgadywał ojciec, myślą o opuszczeniu sadu. A co, jeżeli Sampath zejdzie z drzewa, ucieknie i wszystko popsuje? Nie, to być nie może. Te sprawy muszą zostać załatwione. Trzeba się rozprawić z małpami i przywrócić spokój. I z pewnością – myślał pan Chawla po dzisiejszych spotkaniach i dyskusjach – nie można pozostawić niczego biurokratycznej nieudolności. Poprzednie spotkania i kolejne propozycje przyprawiały go o coraz większą frustrację. Jednak na dnie tej frustracji było coś jeszcze: straszliwy smutek i poczucie słabości, którego nie miał zamiaru zgłębiać, chociaż uderzało ono niczym fala w jego doraźne troski, wywołując niepokojące, mimowolne wrażenie, że dryfuje po bezkresnym oceanie. Nie mógł i nie chciał się nad tym zastanawiać. Myślenie o takich sprawach, był o tym przekonany, równałoby się wywierceniui dziur w jego wodoodpornym sercu i byłby człowiekiem zgubionym.

– Co pan sądzi o moim planie? – zapytał.

Zarządca przesunął kawałek kotleta z jednego brzegu talerza w drugi.

– Tak – powiedział znowu, tym razem bardziej zdecydowanie – być może coś w tym jest. – Propozycja nie wiązała się z użyciem broni, nie dotykała, o ile mógł się zorientować, kwestii religijnych ani interesów ekonomicznych. Zasługiwała na to, aby przynajmniej spróbować. I w końcu jest zarządcą okręgu, przypomniał sobie nagle. Jeśli mówi „tak”, to znaczy „tak”. – Tak stanowczo, jak tylko potrafił, powiedział: Tak, ten plan

jest wykonalny. Oczywiście baba będzie musiał zejść na ten czas z drzewa, bo mógłby doznać obrażeń. – Po czym zjadł z talerza ostatni kawałek pikli, odsuwając na bok kotlety. – Khansama! – krzyknął do kucharza – proszę na przyszłość nie robić kotletów. Nigdy więcej. Ani kotletów, ani smażonej ryby, ani baranich sznycli, ani zupy pomidorowej, ani frytek, ani biszkopowych przekładańców, ani karmelkowej polewy, ani żadnych angielskich potraw. – Mówiąc to aż się zasapał.

Kucharz pojawił się w drzwiach, stał tak przez chwilę w swoim wybrudzonym, czerwonym surducie, z brudną, czarną ścierką do naczyń przewieszoną przez ramię, mierząc zarządcę spojrzeniem pełnym miażdżącej pogardy. Potem odwrócił się bez słowa i odszedł ciemnym korytarzem, znikając w przepastnej głębi zakopconej kuchni.

W poniedziałek wieczorem małpy wróciły podchmielone z angielskiego sklepu z winem i piwem. W środę próbowały się włamać do klubu emerytowanych członków dworu. A w czwartek zarekwirowały w sztabie wojskowym ściśle tajne dokumenty, w których naszkicowano środki bezpieczeństwa, podejmowane przez hinduską armię na wypadek inwazji. Nie oddały ich, dopóki nie zostały przekupione butelkami ze znajdującego się w kantynie barku.

W imponującym tempie udzielono zgody na realizację planu pana Chawli, wymagane papiery zostały podstemplowane, rozkazy dla armii i policji wydane. Ustalono datę – poniedziałek, ostatni dzień kwietnia – kiedy Sampath opuści tymczasowo swoje drzewo, a miejscowe małpy zostaną wyłapane i wywiezione daleko poza Szahkot.

– Nie zejść – powiedział Sampath.

– Ależ to tylko tymczasowo. Zejdiesz na dół i po kilku godzinach wejdiesz z powrotem.

Ale Sampath był nieufny. Coś mu mówiło, że jeżeli zejść z drzewa, to już na nie nie wróci. Nie ulega wątpliwości, że będą próbowali wepchnąć go do jakiejś okropnej pustelni.

– Nie mam zamiaru żyć bez małp – powiedział zdecydowanie, nie usposobiony do kompromisu, usztywniając swoje stanowisko. Pod drzewem płakała panna Jyotsna.

Ammadzi spojrzała na nią spode łba.

– Może być tak poszła trochę do domu? – powiedziała, szturchając ją packą na muchy. – Psujesz mu humor jeszcze bardziej.

Kulfi mrugnęła czule do syna, ale myślami była daleko. Małpa – zastanawiała się i oczy jej błyszczały jak przeszyte słońcem ciemne jeziora. Małpa. Jak przyrządzi tę fascynującą małpę? Ostatniego dnia kwietnia...

Czy mają upiec w tanduri? Ugotować na wolnym ogniu i udusić? Nadziać albo usmażyć? Zawinać w liście bananowe, nafaszerować nią kurczaki lub gęsie jaja? Zmiksować i zrobić naan? Zawekować w glinianym garnku? Doprawić szafranem? Dodać goździków dla zapachu? Ugotować z sokiem granatu?

Sampath patrzył w twarze bliskich i nie znajdował w nich pomocy. Jak wiele się zmieniło od czasu, gdy nie tak dawno temu przybył do sadu. Jak szybko zaczęło to coraz bardziej przypominać wszystko, co miał nadzieję pozostawić za sobą na zawsze. Paskudne reklamy bezczęściły pobliskie drzewa, śmierdząca kupa odpadków spływała w dół zbocza za połową herbaciarnią, rosnąc z każdym tygodniem. Szum gniewnych głosów i klaustrofobia, które kojarzył z życiem w środku miasta, podpełzały znów coraz bliżej. A teraz usuwają z sadu jego ulubionych towarzyszy! Czy nie wiedzą, jak bardzo on lubi te małpy? I czy nie wiedzą, jak mało obchodzi go oni wszyscy? Dlaczego nie zabiorą swoich reklam, swojego hałasu i brudu, swoich samochodów, autobusów i ciężarówek, dlaczego nie zabiorą swoich ciasnych umysłów i nie pozostawią go w spokoju i ciszy, z jego ukochanymi małpami, z jego pięknym krajobrazem, który został w tak brudny i tandetny sposób sprofanowany?

Będzie musiał stąd uciec. Ale jak? Jak mogłoby się to komukolwiek udać? Nie pozwolą mu odejść. Jeżeli zejdzie z drzewa, schwytają go. Jeżeli zostanie, będzie jeszcze gorzej. Powróciło dawne uczucie, że jest uwięziony w pułapce...

Och, ale on musi stąd odejść! Jak? Jak? Jak? Myślał, ale myśli nie przynosiły rozwiązania, jedynie krążyły po głowie, obracając się wciąż i wciąż od nowa wokół jednego i tego samego. W końcu, jak się wydawało wiernym, zapadł w rodzaj odrętwienia.

– Nic nie szkodzi – powiedział jego ojciec. – Rankiem trzydziestego kwietnia sprowadzimy go na dół i zanim zdąży się zorientować, będzie po wszystkim.

– Będzie po wszystkim... – usłyszał Sampath skądś z bardzo daleka.

XXII

W kilka dni po tym, jak pan Chawla przedstawił swój plan, został on wprowadzony w czyn. Łowcy małp rozpoczęli ćwiczenia w szaleńczym tempie, chociaż nikt nie wiedział zbyt dobrze, na czym właściwie ów trening ma polegać. Brygadier, który wciąż był nadsany z powodu odrzucenia jego własnej koncepcji na rzecz tego kiepskiego, bałaganiarskiego planu, wykrzykiwał przez tubę rozkazy do swoich nieszczęsnych podkomendnych, musztrując ich ostro, każąc im skakać z drzew, spuszczać się po linach, ćwiczyć stanie na rękach i przysiady i biegać całymi milami w górę i w dół zbocza, aż ludzie skarżyli się, że teraz nie tylko małpy zakłócają spokój, ale czynią to również owi nieszczęśni wojacy. Sadzili na przełaj przez ogrody, tratując kwiaty, przebiegali przez prywatne posesje, pozostawiając ślady na klombach i zagonach warzyw. Nazajutrz znów budzili ludzi o świcie i podejmowali na nowo swe ubolewania godne czynności. Aż ziemia drżała, gdy się zbliżali – było to jak nadciągające trzęsienie ziemi.

Ale kiedy brygadier otrzymywał skargi, wyjaśniał, że gdyby pozwolono mu zrealizować własną koncepcję, nie byłoby powodu poddawać jego ludzi tej całej farsie. Każdy z nich wiedział, jak się posługiwać bronią. Poszliby do sadu i w kilka godzin zadanie zostałoby wykonane. Skoro jednak nie udzielili mu poparcia od samego początku, nie pozostaje im teraz nic innego, jak cierpieć.

– Przysiad, dwójkami marsz, szybciej tam, przewrót – komenderował.

– Im prędzej się to skończy, tym lepiej – mruzcili mieszkańcy miasta.

Policja tymczasem miała więcej szczęścia niż wojsko, gdyż wszyscy byli zgodni, że nie nadaje się do czynnego udziału w przedsięwzięciu na tak wielką skalę, wobec czego przydzielono im zadanie sporządzenia sieci, które miały posłużyć do chwytania małp. Pod łagodnym nadzorem komendanta rozsiedli się leniwie przed komisariatem, wśród stosów rybackich sieci i metalowych kółek, zaopatrzeni w igły i nylonową żyłkę, nie wiedząc zbyt dobrze, co mają robić, ale w dobrym nastroju, niczym stare rybaczeki, latające sieci w popołudniowym słońcu.

– Hej, Chottu! – wołali do chłopca od herbaty. – Tutaj, tutaj! – w stronę sprzedawcy słodkich kartofli, handlarza orzeszkami ziemnymi i

wózka z napojami chłodzącymi. W ten sposób wykorzystywali czas możliwie jak najlepiej i byli z siebie zadowoleni.

Pod drzewem Sampatha panowała taka atmosfera, jakby powietrze zostało rozciągnięte i wielokrotnie ciasno owinięte wokół niego. Kiedy spoglądał w dół, widział jedynie groźne ludzkie morze. Nikt już nie honorował godzin przyjęć. Kilkunastu ludzi maszerowało na peryferiach sadu, łomocąc w ziemię kijami i dmuchając w gwizdki, w ramach dwudziestoczworgodzinnej warty, ustanowionej przez pana Chawłę. Wartownicy mieli uprzedzać o każdym zakłóceniu spokoju. W tych groźnych dniach, kto wie, co może się wydarzyć, czego powinni się obawiać, jakiego nieoczekiwanego wydarzenia? Nie są bezpieczni. Oczywiście, powinni też mieć oko na małpy. Jaki będzie ich następny ruch? Za najłżejszym szelestem w ciemnościach wymierzali reflektory w stronę drzew. Sampatha często budziło w nocy oślepiające światło. Gdybyż ci wartownicy pospali się na swoich posterunkach, jak to wartownicy mają we zwyczaju, myślał Sampath. Ale nie, to towarzystwo było niczym brygada cierpiących na bezsenność, nieznużona, irytująco gorliwa w pełnieniu swojej służby. O pierwszym brzasku nadciągały tłumy z megafonami i znów był otoczony – rozbrzmiewały wokół niego spory i skandowane hasła.

Jak mógłby stąd uciec? Jak?

W tym czasie był już dosłownie chory ze zmartwienia, nie mogąc spać ani jeść. Matka próbowała tego lub owego, aby pobudzić jego apetyt, ożywić gasnący róz jego policzków, ale nic nie odnosiło skutku... Ani małe rzeczne rybki, za którymi tak przepadał, ani palące papryczki chili z jej własnego, szczególnie ognistego krzaka, ani tłuste, senne gołębie o delikatnym, rozpływającym się w ustach mięsie, ani olbrzymia złota ryba, którą złapała w ozdobnej klasztornej sadzawce. Nic nie szkodzi... nic nie szkodzi. Wkrótce zaserwuje mu coś zupełnie nowego, coś, co roziskrzy jego ducha i poderwie go do życia. W poniedziałek, trzydziestego dnia kwietnia. Zaczęta gromadzić składniki do nadchodzącej uczy. Był to trudny proces, gdyż główny składnik był, rzecz jasna, zupełnie nowy i wciąż stanowił dla niej zagadkę. Nie miała pojęcia o jego smaku, jego twardości, ciężarze lub lekkości, ciemnej lub jasnej barwie, nie знаła jego siły, jako katalizatora, wydobywającego pełnię z innych smaków. W swoich przygotowaniach miała za przewodnika wyłącznie własny instynkt – pewność instynktu, wspieranego przez cały jej kunszt, cały talent, dzięki

którym miała dziś odnieść swój życiowy triumf. Taka szansa mogła się drugi raz nie powtórzyć.

Sampath patrzył na góry, odchylając głowę, aby jego wzrok padał tam, gdzie nie było śladu cywilizacji. Tam, wysoko, jak gdyby staczając się z nieba, wodospad opadał kaskadą w dół lesistych zboczy, tak jasny, tak daleki, że Sampath nie wiedział, czy jest rzeczywisty, czy stanowi jedynie wytwór jego wyobraźni, ludzającej go, podszywającej się pod zmysł wzroku. Żadnych wsi, żadnych domów, żadnych ludzi... Jedynie skąpany w słońcu las, skały i żywa, jasna, spieniona woda. Popatrzył z zazdrością na ptaki, które polatywały wokół niego w poszukiwaniu okruchów: te małe stworzonka o delikatnych żebrach, o trzepoczących skrzydłach, które unosiły ich lekkie jak śnieg serca w czyste przestworza. Jego twarz miała udręczony, zdesperowany wyraz.

– Jest w innym świecie – szeptali z szacunkiem wierni, gdy Sampath ich nie dostrzegał, spoglądając gdzieś w dal, gdy unosili jego stopę, by oprzeć ją sobie na głowach i przyjąć błogosławieństwo. Dziś żołądek mu się od tego wywracał, kiedy dawna beztroska znikła, a cała sprawa stała się paskudna i skomplikowana.

Popatrzył w niebo. Srebro wieczoru wydawało się skraplać w łusce ryby, która parowała przed nim łagodnie, w puszystej sierści langurów, siedzących na jego drzewie, wciąż nieświadomych, zdawałoby się, całego spisku, jaki knuto przeciwko nim. Siedziały tak, skrzeczając, bawiąc się, oporzędzając się nawzajem jak zwykle. Nie zdawały sobie sprawy...

XXIII

Uwięziony w swoim pokoju, z ciotkami i siostrami trzymającymi wartę w każdym oknie, chłopiec z Super Smaku chodził tam i z powrotem. Z daleka dochodziły go odgłosy demonstracji, okrzyki protestu i wydawało mu się niesprawiedliwe, że nie może wyjść z domu i wziąć udziału w tym podniecającym rozgardiaszu.

– Wezmę furgonetkę – przekonywał. – To będzie znakomity interes.

Ale nie, nawet to nie było w stanie zachwiać przekonaniem jego rodziny, że należy trzymać go pod kluczem, do czasu, aż zostanie związany świętym węzłem małżeńskim. W ciągu kilku dni chłopiec został zdegradowany z dobrowolnego więźnia do aresztanta w rękach rodziny, i czuł się dotkliwie urażony w swojej dumie, z którą się zupełnie nie liczone. Przemierzał tam i z powrotem swój niewielki pokój, dumając nad losami Pinky pośród całej tej małpiej afery i nad swoim własnym losem... Tam i z powrotem. Ilekroć się zatrzymał, nasłuchując, przycisnąwszy do drzwi pełne oburzenia ucho, dochodził go rozgwar negocjacji matrymonialnych, płynący z salonu na dole. Czas upływał. Odwoływali się do najstarszej sztuczki na świecie.

Przemycił do Pinky pilną wiadomość przez wiernego mleczarza, który doręczył ją, wracając do domu tym samym autobusem, którym Sampath opuścił Szahkot sześć miesięcy wcześniej. *Niewiele czasu do stracenia. Plany ożenku w toku* – brzmiał tekst, nieco zamazany resztkami bawolego mleka, gdyż mleczarz umieścił karteczkę na dnie kanistra.

Czekając na odpowiedź chłopiec przemierzał pokój z coraz większym impetem. Od czasu do czasu przystawał i odrzucał włosy do tyłu, czując, jak dreszcz emocji przenika go niczym prąd elektryczny. Oto było jego życie, niczym w blasku filmowych reflektorów. Cieszył go ten blask, to uczucie niepewności w sercu, jak gdyby zawieszonym nad górską przepaścią.

Następnego ranka otrzymał odpowiedź Pinky, która nie lubiła tracić czasu. Zdecydowanym charakterem pisma kreśliła plan ucieczki. furgonetką Super Smaku, gdzieś daleko stąd, do innego miasta, gdzie nie będą musieli się przejmować jego nedorzeczną rodziną. Wydawało się to jedynym możliwym rozwiązaniem. *Poniedziałek, 30 kwietnia*, mówił jej

praktyczny liścik, to dzień odłowy małp. Wszyscy będą zajęci, nikt nie zwróci na nas uwagi. Będę czekać pod dużym drzewem tamaryndowca przy drodze do szosy sad – bazar o 5.00 rano. Przyjedź firmową furgonetką, a dalej się zobaczy.

Poniedziałek, 30 kwietnia... to tylko trzy dni! W przypiływie odwagi Super Smak odpisał drżącą ręką: *Będę z całą pewnością.*

Chociaż z chwilą otrzymania tej karteczki Pinky wpadła w wir absorbujących zajęć, pakując dobytek i szykując się do wyjazdu – wszystko po kryjomu, rzecz jasna – nie mogła się oprzeć współczuciu dla brata. Nie wydawało się jej w porządku, że kiedy jej własne życie rozkwita tak bujnie, on ma być krępowany i ograniczany. Uważała tak, chociaż jej uczucia wobec małp różniły się tak bardzo od jego uczuć. Wielkoduszna w tych dniach miłości, weszła po przystawionej do drzewa drabinie.

– Mam pomysł – powiedziała.

Ale Sampath, który po dawnemu prawie się nie odzywał, spojrział na nią jedynie pustym wzrokiem i nic nie odpowiedział.

– Wiesz – ciągnęła dalej – mógłbyś zabrać się ze mną i z chłopcem z Super Smaku... Bo wiesz – dodała głośnym szeptem. – Planujemy, wiesz, ucieczkę.

Nie wiedzieć czemu powtórzyła tyle razy owo „wiesz”.

– Nie zejść z drzewa – powiedział Sampath.

– Ale dlaczego? – spytała Pinky, schodząc pospiesznie po drabinie na widok kinowej małpy, która zbliżała się, aby zająć swoje zwykłe miejsce na łóżku obok Sampatha. – Moglibyśmy jeździć tą furgonetką, dokąd byśmy chcieli, podróżować z jednego miejsca do drugiego.

Sampath pomyślał o bezkresnych drogach, ciągnących się przed nimi w nieskończoność pośród lepkiego lata, które już wkrótce nadejdzie, o ciężarówkach wyrzucających kłęby spalin, o wibracji silnika w swojej głowie i poczuł nieznośny żar, a potem lodowate zimno. Przypomniał sobie urząd pocztowy, ludzi tłoczących się wokół niego, popychających go i poszturchujących na ulicach, i zrobiło mu się równie niedobrze jak podczas niedawnej wizyty wysokich urzędników. O mało nie stracił równowagi i nie spadł z drzewa. W tle słychać było trzaski megafonu, słowa zlewały się w bezsensowny bełkot. Twarz mu pobieliała.

– Co ci jest? – spytała Pinky, zaniepokojona.

– Dziękuję ci za propozycję – zdołał powiedzieć. – Ale lepiej jedźcie sami.

– Dlaczego tak ma być lepiej? – naciskała Pinky, zirytowana.

– Bo tak – powiedział głośno, z gniewem, nagle rozzłoszczony na wszystko i wszystkich. Oni go w końcu zabiją. Najzwyczajniej umrze. – Zostaw mnie w spokoju. Niedobrze mi. Zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju...

– Dobra, dobra – mruknęła Pinky odchodząc. Był dzisiaj w szczególnie płaczącym nastroju, czyż nie? Kto by pomyślał, że miał kiedykolwiek dość inicjatywy, aby uciec z domu i wdrapać się na drzewo? Przez krótką chwilę jej brat okazał nieco charakteru, ale teraz się cofał Jak zawsze...

Nie miała pojęcia o tym, co działo się w tym czasie w domu chłopca z Super Smaku, inaczej nie traciłaby czasu na takie rozmowy.

W przeddzień planowanej ucieczki został przedstawiony dziewczynie, którą krewni wyszukali mu na żonę.

Chociaż zgodnie ze zwyczajem to rodzina chłopca powinna złożyć wizytę krewnym dziewczyny, z uwagi na szczególną sytuację jego bliscy urządzili to tak, żeby tamci przyjechali do nich. Nim nadjechała riksza, w której, upchnięta ciasno i przytulnie pomiędzy rodzicami, siedziała wybrana dla niego dziewczyna, Super Smak przeszedł samego siebie, fundując rodzinie największy atak złego humoru, jaki kiedykolwiek oglądali. Byli coraz bardziej niespokojni, widząc jak się złości, trzaska drzwiami, zamyka się w pokoju, wychodzi na schody, żeby krzyknąć coś z góry i z powrotem zatrzasnąć drzwi...

– Ależ to bardzo miła dziewczyna – przekonywali. – Jest śliczna i łagodna i na pewno ci się spodoba. – Naprawdę, jego charakter się zmienił od czasu, kiedy Pinky go ugryzła. Nigdy przedtem nie zdarzało mu się tracić panowania nad sobą... – I znów kręcili głowami nad całą sprawą.

– Jeżeli tak bardzo się wam się podoba – powiedział gburowato – ożeńcie się z nią sami i sami się z nią potem męczcie.

– Ależ synku, przecież...

– Przestańcie mi wiercić dziurę w brzuchu – przerwał, trzaskając kolejnymi drzwiami.

Ale ostatecznie ciekawość przemogła i kiedy dziewczyna przyjechała, zszedł po cichu na dół. Popatrzy na nią i, mając tym więcej argumentów na poparcie swojego stanowiska, będzie mógł z całą uczciwością jej odmówić. Włożył białą koszulę i białe spodnie i, wciąż nieco naburmuszony, wszedł do pokoju.

I...

Ach, lecz któż może snuć plany wbrew przeznaczeniu?

Co za dziewczyna! Co za dziewczynę zobaczył, siedzącą skromnie pomiędzy szpetną mamą i szpetnym tatą, kiedy wyszedł z za zasłony, wiszącej w drzwiach pokoju. Jej wygląd przekraczał wszystko, co mógłby sobie wymarzyć. Tak pulchna, tak biała i różowa! Taka karnacja pod słońcem Indii! Z taką senną twarzą i sennymi oczyma, z takim łagodnym, sennym uśmiechem... Nie wierzył własnym oczom. Jej sari było barwy pączka róży, policzki jak budyń waniliowy, usta jak róża wieńcząca lukier na torcie urodzinowym... Tak, pomyślał, ona jest zupełnie jak tort urodzinowy, różowo-biały tort urodzinowy... Perły w jej uszach, wokół szyi i nadgarstków były jak małe, srebrne, dekoracyjne kuleczki. Rozdziawił usta i patrzył.

W całym pokoju wymieniano porozumiewawcze szturchańce. Babka i matka, siostrzyczki i cioteczki były bardzo dumne z siebie i rade, że tak dobrze wywiązały się z zadania pomimo niesprzyjających okoliczności. Dziewczyna oblała wszystkie egzaminy, do jakich kiedykolwiek przystąpiła, to prawda, ale miała coś w sobie, czyż nie?

Super Smak wycofał się, czując zamęt w głowie. Gdy tylko wyszedł, rodzina ruszyła za nim napelniając mu uszy gadaniem, przekupując obietnicą samochodu maruti i telewizora, przyjęcia weselnego, trwającego dwa tygodnie... „Dosyć! – pomyślał w duchu. – Jak mógłbym zrobić coś takiego?” Ale oni mówili dalej i nic nie mógł na to poradzić, że wyraz zadowolenia przebijał przez nadąsaną minę, którą starał się zachować.

Kiedy sobie poszli, wszystkie wątpliwości, jedna po drugiej, napłynęły mu znów do głowy i tej nocy, poprzedzającej rano, gdy miał się spotkać z Pinky, w ogóle nie zmrużył oka. Rzucił się i przewracał, aż prześcieradło owinęło mu się ciasno i nieprzyjemnie wokół nóg. Jego myśli skakały i kłębiły się, zderzały się i plątały. Z jednej strony, dał Pinky słowo, że spotka się z nią następnego ranka, a w końcu był dobrym chłopcem... Z drugiej strony, pomyśleć tylko, jak by to było łatwo i przyjemnie, gdyby został... Ale głupio było poddać się tak bez niczego, po tym, jak narobił przed rodziną tyle szumu i tak długo trwał w oporze. Myślał o Pinky, o

wszystkich jej liścikach i prezentach, o tym, jak ugryzła go w ucho i trafiła kamieniem w szczękę. To prawda, Pinky również miała coś w sobie. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. I jeszcze tego ranka wydawało się to takie ekscytujące – wskoczyć do furgonetki i odjechać w dal... Ale teraz... sam nie wiedział... sam nie wiedział... Tam była dziewczyna jak deser lodowy, jak tort urodzinowy, jak tort weselny... O proszę, już mówił „tort weselny”, zamiast „tort urodzinowy”, i wydawało mu się to brzemiennie szczególną wymową... pomimo że na jego weselu nie będzie oczywiście tortu, tylko laddoo.

O czwartej nad ranem podniósł się, wciąż niezdecydowany, i przekradł do furgonetki. Zdumiewające, że – jak gdyby zrzędzeniem losu – nikt go nie usłyszał. Spali twardo, pewni, że dobrze wywiązali się z zadania i że przyszłość ich syna jest zabezpieczona. Spali i chrapali, jak gdyby wypoczywali po całych miesiącach zmartwień i niepokoju. Cicho wypchnął furgonetkę za róg ulicy i dopiero tam włączył silnik i wszedł do środka. Pojedzie pod drzewo tamaryndowca i tam, w zależności od tego, co uzna za stosowne, albo powie Pinky, że to niemożliwe, albo zgarnie ją i powiezie w dal furgonetką Super Smak. Wybrał labirynt wąskich, bocznych uliczek, zamiast jednokierunkowej drogi głównej, aby mieć wiele możliwości szybkiego zawrócenia i powrotu do domu, jeżeli taką decyzję podejmie, lub wyjechania na główną szosę, jeżeli takie rozwiązanie wybierze.

– Pinky czy panna Budyń-Torcik? – mruzczał do siebie. – Pinky czy panna Budyń-Torcik?

Jak w malignie jeździł w kółko pogrążonymi w mroku ulicami, gdy raptem dotarło do niego, że z tyłu rażno nadciąga duża grupa szarych postaci i samochodów, i nagle przypomniał sobie, że tego dnia miano chytać małpy. Nie ulegało wątpliwości, że byli to właśnie łowcy małp, zmierzający w stronę sadu, tak samo jak on!

– Z drogi! – krzyczeli w jego stronę. – Z drogi!

Próbował skrócić raptownie w jakąś przecznicę, ale że była bardzo wąska, jego furgonetka utknęła. Oczywiście, coś takiego musi się zawsze przytrafić w decydującym momencie życia. Długo trwało, zanim udało mu się skrócić w kolejną uliczkę i rozpocząć kolejne okrążenie swojej podróży. „Pinky czy panna Budyń-Torcik...” A może w ogóle nikt! Nikt! Zatruli mu życie, wszyscy razem.

XXIV

O czwartej nad ranem zarządca okręgu był już na nogach, ubrany i gotowy, czekając w swojej willi na pana Gupte. Ten pojawił się wkrótce, opatulony mnóstwem wełnianych szalików, w wesołym, żółtym kapeluszu na głowie, stukając w podnieceni do drzwi na skoczną nutę... Mieli pojechać razem służbowym dżipem na teren koszar. Tutaj połączą się z wojskiem, które będzie uzbrojone w sieci, i razem wyruszą do sadu, gdzie spotkają się z policją, postawioną w stan specjalnego pogotowia na wypadek, gdyby coś miało zakłócić tę. delikatną operację. Sampath zostanie sprowadzony z drzewa i oddany pod opiekę policji, sieci wyładowane, żołnierze uformują szyk bojowy i pod wodzą brygadiera wyłapią małpy. Zanim słońce zdąży dobrze wzejść na niebo, będzie po wszystkim.

O godzinie 4.05, zgodnie z planem, zarządca okręgu i pan Gupta zasiedli w służbowym dżipie i ruszyli drogą dojazdową prowadzącą w stronę szosy. Nie ujechali jednak więcej niż kilka jardów, gdy nagle kierowca zahamował. Przed nimi, tarasując przejazd, piętrzyła się bezładna kupa porozwalanych tobołków i pakunków, połamanych krzeseł i stołów wszelkiego rodzaju, sfatygowanych garnków i patelni, brudnych kołder i starych poduszek, z których wyłaziła zawartość... W brzasku przedświt widać było nawet wiekowe łóżko o zardzewiałych sprężynach i dwie kościste kozy. Poza tym z pomieszczeń dla służby, które znajdowały się tuż przy drodze dojazdowej, dochodził straszliwy łomot, szcęk oraz głośnie skrobanie.

– Co się tam dzieje, u licha? – spytał zarządca okręgu, a pan Gupta wyskoczył z dżipa, żeby się zorientować. W powietrzu unosiła się stęchła woń zapleśniałych sprzętów, które najwyraźniej od lat nie były wynoszone na dwór.

Pan Gupta po chwili był z powrotem.

– To kucharz – wyprowadza się do swojego rodzinnego domu. Mówi, że nie ma zamiaru tu zostawać i znosić, by mu na starość ubliżano. Myślę, proszę pana, że to niestety z powodu tych kotletów. Mówię mu: „Zechce pan usunąć natychmiast swój dobytek z drogi dojazdowej”. A on na to, że jest za stary, żeby się z czymkolwiek spieszyć i wobec tego nic go to nie obchodzi.

– O Boże, spóźnimy się – powiedział zarządca. Zmuszeni byli wysiąść z dżipa i osobiście usunąć rupiecie, które kucharz nagromadził w ciągu sześćdziesięciu pięciu lat pracy na państwowej posiadzie. Nie wiadomo, jakim sposobem staruszek zdołał w ogóle wywlec to wszystko na zewnątrz. Gdy byli tym zajęci, kucharz w dalszym ciągu czynił harmider w swojej kwaterze.

Minęło sporo czasu, zanim szturchańcami zapędzili uparte kozy w krzaki i zdołali oczyścić drogę z całego dobytku kucharza. Upłynęło całe pół godziny, zanim kierowca, zarządca i pan Gupta mogli wyruszyć w dalszą drogę.

Dokładnie w tym samym czasie na terenie jednostki wojskowej światła płonęły w koszarach i żołnierze, już ubrani w mundury khaki, zbierali się pod masztem flagowym. O wyznaczonym czasie pojawił się również brygadier, wysztyftowany jak z igły, pomaszzerował w kierunku głównej bramy i wskoczył do swojego osobistego dżipa.

– Gotów? – szczechnął. – Dobra, naprzód mar...

Właśnie w tym momencie, chociaż niebo ledwie zaczęło się rozjaśniać, dostrzegł sokolim wzrokiem przedmiot swoich pragnień: nieopodał, na starej morwie rosnącej koło bramy, ujrzał skromnego, zielonego gołębia, który tak długo się z nim droczył, przyprawiał o szaleństwo i uwodził swoimi płynnymi trelami, przypomnieniem, słodkim... przesywającym... piosenek ze starych filmów, których słuchała jego matka, gdy był dzieckiem. Ach, ten smutek, nie dający mu spokoju, ten czysty jak kryształ, rozdzierający serce głos, lejący się z gardła Laty Mangeshkar, głos, który śpiewał o śmierci i utraconej miłości, o stopach jak kwiaty lotosu i skórze jak drzewo sandałowe, o podłużnych, ciemnych oczach, o samotności i bólu, okropnym bólu wspomnień. Wszystko to i więcej jeszcze stawało mu w pamięci na dźwięk tych kilku tonów, które słyszał pośród drzew rosnących koło domu. Wszystko to i więcej jeszcze, myślał, przez tego małego, prozaicznego ptaka, który siedział teraz cicho na gałęzi.

– Sieć! – syknął. – Szybko, sieć, sieć... – Nagląco szturchnął żołnierza bambusem. Po czym, wyrywając małpią sieć z rąk zaskoczonych mężczyzny, wyskoczył z dżipa i rzucił ją w stronę zielonego gołębia w ślepej żądzy, aby złapać tego nieuchwytnego ptaka, aby zatrzymać go przy sobie, tu, w jednostce, torturować się wspomnieniem dzieciństwa, wspomnieniem matki, którą tak strasznie kochał...

Oczywiście sieć była o wiele za duża i za ciężka, aby pojedynczy człowiek mógł rzucić nią za ptakiem, i przeleciała zaledwie kilka stóp, po czym upadła na ziemię z ciężkim klapnięciem – sterta nieporęcznej, nylonowej żyłki. Z lekkim trzepotem, który musnął uszy brygadiera, zielony gołąb uniósł się i – na jego przerażonych oczach – uleciał hen, wysoko, Bóg raczy wiedzieć dokąd.

– Psiakrew! – Brygadier trzasnął pięścią w otwartą dłoń. – Psiakrew, psiakrew, psiakrew! – To był zły omen. A zresztą kim był, żeby wierzyć w takie rzeczy? – Naprzód marsz, wy cholerne głupki – powiedział ze złością do swoich ludzi, kiedy uświadomił sobie, że kierują się w jego stronę zdumione spojrzenia. I popędzili naprzód, zapominając, że powinni poczekać na zarządcę i pana Gupte, którzy w końcu zwrócili na siebie ich uwagę, nadjeżdżając z głośnym rykiem klaksonu; brali zakręty na pełnym gazie, chwytając się, czego się da chwycić w samochodzie, telepiąc się i podskakując na wybojach. Kiedy się z nimi zrównali i orszak był w komplecie, ruszyli w dalszą drogę. Teraz, mieli nadzieję, nie będzie już żadnych przestojów.

– Dalej, ruszać się! Szybciej tam, jesteśmy spóźnieni... Dwójkami marsz... Lewa, prawa... Lewa, prawa... Raz, dwa,.. Raz, dwa... Lewa, prawa. Lewa...

I przykro powiedzieć, ale wmaszerowali tak dwójkami – lewa, prawa, lewa – prosto w kolejną stertę walizek i tobołków z pościelą, porozkładanych tajemniczo na drodze.

– O nie! – zaryczał brygadier. – Co znowu tym razem?

– Kto by pomyślał, że będą takie problemy o tej porze? – powiedział pan Gupta, opuszczając szalik, którym owinał sobie usta dla ochrony przed chłodem. – Specjalnie wybraliśmy tę godzinę ze względu na brak ruchu i przeszkód na drogach, a tu, popatrzcie państwo, co się dzieje.

Tam, przed swoim domkiem, zakutany w jeszcze większą ilość wełny niż pan Gupta, pośród morza walizek stał naczelnik wydziału zdrowia, komenderując niewielką armią służących. Kilka samochodów wytaczało się z jego podjazdu na ulicę.

– Co ty wyrabiasz, spaślaku? – krzyknął brygadier.

Naczelnik wydziału zdrowia pobladł.

– Czy ma pan na myśli mnie? – zapytał z godnością. – Jeżeli tak, myślę, że powinien się pan liczyć ze słowami, choćby ze względu na stan mojego zdrowia.

– Z drogi! – krzyknął brygadier. – Z drogi, z drogi, zabieraj się i te swoje cholerne manele. Już!

– Ale dokąd pan się wybiera? – zainteresował się pan Gupta.

– Proszę nie zaczynać rozmów... Jesteśmy spóźnieni, nie widzi pan? – rzucił się do niego brygadier.

– W związku z problemami zdrowotnymi byłem zmuszony wziąć urlop wypoczynkowy i udaję się do Kasauli. Od czasu do czasu, rozumie pan, w sytuacjach stresowych...

– Zabieraj się pan i już! – wrzasnął brygadier, siny z wściekłości. – Zabieraj te swoje cholerne setki walizek!

– O mój Boże – powiedział zarządca, obserwując harmider – i to ja osobiście podpisałem zgodę na ten urlop. To chyba moja wina. – Czuł się niespokojny i przygnębiony. Najwyraźniej wszystkie decyzje, które podejmował, były złe. Najpierw kucharz i obraza jego kotletów, potem naczelnik ze swoim urlopem. Teraz sprawa małą przybierze jeszcze gorszy obrót, wybuchnie skandal, jego ojciec się o wszystkim dowie i będzie się czuł niezręcznie. Ach, co za straszne zajęcie. Gdyby tak zajął się komputerami, to byłoby przyjemne, spokojne życie...

Po jakimś czasie ruszyli znowu.

– Proszę nie iść tą drogą – doradził im czujny zamiatacz z domu naczelnika wydziału zdrowia. – Zostaniecie zatrzymani przed domem Vermey, jak tylko skręcicie za róg. Jego żona się wyprowadza. Bardzo brzydka sprawa.

Mroczny jak chmura monsunowa, brygadier wypluł słowa komendy i kawalkada wycofała się z ulicy, którą przybyła, wybierając inną, a co za tym idzie, znacznie dłuższą drogę za miasto. Gdy wreszcie dotrą na miejsce, po małpach z pewnością nie będzie już śladu i będą musieli powtórzyć tę idiotyczną farsę innego dnia.

Ledwie zdążyli pokonać niewielki odcinek wyboistej trasy, ujrzeli przed sobą przysadzisty kształt i jaskrawo pomalowane boki furgonetki Super Smak.

– Pinky czy panna Budyń-Torcik?..

Czarny strumień brudnych spalin buchał kłębami w twarze woja-ków.

XXV

Tymczasem w sadzie panował zadziwiający spokój. W odległym zakątku dymił wielki gar, w którym coś gotowało się na wolnym ogniu, bulgocząc delikatnie. Gar perkotał tak przez całą noc, w oczekiwaniu na przybycie łowców. Kulfi spała obok niego. Pomyślała sobie, że kiedy mężczyźni będą zajęci łowieniem małp, uda jej się jakoś, tym czy innym sposobem, sprawić, by jeden zwierzak wpadł prosto do jej garnka. Wtedy zanurzy go natychmiast, nim ktokolwiek zwróci uwagę, w smakowitym sosie. Taki był plan. Jak będzie wyglądała jego realizacja, nie była całkiem pewna, ale czuła, że uda jej się tego dokonać w zamieszaniu, które nastąpi. Woń ziół i owoców, korzeni i przypraw unosiła się w powietrzu i w konsekwencji wszyscy, którzy spali na stoku wzgórza, śnili tej nocy o jedzeniu, od budki stróża u szczytu drogi aż po dolinę, gdzie komendant policji wciąż był opatulony w swój ciepły koc. Śnili o wystawnych bankietach, o chochlach i łyżkach tak wielkich, że trzeba było batalionów kucharzy, aby donieść je, przez potężne kłęby pary, do rozżarzonych, bulgoczących, parsających kotłów...

– Garniec, drachma, kwarta – mruzczała Kulfi przez sen. – Szczypta, buszel, worek, beczka, krztyna, tona. Drzewo sandałowe, marzanna, kasja, korzeń kosaćca. – Przewróciła się niespokojnie. – Orzeszek galasowy, cynober, kwiat muszkatołowy. Senes, asafetyda, przepiórcze jaja, ślimacze jaja, wątroba dzikiej świni, ogon dzikiego kota... – Znow się przewróciła. – Liście nasturcji, kwiaty rododendronu, cykad owe storczyki. – Usiadła gwałtownie, wyprostowana. Delikatne, białe i zielone kwiaty cykad owego storczyka. Czym będzie bez nich jej danie? Potrawą bez smaku, nawet w połowie nie tym, czym być powinno być, pomyłką, klęską, rozczarowaniem. Kompletną katastrofą.

Musi po nie iść, czyż nie? Musi je mieć, te wdzięczne, przejrzyste kwiaty o wybornym aromacie, mające w sobie posmak mchu i lasu. Musi je mieć, i to natychmiast. Rozejrzała się, widząc, jak noc się rozwidnia... Już niemal świtało. Do przybycia łowców małp zostało zaledwie tyle czasu, by wejść na wzgórze i wrócić. Ubrała się w pośpiechu, wzięła szpadel, sierp i zwój liny i oddaliła się w mrok, mijając po drodze szpiega, który już siedział ukryty w krzakach w oczekiwaniu porannego spektaklu.

Rozgorączkowany na skutek podniecenia i nerwowego napięcia oczekiwał świtu. Ten dzień – myślał z determinacją – przyniesie mu, pośród całego chaosu, szansę, na którą czekał tak długo: szansę, by zbadać wreszcie, co się właściwie pichci w garach Kulfi. „Jeśli masz małpę, nie dostaniesz wszy. Żeby zrobić twaróg, nie można macić mleka. Czy staw sprząta błoto ze swojego dna? Czy deszcz zmywa niebo? Jakie drewno, takie i mięso na nim ugotowane”. Ostatnich kilka miesięcy zmieniło go w człowieka udreżonego. Słowa w jego głowie były jak pnącza w dżungli, oplątywały go i dławiły. Będzie musiał wyrwać się na wolność, udowodnić światu, że jest człowiekiem z charakterem. I sobie samemu także. Mijając go w drodze do lasu Kulfi przeszła tak blisko miejsca, gdzie siedział, przycupnięty, że koniec jej sierpa połaskotał go w nos, ale poszła dalej, nie spostrzegłszy go.

Nie przystanęła, aby sprawdzić, co z Sampathem i z resztą rodziny, i dobrze się stało, bo w przeciwnym razie mogłaby zauważyć nieobecność Pinky, która czekała już pod drzewem tamaryndowca na chłopca z Super Smaku, gotowa do drogi, tak, jak ustalili, chociaż, z jakiejś niejasnej dla niej samej przyczyny, była w wyjątkowo złym humorze... rozdrażniona, niezadowolona i zła. Może zawinił po prostu brak snu. Czekając postukiwała kijem w pobocze. Gdyby chociaż Sampath wybrał się z nimi, miałyby się do kogo odezwać...

Ale Sampath siedział na swoim drzewie, zasklepiony w absolutnym bezruchu, jak skamielina, uwięziona w bursztynowej chwili ciszy. Wartownicy zostali wreszcie zwolnieni, żeby małpy mogły spędzić nie niepokojone tę swoją ostatnią noc w sadzie, i aby znajdowały się wciąż na drzewie, ledwie przebudzone, kiedy przybędą łowcy małp.

Sampath siedział nieruchomo już od dłuższego czasu. Poprzedniego wieczoru widział, jak znikają ostatnie promienie słońca, jak wzgórza stają się łagodne i błękitne niby dym z drzewnych polan, jak zarośla, gromadzące cień od późnego popołudnia, stapiają się z ciemniejącym powietrzem. Czuł powiew wiatru na policzkach, słyszał, jak zaczynają się odzywać świerszcze, słyszał nieporadne zagajenie pierwszej żaby, badającej, czy już wieczór, jej wznoszące się nieśmiało kumkanie, coraz mocniejsze, w miarę jak noc wyciekała z ziemi i spływała z otaczających go ciemnych kształtów. Sączyła się z czarnych brzuchów podziemnych bulw, z ukrytych straków i kwiatów, z żuków barwy atramentu i bambusów o wydrażonych sercach. Widział, jak rozchylają się białe płatki nocnych kwiatów, jak nad nim ukazują się rój jasnych gwiazd, czuł zapach

jaśminu, który zasadziła jego matka, i trującego bielunia, patrzył, jak blade ćmy pokonują ciemności, aby zawisnąć, usychając z miłości, nad kwiatem tytoniu. Unosząc palec kreślił kształty magicznych konstelacji, tworząc je w przyływie fantazji, po czym znów opuszczał rękę na kolana.

Noc posuwała się naprzód. Na dole wszystko było pogrążone w ciszy. Sampath wciąż siedział i patrzył. W pewnej chwili poczuł, jak serce zatrzepotało mu panicznym lękiem, ale nie dochodził jego źródła, nie myślał o tym, co się miało wydarzyć następnego dnia, i trzepot zamarł równie szybko, jak się pojawił. Płynęła godzina za godziną. Minęła północ. Był poniedziałek, ostatni dzień kwietnia i w całym sadzie panowała cisza. Rodzina spała i małpy były ciche na drzewie guawy.

Można myśleć o ciemności na wiele różnych sposobów. Można opancerzyć się przed nią – myślał Sampath, zacisnąć mocno powieki, owinać się kołdrą. Albo można pozwolić, aby wszystkie jej poszepty wania, wszystkie odcienie fioletu spłynęły w niego. Ta bezosobowa ciemność potrafiła dać takie ukojenie, jakiego żadna ludzka troska nie potrafiła zapewnić. Czuł, jak jego mięśnie się odprężają, i w miarę jak czas upływał, ogarniał go dziwny spokój – myśli opadły z niego i poczuł, jak wstępuje w niego dziwna siła, jak odrętwienie wsącza się w jego członki. Czy to z powodu wyczerpania, czy pogodzenia się z losem, czy też wiary w jakąś nową inspirację, któż to wie? Nie czuł już swojego ciała, ale jego zmysły nie uległy przytępieniu. Wyostrzały się coraz bardziej, był dotkliwie świadom każdego najdrobniejszego dźwięku, każdego zapachu i szelestu nocy: poruszeń myszy w trawie, skrzydeł dalekiego nietoperza, nęcących zapachów, które przyciągały owady, każąc im krążyć i brzęczeć gdzieś daleko poza sadem. Pod ziemią słyszał gulgotanie wody, słyszał, jak wsysają ją pobliskie drzewa, słyszał oddychanie liści i poruszenia śpiących małp.

Tu i ówdzie, na pobliskich gałęziach, ostatnie guawy w tym sezonie wyłaniały się spośród oświetlonych księżycowym blaskiem liści. Jedna, dwie, trzy... tak dojrzałe, tak ciężkie, że najlżejsze dotknięcie mogłoby strącić je z drzewa.

Zerwał jeden owoc. Doskonały kształt Buddy. Zadumany nad swoim wnętrzem, nie troszczący się o świat... Piękny, nieprzystępny owoc, coraz większy, w miarę jak upływały dni, jak mijały noce, piękny owoc, mający w sobie nieodkrytą konstelację młodych gwiazd.

Trzymał go w rękach. Był chłodny, chropowaty w dotyku. Godziny mijały. Więcej gwiazd niż nieba. Siedział bez ruchu wśród zalegającej wszystko nocnej ciszy.

W furgonetce chłopiec z Super Smaku popadał w miarę posuwania się naprzód w coraz większą histerię. Czego chciał? Chciał spotkać się z Pinky, tak jak ustalili. Nie. To, czego chciał, to zawrócić i znaleźć się znowu w swoim wygodnym łóżku. Potem obudzić się i zejść na dół na swoje poranne parathas, przyrządzone dokładnie tak, jak lubił. Nie! Co też mu przychodzi do głowy? Przypomniawszy sobie wszystkie oczekujące go siostrzyczki i cioteczki. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby chociaż śniadanie pozwolono mu zjeść w spokoju.

Pinky ujrzała furgonetkę wyjeżdżającą zza zakrętu drogi, która wiała się w dół zbocza, i chwyciła przyniesiony przez siebie tobołek z rzeczami. Nareszcie! Ale wtedy stała się rzecz niepojęta. Furgonetka skręciła w niebrukowaną wiejską drogę i znów znikła jej z oczu. Czy możliwe, że jej się to przywidziało? Jakim sposobem? Z braku snu? Ale to zupełnie do niej niepodobne. To musiał być ten dureń. Czy rzeczywiście byłaby w stanie go znieść? Obije go kijem, to pewne. Właśnie w tym momencie furgonetka pojawiła się znowu. Pinky raz jeszcze podniosła swój tobołek. I wtedy...

Coś podobnego!

Furgonetka zawróciła zgrabnie niczym żuczek i znikła znowu.

– Do diabła z tą cholerną furgonetką! – ryknął brygadier. Czy możliwe, żeby coś takiego działo się naprawdę? A jednak furgonetka lodziarza była tam, pojawiała się wciąż na nowo, to jadąc przed nimi, to znów za nimi, to znikając w bocznych uliczkach, to znów się wyłaniając. – Zastrzelę go – poprzysiągł brygadier, dziwnie spokojnym głosem. – Mówię wam, zastrzelę tego szaleńca.

– Aj, niech pan tego nie robi! – Pan Gupta poderwał się, skrzecząc, niczym spłoszony ptak. – To tylko sprzedawca lodów.

Zarządca, z pobielającą twarzą, trzymał się kurczowo burty dżipa. Do czego to wszystko zmierza? Tkwił w jakimś sennym koszmarze, z którego nie mógł się obudzić.

Pan Chawla poszedł, żeby sprawdzić, co z Sampathem.

– Wkrótce tu będą – powiedział i wrócił tą samą ścieżką, aby przyłączyć się do Ammadzi, która czekała na komendanta przy wejściu do sadu wraz z całą ekipą policyjną od blokady ruchu. Ale komendant wciąż

jeszcze spał. Postanowił bowiem poprzedniej nocy, w nadziei na ewentualną degradację, że nie będzie obecny przy tej delikatnej operacji. Szczęśliwy, z kocem naciągniętym na głowę, spał, pochrapując.

Przez chwilę w sadzie było pusto. „Aha”, pomyślał szpieg, wciąż ukryty w krzakach, tam gdzie chwilę wcześniej minęła go Kulfi. Kocioł stał, bulgocząc nęcąco, kiedy szpieg rzucił się w jego kierunku, i – z sercem w gardle – wdrapał na drzewo, pod którym ustawiony był gar. Usadowił się nad samym naczyniem, aby widzieć dokładnie, co się dzieje. W kieszeni miał sznurek i zestaw ampułek; liczył, że uda mu się pobrać próbki sosu, kiedy się znajdzie nad kotłem... Opętany człowiek sunął powoli wzdłuż gałęzi.

Langury poruszyły się niespokojnie, kiedy zaświtał ranek. Wojsko pełzło szosą od strony bazaru. Na tylnym siedzeniu dżipa brygadiera leżał chłopiec z Super Smaku, skrępowany sieciami na mały. Związano go mocno, aby nie mógł stwarzać więcej problemów na jednokierunkowych ulicach.

– Puśćcie mnie – krzyczał, wyrywając się. – Puśćcie mnie! Dzisiaj muszę zdecydować o moim dalszym życiu.

– Nie będziesz o niczym decydował – odparł brygadier. Szalikiem, wziętym od pana Gupty, zawiązał mu usta.

Tak więc Super Smak wiercił się i szamotał w milczeniu, niesiony w stronę Pinky pomimo swojego niezdecydowania.

– Już są, Sampath! – krzyknął pan Chawla na ich widok. – Sampath! Są już tutaj!

W nagłym wybuchu paniki langury skoczyły z drzewa, niczym żywy wykrzyk, z wyrazem zmieszania i przerażenia na twarzach.

– Trzymać się planu – rozkazał brygadier. – Uwaga... Gotów... Naprzód!

Było jasne, że langury są całkiem przytomne i w każdej chwili gotowe do ucieczki. Żołnierze galopem utworzyli szyk bojowy.

– Gdzie macie sieci, wy osły? Powinniście mieć ze sobą sieci! – ryknął brygadier.

Do tej pory powinny już być wyładowane. Ale w sieci, w które miano chwytać langury, został zamiast tego schwytyany Super Smak. Był nimi ciasno omotany, co mocno utrudniało wydostanie ich z dżipa.

Pinky, słysząc hałas, nadeszła i stwierdziła, że chłopiec z Super Smaku został pojmany przez wojsko. Popatrzyła na niego zde gustowana. Ach, żaloszny guzdrała. Związany jak baleron! Nigdy nie wydawała mu się tak piękna, tak zagniewana i pełna pogardy. Chłopiec patrzył na nią błagalnym wzrokiem, ale wyraz jej twarzy był nieprzejednany. Zawiódł ją w decydującym momencie.

Pan Chawła podbiegł do drzewa, aby sprowadzić Sampatha na dół. Naprawdę, należało go zmusić do zejścia wcześniej. Zaczynało się już robić niebezpiecznie. Ale... zaraz, chwileczkę...

– Sampath! – krzyknął. – Sampath, Sampath, Sampath!... Drzewo było puste.

– Sampath! – Jego głos urósł do przeraźliwego krzyku, który odbił się echem od stoku wzgórza, i pan Chawła chwycił się za serce. Jego najgorsze przeczucia się sprawdziły. – Sampath – zakwilił. – Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

Ammadzi biegła w stronę guawy, a ponad jej głową małpy wskakiwały z powrotem na drzewo. Jego gałęzie poruszały się jak morze, zielone, wzburzone, plujące płatami piany. Małpy trajkotały i mamrotały, przecierały oczy, zaciskając je i otwierając szeroko.

– Baba – płakała panna Jyotsna, która dopiero co przyjechała, aby być świadkiem tego strasznego wydarzenia. Zatoczyła się, jak gdyby miała zemdleć, i wpadła w nadstawione ramiona pana Gupty. – Baba, Baba...

Szukali tu. Szukali tam. Oglądali drzewo z góry na dół. I sąsiednie drzewa. Szukali w krzakach. Za skałami. Wciąż od nowa wpatrywali się w gałęzie, w nie zakłóconą niczym kompozycję liści i owoców, huśtających się w górę i w dół. Jego boleśnie puste łóżko. Ale chwileczkę! Na łóżku leżał owoc guawy – pojedynczy owoc, o wiele, wiele większy od pozostałych: bardziej krągły, z gwiazdką u podstawy, osmagany wiatrem... Otaczały go srebrne langury, które wpatrywały się weń uważnie, z czujnym wyrazem na czarnych jak węgiel twarzach. Z jednej strony widniał brązowy znak, coś jakby znamię...

– Czekaście! – wrzasnęła Ammadzi. – Dajcie mi ten owoc. Czekać! Sampath! Sampath!

Ale małpison spod kina chwycił owoc, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć i z mądrym wyrazem chłodnych oczu, przyciskając go mocno do piersi, wiodąc za sobą bandę pozostałych małp, zeskoczył z gałęzi drzewa i pognął w dal.

– Czekaście!

Wojsko ścigało je, porzucając zmagania z sieciami. Ścigali je pan Chawla i Ammadzi. Tłum wiernych, którym udało się do tej pory przełamać policyjny kordon, i w końcu nawet leniwi policjanci bez komendanta. Ależ wszyscy pędzili, rżąc, zaciekle dysząc. Pinky również przyłączyła się do pościgu. Dziarska sylwetka biegnącego przed nią brygadiera kłuła ją w oczy. Ogarnęła ją nagła chęć, aby uszczypnąć go w pośladek. Czyż ojciec nie mówił jej, że powinna kierować wzrok wyżej, a nie niżej od siebie?

Szpieg pełził coraz dalej po gałęzi. Odgłos rosnącej nawałnicy napełnił powietrze, gdy małpy przesadzały mur w kierunku uniwersyteckiego lasu, wstrząsając czubami drzew, jak gdyby przechodziła tędy trąba powietrzna. Trasa małp w stronę gór znaczyła się srebrnym drzeniem jodeł, wstrząsaniem gałęzi i listowia. Leśne ptaki frunęły w górę i rozproszyły się w popłochu, ich krzyk mieszał się z głosami w dole, powietrze rozbłysło czerwonym, błękitnym i czarnym atłasem, złotymi i miedzianymi piórami bażantów i pawi, dzięciołów i perskich słowików...

Małpy pędziły coraz dalej. Coraz wyżej i wyżej. Jak podmuch wiatru, który przychodzi znikąd, zaszeleści pośród drzew i rozplywa się w nicność niczym duch. Szpieg sunął wzdłuż gałęzi.

Wysoko na omszałej magnolii, gdzie zbierała storczyki, Kulfi znalazła się przez chwilę pośród gwałtownej zawieruchy, zobaczyła przelatującą obok jasną smugę. Stała na gałęzi, na której przedtem siedziała, i osłaniając oczy przed słońcem patrzyła jak małpy wspinają się coraz wyżej. Dalej w gąszcz, dalej na grzbiet najwyższej góry. Drzewa na samym szczycie chwiały się przez moment, pochylając głowy niczym w geście pożegnania – i już ich nie było. Najmniejszego śladu.

Powietrze nagle znieruchomiało. Ptaki odleciały z powrotem do lasu. Pióra szybowały za nimi, opadając łagodnie.

I w tej nagłej ciszy, od strony sadu, ludzie usłyszeli: Trzask! Wrzask! Plusk!

Dźwięk dotarł do Kulfi, siedzącej na drzewie. Odwróciła się, spoglądając w dół, w stronę doliny. Co to było?

– Słyszał pan?! – Pinky strzeliła w brygadiera swoimi pięknymi, wielkimi oczyma. – Słyszał pan ten dźwięk?

– Co to było? – pytali pan Chawla i Ammadzi, żołnierze i policjanci, pielgrzymi i mieszkańcy miasta.

Mimo woli odwrócili wzrok od górskich szczytów. Nad olbrzymim kotłem Kulfi zwisła złamana gałąź. W kotle były korzenie i przyprawy, zioła i owoce, wyborny sos.

I jeszcze coś.

Ostrożnie, powoli zbliżali się do bulgoczącego gara.